

JOLANTA
KWIATKOWSKA

Kod.. emocji



mg



Urodziłam się jako pięć żeńska
 (tak było napisane kopiowym ołówkiem na opasce).
 Dziś jestem kobietą (dla ułatwienia dodajmy,
 że o wiek tej płci nie wypada pytać).
 Nie zdobyłam żadnego szczytu.
 Nie odkryłam żadnego ładu. Wiele innych
 nadzwyczajnych rzeczy nie zrobiłam.
 Odeszli Ci, którzy mnie kochali
 i których ja kochałam.
 Urodzili się Ci, którzy mnie kochają i których ja Kocham.

Nauczyłam się cieszyć i doceniać to, co miałam, co mam.
 Wciąż czekam z ufnością na to, co los mi przyniesie.
 Zawsze lubiłam się uczyć (życia) i nadal się uczę: jak żyć, by nie przegapić chwil
 szczęścia, które zsyła nam każdy dzień.

Można by powiedzieć, że *Kod emocji* to historia czterech
 zwyczajnych dwudziestoparolatek, którym los kazał się spotkać
 w jakimś nieistotnym momencie. Można by tak powiedzieć,
 gdyby nie było to oczywistą nieprawdą.
 Bowiem nie ma zwyczajnych ludzi – i dlatego też każda
 z bohaterek tej książki jest na swój sposób nieprzeciętna.
 A zbieg okoliczności czasami ofiarowuje nam szansę
 na coś dobrego i tylko od nas zależy, czy ją wykorzystamy.
 Spotkały się. Polubiły. Zaprzyjaźniły. Wcześniejsze doświadczenia
 sprawiły, że każda z nich już wiedziała, iż los potrafi płać nadzieje
 i marzenia. Były przekonane, że nigdy nikt ani nic ich nie poróżni.
 Zabrakło im tylko wyobraźni. Za to przeznaczenie miało go zbyt wiele.
 Bowiem ono tak w literaturze, jak i w życiu jest mistrzem
 płatania nici osnowy i wątku w tkaninach życia.

www.jolantakwiatkowska.pl

www.wydawnictwomg.pl



cena 34,90 zł



JOLANTA
KWIATKOWSKA

Kod
emocji

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kopiowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych - również częściowe - tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw.

ISBN: 978-83-61297-94-9

Projekt okładki:

Maciej Sadowski

Opracowanie redakcyjne:

Wydawnictwo MG

Skład:

Jacek Antoniuk

Wydawca:

Wydawnictwo MG

00-901 Warszawa

Pl. Defilad 1, skrytka pocztowa

www.wydawnictwomg.pl kontakt@wydawnictwomg.pl

Drukarnia Wydawnicza im. W.L. Anczyca

30-011 Kraków,

ul. Wrocławska 53

Książkę wydrukowano na papierze Creamy Hi Bulk

53 g/m² wol. 2.4 dostarczonym przez

Mercator Papier Sp. z o.o.

www.mercatorpapier.com.pl

Infolinia 0801 322 333

Dystrybucja: Grupa A5 sp, z o.o.

92-101 Łódź,

ul. Krokusowa 1-3

tel./fax: (042) 676 49 29

e-mail: handlowy@grupaA5.com.pl

Mężowi...
...za już i za jeszcze.

Jedna jedyna godzina
z dwudziestu czterech godzin doby
zawiera w sobie zjawiskowy skarb,
który chciałyby dać ludziom, ale wie,
że większość ludzi jej nie dostrzega.

WSTĘP

Oddział ortopedyczny

Któregoś dnia, któregoś roku, w jednej z wielu sal oddziału ortopedycznego leżały cztery pacjentki po wypadku samochodowym.

Kiedy? Gdzie? Nie miało to najmniejszego znaczenia dla czterech zaprzyjaźnionych dziewcząt. Liczyło się tylko to, że żyją i są razem. Dodatkowym powodem do zadowolenia było to, że nadal są całe. Żadnej nic nie ubyło i według zapewnień lekarzy nie było zagrożenia, że ubędzie. Każda zostanie w jednym kawałku.

Miały dużo szczęścia. Nie dlatego, że skutki wypadku okazały się niegroźne. Nie chodziło też o to, że wspólny pobyt w szpitalu okazał się całkiem przyjemny. Ważne było, że los pozwolił im stanąć na swojej drodze i zaprzyjaźnić się na dobre i złe.

Dziękowały Irenie, gratulując jej umiejętności negocjacyjnych. Tylko dzięki jej spojrzeniu pełnym najszybszego podziwu i wyszeptanej prośbie: „Panie doktorze, pan na pewno wszystko może” wspólnie spędzały czas w pokoju bóleści.

Najskuteczniejszą i nie do zastąpienia formę terapii - terapię śmiechem - aplikowały sobie same. Dowcipom i żartom nie było końca.

- Dziękujemy ci, Ulka, za rozrywkowy wieczór. - Szczerze śmiejąc się, Krystyna przesyłała koleżance całusa.

- Niezapomniany - westchnęła z rozmarzeniem Irena.

- Marzę jedynie, by pozostał niepowtarzalny.

- Dziewczyny. Zaklepujcie terminy na makijaż kamuflujący.

Po znajomości znajdę termin za miesiąc - poważnym głosem, choć jej oczy się śmiały, zaproponowała Zosia.

- Niedogodności pracy w pozycji stojącej zrekompensuje mi moja nareszcie łabędzia szyja - oświadczyła, głaszcząc się po białym kołnierzu ortopedycznym.

- Ula, koniecznie musisz mieć grzywkę. Odmłodniejesz. Zasłoni wszystko. Zmarszczki na czole też - podpowiadała Irena, a patrząc na śmiejącą się Krystynę, dodała: - A ty wychichocz się na zapas. Musisz zapuścić zarost z jednej strony. Wtedy sobie popłaczesz - mówiła z rozbawieniem. - Do wesela się zagoi - pocieszyła, widząc, że przyjaciółka robi przerażoną minę, po czym doprecyzowała termin: - Oczywiście do wesela wnuka.

- Potańczymy wszystkie - zapewniała Ula, trzymając się za bolące żebra. - Najwyżej Irka poskacze na jednej nodze.

- Dziewczyny, znacie powiedzenie: „Nie ma tego złego...”. Czuję, że obwód pod biustem powiększył mi się o dwa rozmiary - poinformowała z zadowoleniem Zosia. - Tylko czemu urósł tylko z jednej strony? - Udała, że chlipie. - To świetnie. Będę nietuzinkowa! - zakończyła optymistycznym okrzykiem.

- Najważniejsze, że piąta czuje się dobrze. - Ula przeżegnała się, poważniejąc w jednej chwili.

- Może jednak piąty? - z przekorną miną szepnęła uszczęśliwiona Krysia, gładząc swój brzuch. - Pewność będę miała, gdy urodzę i policzę wszystkie paluszki.

Żartując, raz po raz spoglądały na zegarki i na zamknięte drzwi do sali...

CZEŚĆ PIERWSZA

IRENA

Irena czuła, że się nie myli...

Krzysiek był przystojnym chłopakiem. Kruczoczarna, gęsta czupryna, głęboko osadzone niebieskie oczy, trochę za szeroki nos nie przeszkadzał przy dużych, wyraźnie zarysowanych, pełnych ustach. Pod skórą twarzy rysowała się mocna szczęka, pokryta szybko odrastającym zarostem. Tuż po ogoleniu skóra na policzkach i brodzie miała lekko niebieskawy odcień, kamuflujący zbyt owalny kształt twarzy.

Tak wyglądał jeszcze wtedy, gdy go poznała. Jeszcze, bo nocny tryb życia i duże ilości alkoholu zaczynały skutkować permanentnym makijażem. Sińce pod oczyma i przekrwione białka tłumaczył nowo poznanym laskom trudną i odpowiedzialną pracą. Jeść lubił dużo, tłusto, popijając dwoma, trzema piwami - w zależności od sytuacji. Na rautach i koktajlach służbowych zadawała się mikro przekąskami i poprzestawał na kieliszku wina. Odwoził towarzystwo głodny i spragniony - golonki i piwa. Z początku starał się panować nad swoim mięśniem piwnym, z czasem okazało się to zbędne. Laseczkom pasek w okolicy krocza podobał się. Znały się na paskach, był z tych najdroższych...

Irena przyszła do restauracji w towarzystwie kilku osób. Koleżanka z pracy awansowała na zastępcę dyrektora szkoły i z tej

okazji zaprosiła wybrane osoby z kadry nauczycielskiej na kolację. Dodatkowo wyróżniła nauczycielkę biologii, zapraszając ją z mężem, żeby podkreślić, że znają się na gruncie prywatnym. Fakt ten zasługiwał na zaznaczenie grubym, czerwonym mazakiem z racji stanowiska, jakie mąż tamtej zajmował w Ministerstwie Oświaty. Dzięki wstawiennictwu biologiczki zaszczytu uczestnictwa w imprezie dostąpiła także Irena. Nie mogła nie chcieć przyjść, mimo że bardzo chciała móc nie chcieć.

Orkiestra grała po trzy kawałki. Dwa do indywidualnych wygibasów na parkiecie, a jeden - przytulanka w parach. Znajomi tańczyli. Irena, siedząc samotnie, rozglądała się po sali.

Facet siedzący w pobliżu od razu wpadł jej w oko. Pierwsze, co zrobiła, to przeliczyła ilość kobiet i mężczyzn przy jego stoliku. Orkiestra przestała grać i wróciło jej towarzystwo. Wznoszono toasty z okazji awansu, życzo no dalszego; po kilkunastu kieliszkach pili już: „Na pohybel staremu capowi”, co oczywiście odnosiło się do obecnie panującego, autokratycznego władcy w szkole.

Procentowe rozluźnienie sprzyjało odkrywaniu emocji i wy-lewności uczuć. Irena brała czynny udział w toczącej się dyskusji. Towarzystwo przy interesującym ją stoliku było sparowane. Nie mam szans - oceniła z przykrością. Potakując i śmiejąc się z coraz dosadniejszych żartów kolegów, mimo wszystko od czasu do czasu zerknęła w tamtą stronę.

Całą trzeźwą częścią siebie (wypiła tylko parę kieliszków), czuła, że on to ten z jej dziewczęcych marzeń. Udając zasłuchaną, wymyślała sposoby na przypadkowy kontakt z tym „jej” face-tem.

Będzie tańczył. Ona obok. Niby przypadkiem wpadnie na nie-go. Przeprosi. On, zauroczony jej widokiem, pójdzie za nią. W innym wariacie to on wstanie od stolika, patrząc na nią

porozumiewawczo. Skieruje się wolnym krokiem do barku, zatrzyma się i znów spojrzy, dając wyraźny znak, żeby poszła za nim. On wstanie, weźmie torebkę, udając, że idzie do toalety. On roześmieje się i skieruje w jej stronę. Podejdzie i przejmie inicjatywę. Wyjdą i...

Spojrzała w jego stronę i zadrżała, widząc wpatrzony w siebie oczy znad kufła z piwem. Dostrzegła pianę na wydatnych wargach przesyłających pocałunek. Zza stołu nie było widać wyraźnie zarysowanego mięśnia piwnego pod białym podkoszulkiem. Krótki rękaw pozwalał za to dostrzec umięśnioną, opaloną rękę dzierżącą kufel. Pucłowatości policzków nie dostrzegła, zafascynowana męskim wyrazem twarzy z ciemnym zarostem.

Orkiestra zaczęła grać. Siedział dwa stoliki dalej. Patrząc na nią, skinął głową, spojrzał w kierunku parkietu i znów na nią. Potwierdziła zadowolonym uśmiechem. Wstali jednocześnie i spotkali się w połowie drogi. Objął ją władczo silnym ramieniem i poprowadził na parkiet. Tańcząc, czuła się jak Ann w ramionach King Konga. Nie schodzili z parkietu, dłuższą przerwę wykorzystując na łyk czegoś zimnego i wpatrywanie się w siebie. Wrócili na parkiet, żeby w objęciach muzyki poznać się bliżej. Słowa ograniczyli do minimum.

- Co robisz? - spytała przytulona, chociaż najmniej ją w tej chwili interesowało, czym on się zajmuje.

- Pracuję - wyszeptał, całując ją. W przerwie na oddech z podobnym zainteresowaniem zapytał. - A ty?

- Również - odpowiedziała i stając na palcach, całowała go w szyję...

Irena na bardzo wysokich szpilkach, przy brodzie wyciągniętej równolegle do podłoża, ściągniętych łopatkach i do bólu wyprostowanej szyi osiągała sto sześćdziesiąt osiem centymetrów wzrostu. Szczupła, filigranowa blondynka o drobnych rysach

twarzy i lekko zadartym nosku. Do tego duże, okrągłe, szare oczy osłonięte długimi, jasnymi rzęsami. Małe, ale pełne, o wyraźnych konturach czerwone usta sprawiały wrażenie czekających na delikatny pocałunek. Patrzący na nią miał wrażenie, że oto stoi przed nim wiecznie zdziwiona, zaniepokojona, ale ufna dziewczynka. Taka, którą od razu chciałoby się wziąć na kolana i przytulić. Mężczyźni w jej towarzystwie często mieli na to ochotę.

Spotykali się codziennie. Kino, taniec, klub, restauracje. Za każdym razem zabierał ją w inne miejsce.

Po trzech tygodniach zaprosił ją do siebie. Oryginalny facet, pomyślała. Nie na palenie fajki wodnej z jednym wężem, za to z tytoniem o niepowtarzalnym smaku i aromacie. Nie na interesujący film, który właśnie ściągnął w necie i mogą obejrzeć jedynie u niego na wideo. Nie! On, z miną pełną dumy, zabłysnął propozycją wspólnej konsumpcji golonki, którą osobiście peklował i piekł, podlewając piwem. Gdy oświadczyła, że bardzo lubi golonkę, w jego wzroku pojawił się prawdziwy szacunek.

Parę dni później (golonka musiała „dojrzeć” - w przeciwieństwie do niej) już przy kolacji, niepytany, opowiedział jej dużo o sobie.

Jeszcze w liceum poznał rówieśnika Hiszpana, który przyjechał z rodzicami do Polski na cztery lata. Ojciec kolegi pracował w Ambasadzie Hiszpanii. Matka z nudów uczyła prywatnie języka. Zaprosili Krzyśka na wakacje do siebie. Po maturze pojechał do nich na rok. Mieszkał u nich, pracował w restauracji. Zaczynał od zmywaka. Szef kuchni polubił go i awansował na pomocnika kucharza. Potem został kelnerem.

Po dwóch latach wrócił. Z polecenia ojca kolegi dostał pracę w ambasadzie jako kierowca. Znał świetnie hiszpański i angielski, a co równie ważne - upodobania smakowe, wzrokowe

i rozrywkowe Hiszpanów. Szybko piął się w górę, awansował. Jest tłumaczem, ze służbowym mieszkaniem i super bryką.

- Dlaczego golonka, a nie paella, tortilla lub gazpacho? - spytała, patrząc, jak delektuje się olbrzymią goloną. Kroił ją pieczolowicie na kawałki, smarował pieszczotliwie musztardą i z lubością wkładał do ust.

- Nie znoszę tych wszelkich paskudztw. Lubię kawał czystego mięsa - odłożył sztucce. - Patrzą i co widzą? Błyszczą świeżutkim tłuszczem. Wilgotna i soczysta. Jędrna a mięciutka - oblizwał wargi. - Apetyczna i smakowita małolata.

- Na pewno mówisz o golonce? - roześmiała się swawolnie. Nikt jej jeszcze do golonki nie przyrównywał.

- Łasuch ze mnie, ale smakosz. - Patrzył, rozbierając ją wzrokiem. - Musi być młodziutkie, świeżutkie, pachnące i pobudzające wszystkie zmysły. - Dopił piwo. - Kończ. Czas na deser.

Zjedli i przeszli do pokoju. Miał ochotę na repetę, co dla niej miało być zapowiedzianym deserem. Usunął z niej wszystkie zbędne części. Posmarował, pougniatał, żeby zmiękała, natarł przyprawami, podlał szampanem i skonsumował, co do kawałeczka.

Po trzech miesiącach zgodziła się, właściwie bez żadnych oporów, zamieszkać u niego. Wiedziała na pewno - to był ten, z którym stworzy stały związek. On doceni jej starania. Pobiorą się, gdy zdecydują, że pora na dziecko.

Irena szybko wyciągała wnioski i jeszcze szybciej podejmowała decyzje. Wyłącznie te, które dotyczyły mężczyzny.

Irena postara się...

Zaraz po wyjściu ze szkoły Irena poszła do zakładu, w którym pracowała Zosia. Miała dla niej dobrą wiadomość.

Przysiadła na krzeselku, widząc, że przyjaciółka ma klientkę.

- Za chwilę kończę. - Zosia ucieszyła się na jej widok, ale nie przerwała malowania klientce paznokci.

- Pani Zosiu. Tu nie poczekalnia. Prywatnie proszę się umawiać poza zakładem - zareagowała natychmiast właścicielka zakładu, spoglądając złowrogo na Irenę. - Klientka z ulicy zajrzy i zrezygnuje, sądząc, że będzie musiała czekać.

- Będę w kafejce obok. - Irena puściła oko do zmieszanej przyjaciółki.

- Mam jeszcze zamówiony pedicure. Skończę najdalej za czterdzieści minut - tłumaczyła się Zosia z przeproszającym uśmiechem.

- Okey. Położę po sklepach. Nie przejmuj się. Nie warto - uspokajała przyjaciółkę, jednocześnie próbując zamordować wzrokiem właścicielkę. Bezskutecznie. Lodowate spojrzenie tamtej odbijało każdy atak.

Po godzinie siedziały przy kawiarnianym stoliku, gorącą kawę popijając zimnym piwem.

- Przepraszam cię. Muszę sobie znaleźć inny zakład. - Zosia czerwona z oburzenia i gniewu wygłosiła solenne postanowienie.

- Mam pomysł - Irena aż podskoczyła z emocji. - Pogadam ze swoim kolegą z pracy. Jego kuzynka jest kosmetyczką. Ma swój zakład. Młoda babka, a nie taki kaszalot jak ta twoja szefowa. Może u niej znalazłoby się miejsce na stanowisko do manicure. Dodatkowo mogłabyś robić okolicznościowe makijaże. Babki po zabiegu często wracają do pracy lub lecą na spotkanie. Chcesz?

- Pewnie, że tak. Może to jakaś fajna dziewczyna. Dogadałybyśmy się. - Zosia jeszcze bardziej poczerwieniała, tym razem z pozytywnych emocji. - Wspominałaś coś o niespodziance - przypomniła przyjaciółce.

- Wprowadzam się do Krzyśka - wykrzyknęła Irena z entuzjazmem.

- Nie za szybko? Praktycznie nic o nim nie wiesz - tonowała nieco przestraszona Zosia.

- Jest chemia. Dobrze nam ze sobą. Na co czekać? - Irena wzruszyła ramionami niezadowolona.

W odczuciu Zosi, Irena reagowała jak dziewczynka ciesząca się na nową lalkę i zabawę w dom. Nie miała zamiaru udawać entuzjazmu.

- Skąd wiesz, że tym razem to ten? Pragniesz stałego związku, a chcesz zamieszkać z facetem, którego ledwo znasz? A jak z nim wpadniesz?

- Coś ty! Biorę pigułki. Nie jestem idiotką! - Irena dopiero po chwili zorientowała się, że palnęła głupstwo. - Przepraszam. Chyba się nie obraziłaś?

- Nie. Sama prawda. Ja byłam. - Zosia roześmiała się szczerze. - Ten twój kochaś ma tak samo na imię, jak mój cioteczny brat. Czytałam, że Krzysztof to patron podróżnych. Sięga „na drugą stronę rzeki”, dając sobie radę we wszystkich trudnych przejściach.

- No widzisz. Tego zatrzymam. Nie dam mu odejść. Postaram się. - Irena była zdecydowana na kolejną próbę ułożenia sobie życia z mężczyzną.

- Niedawno przeczytałam jeszcze, że Krzysztof to charakterek, który wiele rzeczy robi na próbę. Na chwilę. Potrzebuje wciąż nowych bodźców. - Zosia nie ustępowała w studzeniu przyjaciółki, chociaż patrząc na jej minę, zdawała sobie sprawę, że to całkowicie niecelowe.

- Już ja się postaram, żeby miał nowe bodźce. Ze mną - ripostowała Irena, nie poddając się.

- To ta niespodzianka?

- Jeszcze nie cała. Kuzynka, która ze mną mieszka, wyjeżdża do pracy za granicę. Dopina ostatnie sprawy. Myślę, że za miesiąc już jej nie będzie. Wprowadź się do mnie. Będziesz mieszkać

sama. W dodatku, gdyby ta nowa praca wypaliła, miałybyś blisko do pracy.

- Nie ma mowy. Za wynajem możesz dostać duże pieniądze - Zosia zdecydowanie odmówiła.

- Żeby potem wydać je na remont! Będziesz mi płaciła tyle, ile płacisz teraz za wynajem pokoju. Sama pokryjesz świadczenia. Najwyżej kąpiel bierz u Wieśka, a w ramach oszczędnościowej rekompensaty romansuj przy świecach - argumentowała Irena, przekonując przyjaciółkę. - Obcym nie wynajmę. Będzie stało puste. Ciebie jestem bardziej pewna niż siebie. Będzie czyściutko i pachnąco. Już to widzę. Domyte szafki, glazura, wyczyszczone meble i wypolerowane babcine sztuce. Same plusy dla mnie. Nie przyjmuję odmowy - dokończyła stanowczo, wstając i serdecznie ściskając Zosię.

- Masz wiele wad. - Zosia wyswobodziła się z uścisków. - I jedną olbrzymią zaletę - z podziwem patrzyła na przyjaciółkę - umiesz dawać tak, że obdarowany czuje się darczyńcą. Dziękuję. - I rozplakała się.

- Dziewczyno. Bez egzaltacji - strofowała Irena głosem bel-fra. - Proszę, tu są klucze. Ją już uprzedziłam. Wprowadzaj się, kiedy chcesz. Daj znać, to ci pomogę. Chyba że wolisz poczekać, aż tamta wyjedzie. Twoja decyzja. - I nie robiąc przerwy, zmieniła temat: - Jutro zabieram swoje rzeczy i wyfruвам. Teraz lecę do mojego szczęścia. Przyszłego ojca mojego dziecka. I męża, chociaż on jeszcze o tym nie wie.

Irena traci kalorie...

- Krzysiek, mamy pustą lodówkę! - Nie pierwszy raz odkryła ze zdziwieniem Irena, przyglądając się słoikowi z musztardą, chrzanem i dwóm plasterkom zeschniętego żółtego sera. W

pojemniczku na dnie było trochę śmietany. Tylko jedna półka w lodówce była pełna. Piwa nigdy nie brakowało. Uśmiechnięta odwróciła się ku wchodzącemu do kuchni męża nie męża.

- Nawet zupy za słonej? - podszedł do niej i zamknął lodówkę. Objął Irenę, podniósł, zrobił trzy kroki i posadził na stole.

- Co robisz? - spytała, znając odpowiedź.

- Będę pichcił i konsumował obiad - wyjął piwo z lodówki.

- A deser?

- W nagrodę deser będzie tylko dla mnie - znalazł resztkę śmietany. - Zjesz w pokoju.

Podszedł do stołu i zaczął dokładnie sprawdzać wszystkie składniki. Obierał z niejadalnej skórki, wyłuskiwał ze strąków. Ugniatał, rozciągał, wałkował. Rozdrabniał i zlepił, podlewając piwem, posługując się palcami, żeby po chwili zgnieść całymi dłońmi. Robił organoleptyczną ocenę gładkości, smaku i zapachu - wargami, językiem, zębami. Dosmaczał, delektując się każdą chwilą. Efekt końcowy osiągnięty. Nasączony jedzony i spocony z obżarstwa jedzący.

Kucharzowi zawsze należał się zasłużony odpoczynek. Brał prysznic, otulał się szlafrokiem i szedł do pokoju. Siadając w fotelu, przyjmował najwygodniejszą pozycję. Dla siebie i dla niej. Zamykał oczy i czekał na deser.

Irena, wykapana i osuszona, wchodziła cichutko do pokoju. Przysiadła na podłodze, kładąc głowę na jego udzie. Otwierał oczy. Uwielbiał patrzeć na nią zajadającą się lodami w rożku, wafelku lub na patyku. Z polewą z miodu, śmietany, w ostateczności piwną. Za każdym razem odczuwał niepowtarzalny smak ambrozji, gdy na przemian gryzła wafelkowe miseczki i lizała lody. W trakcie gładził ją po głowie, żeby po pewnym czasie zacząć szarpać za włosy. Dawał znak, że najwyższy czas na skończenie deseru.

Krzysztof zamykał oczy i odpływał. Irena, jeszcze siedząc, sięgała ręką po komórkę i zamawiała chińszczyznę z pobliskiej knajpki. Po dwudziestu minutach, przy telewizji, uzupełniali utracone kalorie.

Irena wbrew sobie...

Zadzwonił dzwonek na lekcje. Irena, wchodząc do pokoju nauczycielskiego po dziennik, rozejrzała się. Z nogami na stole siedziała „tyczka”. Z rozpogodzoną twarzą podjadała leżące na talerzyku truskawki.

- Okienko - z zazdrością w głosie i westchnieniem żalu odgadła Irena. - Twoje? - spytała pro forma, biorąc truskawkę i maczając w cukrze, bezpośrednio w cukiernicy. Ktoś przed nią zastosował już tę metodę, bo cukier gdzieś tam był różowoczerwony.

- Niczyje - odpowiedziała koleżanka, zjadając jedną po drugiej. - Jeszcze godzina i do domu - westchnęła, wznosząc oczy do nieba, to znaczy do sufitu. - Nikt nie rozumie, dlaczego wuef jest tak wyczerpującym przedmiotem. Nawet czekające mnie porządne sprzątanie w domu będzie przyjemnym relaksem po dzisiejszym chandryczeniu się z tymi, co nie mogą i mogą, ale nie chcą.

- Aż tak źle? - spytała Irena, współczująco patrząc na koleżankę. - Pogadamy później - dodała i wyszła. Szybkim krokiem pokonywała pusty szkolny korytarz. Było już dwie minuty po dzwonku na lekcje. Z daleka dochodził jazgot głosów z jej klasy.

Zostały jej jeszcze trzy godziny lekcyjne. W tym jedna wychowawcza. Przystanęła, żeby uspokoić oddech. Na szczęście podjęła już decyzję, że zacznie wszystko od początku. Musi znaleźć inną pracę.

Krzysiek od początku nie rozrozumiał jej frustracji.

- Dziewczyno, parę godzin dziennie i hulaj dusza, piekła nie ma - dosadnie zinterpretował jej zawodowe obowiązki. - W dodatku masz ten luksus, że jak ci się nie chce, to każesz matołom samodzielnie pracować, a sama bujasz w obłokach.

Nie zareagowała na jego lekceważący ton i słowa. Spokojnie próbowała wyjaśnić mu, z jakimi problemami musi się borykać.

- Nie mogę pogodzić się z oczywistymi idiotyzmami. W wielu przypadkach przyznaję rację uczniom, a nie wolno mi tego powiedzieć. Robię z siebie idiotkę. Nie daję rady. To dla mnie piekło i muszę to zmienić - tłumaczyła. - Chcesz, to przyjdź na jeden dzień. Posiedź na lekcjach. Popatrz w oczy wlepione w ciebie z uwagą. Wiem, że intensywnie myślą, komu i co esemesują pod ławkami lub z ręką schowaną w kieszeni spodni. Inni, znudzeni, bezmyślnym wzrokiem szukają natchnienia na ścianach lub suficie, zastanawiając się nad jedynie interesującym tematem: skąd zdobyć szmal lub na co go dziś wydać? Garstka z nich próbuje zrozumieć. Nie - co do nich mówię, tylko - po co? Wolą chemię i fizykę. Wpiszą do zeszytów podyktowane regułki i zasady. Wykują na pamięć i zaliczą. A ja im każę domyślać się, co myślał autor. Mam parę zdolnych dzieciaków. Dla nich lekcje to marnotrawstwo cennego czasu. Muszą siedzieć i słuchać, jak nauczyciel traci pół godziny, żeby wydusić z innych przynajmniej minimum. Uczą się sami lub prywatnie.

- U nas też zdolniejsi byli przegrani. Nauczyciel stosował łopatologię rozumianą przez przeciętnych. Dyktował minimum, które mamy znać. Jakoś z klasy do klasy czołgaliśmy się. Tak było i będzie. Nie rób problemu, nie warto. Olej to - radził, ignorując jej argumenty.

- Nie mogę. Wiesz, co jest najgorsze? - mówiła dalej, mimo że nie reagował. - Lekceważący wzrok poczętych ze związku biznesu i mamony. I śnięte oczy dzieciaków spółdzonych -

przez gorzałę i wymuszony biciem obowiązek małżeński. Do kogo mam mówić? Jedni i drudzy żyją w wirtualnym świecie. Klikają na własnym lub kolegi komputerze i drukują gotowce. Na wszystkie tematy. Od życia, seksu, języka, znajomości, przez pseudobohaterów i idoli. Jedyne teksty literackie, które wszyscy znają i których chcą się nauczyć na pamięć, to słowa rapowych hitów. Bez wykropkowania czy wypikania potrafią, niepytani, zinterpretować każde słowo.

- I mają rację - Krzysiek zareagował stanowczo. - Dziś liczy się konkret - jednak słuchał. - Garkuchnia umożliwiła mi poznanie języka, znajomość drugiego - korki... W efekcie zarabiam kilka razy więcej niż ty. Mieszkam luksusowo. Benzyna mnie nie kosztuje. A jeszcze żarcie, picie i rozrywki za darmo - wyczał dodatkowe bonusy do pensji, wyraźnie zadowolony ze swoich osiągnięć.

- Ważne są podstawy i ogólna wiedza. Chociażby po to, żeby później mieć z czego wybrać - wbrew sobie broniła obowiązującego programu.

- Irena, puknij się w czoło. Ja nie rozumiem tych twoich, wyrażanych poprawną polszczyzną, przemądrzałych rozważań na temat moralności, uczciwości, prawości, a co dopiero małolaty. To niedzisiejsze.

Miał rację. Nieważna była gramatyka, ortografia czy interpunkcja. Liczyły się konkrety i jednoznaczna interpretacja.

Od początku ich związku jasno postawił sprawę finansów. On płaci wszystkie świadczenia (te, za które - ale o tym dowiedziała się znacznie później - zwracała mu ambasada) i za alkohole. Ona za żywność, środki piorąco-czyszczące, podstawowe medykamenty.

Na własne wydatki zostawały jej grosze. Ile jemu, nie wiedziała. Za to widziała i słyszała. Kupił plazmowy telewizor. „Ja kupiłem”

- zaznaczył wyraźnie. Żeby nie miała wątpliwości, dodał: „Zawsze chciałem sobie kupować prezenty”, akcentując słowo „sobie”. To samo przy nowym sprzęcie grającym, fotograficznym czy sportowym. Markowe ciuchy, dodatki, drobiazgi typu zegarek, portfel, pasek czy pióro były koniecznością na jego stanowisku.

W pierwszych tygodniach obsypywał ją kwiatami, od czasu do czasu perfumami. Z wyrozumiałą pobłażliwością kupował odpowiedni strój na gale, premiery, rauty. Po miesiącu zabrał ją na romantyczny tygodniowy miesiąc miodowy w tropikach. Klimaty nasycone feromonami w drobinkach parującej wody. Wilgoć wszechobecna na zewnątrz i od środka. Dbał o nią pieczołowicie, skrupulatnie nawilżając, masując i wcierając w nią swój namaszczający olejek.

Irena dojrzała...

Miesiąc, dwa, trzy - nadawali i odbierali na tych samych falach. W niedługim czasie Irena zorientowała się, że Krzysiek jest kierowcą i tłumaczem na wszelkich nieoficjalnych spotkaniach: popołudniowych, wieczornych, nocnych i weekendowych. Dbał o zadowolenie przyjeżdżających i tutejszych - w czasie teoretycznie przeznaczonym na poznawanie kultury i tradycji gościnnego kraju. Od miejsca, przez menu, rozrywki, kobiety, aż po bezpieczne odholowanie do hotelu lub miejsca zamieszkania. Czasami pod same drzwi. Krzysiek znał wszystkie ciekawe i dyskretne miejsca. Dbał, żeby towarzyszące dziewczyny były na najwyższym poziomie, co oznaczało minimum matura, maksimum dwadzieścia pięć lat. Studia i znajomość języków procentowały.

Niektórzy z uczestników imprez chcieli mieć stałą partnerkę podczas regularnych dwu, trzydniowych pobytów. Dziewczyźnie odpowiadał okresowy „prawie dyplomata”, z którym mogła się

pokazać w towarzystwie. Krzysiek wiedział, które laski zaprosić na bigos i skrzynki wódki pod kryptonimem „polowanie”, a które na koncert i kolację uwieczoną szampanem w pokoju hotelowym.

Na imprezy zabierał ze sobą Irenę. Władczym okiem obserwował, jak na jej widok budziły się ojcowskie uczucia w starszych wiekiem gościach. Wkraczał w momencie, gdy któryś miał wyraźną ochotę wziąć ją na kolana, utulić i zanieść do łóżka.

W czwartym miesiącu lekkie zakłócenia i trzaski nie wzbudziły niepokoju Ireny. Nic nie trwa wiecznie, uspokajała się, czując coraz częściej lekkie zakłopotanie zachowaniem Krzyśka. Wspólne wyjścia zaczęły się zdarzać coraz rzadziej. Przestał zabierać ją ze sobą na służbowe bankiety i integracyjne wyjazdy. Wyjeżdżał sam, tłumacząc, że tak się złożyło, nie wypada albo nie tym razem. Obiady jadali oddzielnie. Spali razem. Coraz częściej tylko spali.

Kiedy pewnej nocy Krzysiek wyraźnie znudzony tuż przed przyspieszał, żeby po chwili zasnąć, Irena z przerażeniem spojrzała w stronę drzwi sypialni. W półmroku, zza uchylonych drzwi zerkała bezpostaciowa materia. Wpatrując się z uwagą, zobaczyła jednokształtną, monotonną szarość rozdziawiającą bezzębną paszczę w szyderczym uśmiechu.

Wzdrygnęła się. Dojrzała coraz szersze i częstsze ziewanie z widocznie unoszącym się bezbarwnym dymkiem. W szybkim tempie wypełniał sypialnię, złowieszczo chichocząc. Dlaczego nie usłyszała ostrzegającego dzwonka? Nie mogła! Nie dbała o higienę uszu. Wkładała superdźwiękoszczelne stopery. Słyszane we wszystkich możliwych tonacjach słowa: „Kocham cię”. Do tych z pierwszych dni dokładała te z następnych tygodni, nie zwracając uwagi na zmniejszającą się wraz z mijającym czasem częstotliwość. Pieczołowicie je upychała, tym głębiej i mocniej, im rzadziej je słyszała. Pączkowały w jej pamięci. Nic dziwnego, że ogłuchła.

Patrząc na uchylone drzwi, poczuła ukłucie w oku. Wstała i szybko wyszła z sypialni, zamykając za sobą drzwi. Poszła do łazienki. W powiększającym lusterku nie dostrzegła podwiniętej rzęsy, pyłka, drobin kurzu. Wpatrując się w źrenicę, skuliła się na widok wyrazistej twarzy Krzyśka.

W jego ściągniętych brwiach, niewidzącym spojrzeniu i znie-smaczonym grymasie ust ujrzała swój obraz. Patrzył na nią jak na obeschniętą, z grudkami zjełczałego tłuszczu, popaćkaną zaskorupiałą musztardą, przygotowaną i ułożoną na talerzu przed paroma tygodniami - golonkę. Ulubione mięsiwo chrapiącego smakosza.

Zajrzała w drugie oko. Zobaczyła pączusia świeżo wyjętego z roztopionego smalcu, po systematycznych wizytach w solarium.

Bomba kaloryczna i uśmiech rozbawienia - pierwsza myśl i pierwsza reakcja Ireny. Po chwili obiektywnie oceniła.

Polukrowany zniewalał zapachem i kokieteryjnym spojrzeniem nadzianego ciacha. Bogato zdobiona osłonka, w którą był włożony, stanowiła dodatkowy argument na rozgrzeszenie się amatorki drogich, luksusowych słodyczy. Można zapomnieć o diecie. Stres rozładować, dopieszczając zmysły wonią podarowanych, drogich perfum. Wzrok zatrzymać na metkach ubrania, zegarku i mięciutkiej skórce wypchanego portfela. W trakcie konsumpcji przymierzać w myślach obiecaną suknię od najmodniejszego projektanta i widzieć się na leżaku na Karaibach. Orgazm z obżarstwa gwarantowany.

Jeszcze raz wróciła do pierwszego, odrażającego obrazka, tym razem stając nago przed dużym lustrem. Mimo ogarniających ją mdłości wpatrywała się długo. Obroty, skłony, przysiady pozwoliły dostrzec więcej szczegółów. Zobaczyła wystarczająco dużo, żeby wyciągnąć wnioski, zaplanować działania i od jutra przystąpić do natychmiastowej realizacji.

Wychodząc z łazienki, spojrzała na zegarek. Szósta. Skorygowała termin startu. Od dziś. Poszła do kuchni przygotować śniadanie.

- Krzysiek. Mam propozycję. - Przyniosła do pokoju kolejne kanapki, zgodnie z wyrażonym przed chwilą życzeniem.

- Zapiszmy się na siłownię, basen albo pobiegajmy. Gnuśniejemy przy telewizji. - Kucnęła obok fotela, którego wnętrze wypełniał sobą, jeszcze jej, pączuś. - Orzeszki i chipsy już zrobiły swoje. Tyjemy. - Dyplomatycznie użyła liczby mnogiej. - Może byśmy wspólnie zadbali o sylwetki, wygląd i kondycję?

- Do reszty zgłupiałaś? Przychodzę skonany i chcę jednego. Odpocząć. - Wyciągnął nogi do przodu, żeby sadło na brzuchu miało więcej luzu. Jedząc kolejną kanapkę, przyglądał się jej badawczo. - Tobie by się przydało - ocenił i odwrócił wzrok w stronę telewizora. - Nawilżyć i zjędrnieć - dopowiedział po ponownym spojrzeniu na nią i odłożył niedojedzoną kanapkę. Stracił apetyt. - Masz ciastowate ciało. Zapuściłaś się. Sflaczałaś - doprecyzował i zerknął na ekran. - Zobacz, jakie laseczki. - Ożywił się i sięgnął po niedokończoną kanapkę.

- Soczyste i jędrne, aż mi ślinka leci - zachichotał i zmysłowo oblizwał wargi.

- Raczej wytapia ci się sadło - wstając, odbiła piłeczkę.

- Jakaś ty głupia - skwitował i spojrzał na nią z politowaniem. - Nie wiesz, ile jest amatek „wypasionych” facetów - zarechotał sprośnie i dalej pożądliwie wpatrywał się w seksowne dziewczyny w kostiumach kąpielowych.

Samokrytycyzm Krzyśka, w chwilach dobrego humoru, wyrażał się jedynie w podziękowaniach naturze, że nie jest kobietą. U płci żeńskiej nawet kilka najdroższych zegarków, pasków czy markowa sukienka nie byłyby w stanie wywołać niepohamowanego pożądania w spojrzeniach małolatów.

Wychodząc z pokoju, usłyszała:

- Idź. Idź. Najlepiej do łazienki - Krzysiek nie przestawał szydzić. - Przyjrzyj się sobie w lustrze. Nago.

W przedpokoju rozplakała się cicho, tak żeby nie usłyszał. Nie słyszał. Za to ona jego krzyk - tak.

- Ostatni dzwonek, żebyś coś z sobą zrobiła, zamiast dziwić się, że już mnie nie podniecasz jak kiedyś!

Po chwili wrzasnął:

- Przyjdź na chwilę!

- Nie krzycz tak. Sąsiedzi - upomniała go, wchodząc z suchymi już oczami. - Gdy chcesz czegoś, to sam sobie przynieś.

- Chcę ci doradzić. W szmateksie to możesz ubierać się do szkoły. Chcąc wyjść gdzieś ze mną, musisz jakoś wyglądać. - Patrząc na nią, spokojnie dodał. - Ja nie chcę się z tobą rozstać, ale ty mnie możesz do tego zmusić. Przemyśl to. - I wrócił do oglądania smakowitszych ciałek.

Krzysztof miał czas. Szedł do pracy dużo później. Irena wyszła, utwierdzona w swoim postanowieniu.

KRYSTYNA

Spotkanie dwóch bratnich dusz

Popołudniu Irena wykupiła karnet na siłownię i basen. Wracając do domu, przyglądała się mijanym wystawom. Krzysiek ma dużo racji. Musi wymienić garderobę, tylko najpierw zrzuci trochę golonek. Dotychczas ubierała się adekwatnie do statusu nauczycielki. Stonowane kolory. Długość spódnic do kolan. Bluzki i sweterki z małym rozcięciem, luźne, żeby nie podkreślały jej biustu. Całość dodająca lat Małolacie (taką ksywkę miała w szkole).

Od teraz po pracy czas na modne ciuchy, trochę luzu i zdecydowanie seksowniejszy wygląd - postanowiła i na samą myśl się wyprostowała. Przystanąła na chwilę, po czym zawróciła i

zdecydowanym krokiem ruszyła wprost do celu. Upiecze dwie pieczenie naraz. Zlustruje zakład kosmetyczny kuzynki kolegi, gdzie niedawno umówiła Zosię na rozmowę o pracę. Przyjrzy się incognito właścicielce, a przy okazji sprawdzi ceny zabiegów. „Salonik kosmetyczny” - ta nazwa spodobała jej się od samego początku. To coś dla mnie - pomyślała. „Klinika piękności”, „Salon urody” nie są na jej nauczycielską kieszeń. Na „Salonik” zdoła może zarobić korepetycjami.

Weszła do środka, przyglądając się wewnątrz uważnie. Delikatny różany zapach wypełniał niewielkie pomieszczenie. Na ścianach - kolor lodów pistacjowych rozjaśnionych wanilią. Dwa wygodne fotele obite ciepłą tkaniną w kolorze złotawym. Na stoliku szklana patera wypełniona świeżymi płatkami złotożółtych róż. Zdążyła też zauważyć dwa prześliczne wiklinowe parawany, zanim podeszła do niej dziewczyna mniej więcej w jej wieku. Irena zwróciła uwagę na jej sukienkę. Lekko złotawy odcień materiału. Mały okrągły dekolt. Krótki rękaw. Kilka kieszonek w różnych miejscach. Zapinana z przodu na złote guziczki. Takie same jak klipsy w uszach dziewczyny.

- Dzień dobry. Zapraszam - powiedziała kobieta, uśmiechając się jak do dawno niewidzianej znajomej.

Irena automatycznie cofnęła się o krok. Jak zawsze, gdy personel z wymuszonym uśmiechem próbował osaczyć klienta. Wchodząc do sklepu, lubiła rozejrzeć się po wieszakach. Popatrzyć na fasony, kolorystykę, ceny i pobić się z myślami, czy stacją na zakup. Ewentualnie samej poprosić o pomoc. Zagadnięta tuż od wejścia: „W czym pomóc?”, dziękowała i szybko wychodziła. Wiedziała, że to dziecinada, objaw niepewności. Znała przyczynę i dziś sama się z niej śmiała, ale nadal reagowała tak samo.

Kilka lat temu na wystawie zobaczyła śliczne czótenka na

wysokiej szpilce. Obok żadnej karteczki, ale oczywiście podejrzewała, że są bardzo drogie. Jednak nie mogła się oprzeć, mając w torebce odebraną w tym dniu pensję z dwóch szkół. Trudno - pomyślała - o suchej bułce i mleku przeżyję, bez tych butów na pewno nie. Weszła do pustego sklepu. Druga para takich samych butów stała w gablocie za szybą. Podeszła bliżej. „Proszę nie odsuwać szyby” - usłyszała głos za sobą. Odwróciła się. „Chciałam tylko obejrzeć”. Słyszac swój niepewny głos, zaczerwieniła się.

Starszawy bysio w garniturze, pod krawatem, z tatuażem na dłoni taksował ją wzrokiem od stóp po czubek głowy. Wraz z zegarkiem, torebką i kolczykami. Miała wrażenie, że za chwilę każe jej otworzyć usta, żeby mógł obejrzeć stan uzębienia.

„Popatrzeć można z ulicy. Są wystawione” - poradził z pogardą w głosie. Z wyraźnym wstrętem położył rękę na jej ramieniu i skierował w stronę drzwi. „Wyjdź dziewczynko. Masz warunki, żeby załapać lepszych klientów”. Zamknął drzwi z głośnym, zmysłowym śmiechem politowania.

Irena długo nie mogła dojść do siebie. Nie dość, że wziął ją za złodziejkę, to jeszcze za prostytutkę. Szła prosto z pracy. Jej ubiór nie mógł nasuwać takich skojarzeń. „Więc co?” - pytała koleżanek. „Dziewczyno! Mieszkam obok. Nigdy nie widziałam, żeby jakaś klientka mierzyła tam buty. Jeżeli już, to wchodzą z napakowanymi facetami i od razu zapraszani są na zaplecze. Mówię wam, to jakieś podejrzane miejsce - wyjaśniła jedna z nich. - Wiem od babki pracującej obok w Biurze Podróży. Też upatrzyła sobie cudencko. Właściciel powiedział, że najtańsze kosztują kilka tysięcy złotych”.

Od tamtej pory Irena omijała szerokim łukiem małe, eleganckie sklepy z bezcennym eksponatem na wystawie. W psychice pozostał uraz.

- Proszę się nie obawiać. Nie jestem akwizytorem. - Krystyna wyczuła chęć ucieczki i uśmiechem próbowała uspokoić klientkę. - Jestem właścicielką i jedynym pracownikiem. Proszę usiąść. Odpocząć. To nic nie kosztuje ani do niczego nie zobowiązuje - zastrzegła. - Przejrzy pani moją ofertę i ceny za poszczególne zabiegi. Wtedy będzie czas na decyzję, czy chce pani wyjść, czy zostać.

Zapraszającym gestem wskazała fotel i podała cennik. Odeszła. Po chwili wróciła ze szklanką soku.

- Proszę. - Nie patrząc na Irenę, postawiła na stoliku. Bez słowa wróciła za parawan do klientki.

Irena uspokoiła się i uważniej przyjrzała wnętrzu. Już sam jego widok działał relaksacyjnie. Popijając sok, przejrzała ceny i pomyślała, że na niektóre zabiegi stać ją już teraz. Połączone z ćwiczeniami fizycznymi mogłyby zdziałać cuda. A ona potrzebowała właśnie tego, żeby Krzysiek znów zobaczył w niej „ósmą cud świata”. Po dwóch kwadransach zza parawanu wyszła klientka.

- Do widzenia, Krysiu - powiedziała, podchodząc do dużego lustra. - Szkoda, że nie mam wieczorem randki - westchnęła. - Wpadnę za tydzień.

Wyszła, żegnana powietrznym całusem właścicielki.

- Należę sobie soku i już przychodzę - powiedziała właścicielka i po chwili siedziała przy stoliku. Z przyjaznym uśmiechem zaczęła rozmowę: - Nie wyszła pani. Czym wobec tego mogę służyć?

- Wszystkim! - wyrwało się Irenie, która natychmiast zrelektowała się, że w połączeniu z jej rozmarzonym spojrzeniem mogło to dwuznacznie zabrzmieć. - Większością - poprawiła się i roześmiała. Żeby skonkretyzować, odruchowo krzyknęła: - Jestem hetero! - Teraz wybuchnęły śmiechem już obie.

- Ja również - wyznała Krystyna. - Mam męża. - I nie mogąc

powstrzymać chichotu, dodała: - Dla pełnej jasności, płci męskiej.

- A ja mam męża nie męża - Irena zorientowała się, że znów brnie w niejasność. - To znaczy męża bez ślubu - bezradnie spojrzała i dodała, wyjaśniając: - To znaczy, że nic to nie znaczy.

- Kryska, zamknij drzwi - głośno krzyknęła właścicielka, mimo że w saloniku były same. Wstała i skulona od śmiechu podeszła do drzwi. Odwróciła tabliczkę: „zamknięte” do frontu. Opuściła żaluzje i przekręciła klucz. - Dobrze być dwiema w jednej. Polecenie i natychmiastowe wykonanie. - Wróciła do Ireny. - Winna jestem kawę. Za najlepszy z zabiegów. Porcję szczerego śmiechu. Napije się pani?

- Chętnie - przytaknęła Irena, wycierając łzy i rozmazany tusz.

Przy kawie przeszły na ty. Zapropozowała Krystyna, mówiąc:

- Rzadko spotyka się osobę, z którą po paru zdaniach wymienia się pozytywną energią. Najczęściej mam klientki emitujące fluidy przesiąknięte negatywnymi emocjami. Pozostałe to energia uśpiona. Rodzynki to takie jak ty. Wyczuwam, że martwisz się połową siebie. Sądzę, że tym mężem nie mężem. Druga połówka jest pełna tłumionej radości.

- Muszę wypięknąć. - Irena uznała, że bratnia dusza zrozumie od razu.

- Jak mus to mus - zrozumiała Krystyna, przyglądając się dokładnie twarzy Ireny. - Na kiedy?

- Na wczoraj.

- Pytałam, kiedy chcesz przyjść? - spytała Krystyna, przeglądając notatnik. - Mam propozycję. Klientka odwołała wizytę. Zaczynamy od razu?

Irena z przyzwyczajenia spojrzała na zegarek. Nie miała żadnego powodu, żeby wracać szybko do domu. Krzysiek uprzedził, że nie wraca na noc. Wyjątkowo. To znaczy wyjątkowo

powiadomił, bo na noc nie wracał często. Sięgnęła po torebkę. Wyjęła portfel.

- Mam czas, dwieście złotych i determinację.

Zaproszona serdecznym uśmiechem i gestem weszła za parawan.

Leżąc wygodnie na rozkładanym fotelu, słuchała propozycji kosmetyczki: czyszczenie, masaż i nawilżająca maseczka.

Krystyna poprosiła, żeby Irena zamknęła oczy i posłuchała muzyki. Nie mówiła do siebie, nie pytała się o nic, nie odpowiadała sobie na żadne pytanie. Rozluźniła mięśnie, uspokoiła oddech i wyłączyła mózg.

Po kilkunastu minutach Irena, czując palce Krystyny spacerujące po swojej twarzy, szyi, dekolcie i ramionach, przeniosła się w swoje ukochane miejsce, gdzie czekał na nią jedyny, prawdziwy, zaufany przyjaciel. Pod powiekami zobaczyła dużą, ukwieconą łąkę, na której pał się jej ukochany koń.

Tuż po maturze Irena całe trzy miesiące wakacji spędziła w stadninie koni. Karmiła, poiła, czyściła tego jedyne, dla niej przeznaczonego wierzchowca. Nauczyła się, która szczotka jest do czyszczenia sierści, która do głowy, a która do ogona. Umiała wyczyścić całą powierzchnię spodnią kopyta i rowków przy strzałce. Pielęgnacji swojego ulubieńca poświęcała parę godzin dziennie. Poczwała, że wypełniają szczęście, gdy po kilku dniach koń zaczął poznawać ją po głosie. Przyzwyczaił się do poklepywania, głaskania, drapania. Podstawiał łeb i miał bardzo zadowolone spojrzenie, gdy przytulała się do niego. Ze zrozumieniem wysłuchiwał wszystkiego, co mu szeptała. Nazwała go Confesio, bo wyznawała mu wszystkie swoje tajemnice. Nie pytał, nie dziwił się, nie krzyczał, nie drwił, nie ganił. Rozumiał wszystko.

Marzenie Ireny, żeby chociaż raz znaleźć się w objęciach ojca, a po chwili udusić go własnymi rękami. Żał do mamy, że wśród paru wujków nie znalazł się żaden, który byłby z nimi na stałe. Szczególnie w podstawówce, gdy koleżanki chwaliły się swoimi ojcami. Babcie, mamy, ciocie, kuzynki nie liczyły się.

W ostateczności mógł być wujek. Jej prawdziwy wujek nie nadawał się. Był za gruby, za stary, za biedny i w dodatku ze wsi. Gdyby przyszedł odebrać ją po zabawie, to byłby obciach na lata.

Siedziała w siodle i w takt poruszających się palców Krystyny prowadziła konia stępem, kłusem, galopem i cwałem. Po chwili znów zwalniała. W końcu stanęła i nachylając się do przodu, objęła go ramionami. Czując ciepło i aksamitną sierść wszystko rozumiejącego spowiednika, zasnęła.

Krystyna nałożyła maseczkę, przykryła Irenę, zgasiła lampę i po cichu wyszła. Spojrzała na zegarek, do zamknięcia zakładu było jeszcze pół godziny. Umówiła się z mężem, że przyjedzie po nią i razem podjadą do supermarketu.

Romek upajał się...

Pierwszy raz Romek wyszedł z pracy szczęśliwy. Po drodze wypił dwa piwa za swój sukces. Był pewien, że Kryska ucieszy się z niespodzianki. Fakt. Mieli sobie wszystko mówić, ale wtedy nie byłoby radosnego zaskoczenia. Miał ochotę wpaść do niej do pracy i od razu podzielić się swoim osiągnięciem. Nie zrobił tego, wiedząc, że byłaby zła. Śmierdział, miał brudne ręce i do tego czuć było od niego piwem. Zepsuły jej wizerunek przed klientkami. To nic. Wybacz mu milczenie. Kupił szampana. Otworzył jej drzwi z tacą w ręku.

Czekając na żonę, upajał się swoją radością. Kochał jeździć samochodem. Kryska wiedziała, że jej rywalką jest kierownica.

Wyjeżdżali w piątki późnym wieczorem. Ona spała, on odpoczywał, trzymając ręce na kierownicy. W otaczających ciemnościach światło reflektorów na szosie kojarzyło mu się z dniem, w którym zdobył się przywrócić jasność matce.

Od kiedy pamiętał, ojciec był bez pracy. Zawsze pił i bił. Najczęściej matkę, która osłaniała sobą synka. Była szczupłą, drobną kobietą. Choroba zrobiła z niej cień, który nie miał już cienia. Żyli z jej renty i z tego, co Romek dorobił. Kosił trawę, strzygł żywopłoty, pomagał przy przeprowadzkach. Nocami pracował w pobliskiej piekarni. Mama z radości, że dostał się do technikum, dała na mszę.

- Mamo, szkoda grosza, dałaś przed. Po co jeszcze po? - tłumaczył, patrząc z miłością na matkę. Już nie musiała go zasłaniać sobą. Miał prawie dwa metry wzrostu. Muskuly i mięśnie wymodelowane ciężką fizyczną pracą. Proponowano mu granie w kosza. Niestety, za jego wzrostem nie nadążało serce. Po badaniach został zdyskwalifikowany.

Pewnego dnia wrócił niespodziewanie wcześniej do domu. Matka stała wciśnięta w róg kuchni, z jednej strony osłonięta ścianą, z drugiej bokiem lodówki. Zobaczył, że ma zaczerwieniony policzek i suche, zimne oczy. Nie było w nich dotychczasowego lęku, tylko nienawiść tak silna, że mogłaby zabić. Niestety, spojrzeniem nie można. Nożem, który trzymała w ręku, tak.

- Mamo! Nie! - krzyknął i w tym samym momencie złapał ojca za uniesioną do bicia rękę. Ten zachwiał się, spojrzał z pogardą i wybełkotał:

- Zabiję cię, diabelski pomociu.

Wyrwał rękę i próbował uderzyć. Przewrócił się na ziemię po kopniaku w kolano i wrzeszczał z bólu, próbując wyrwać wykręconą rękę:

- Popamiętasz mnie, ty skurwysynie! Zabiję jak psa!
- Nie. To ty zapamiętaj! Jeszcze raz uderzysz matkę i chlupniesz do wody z kamieniem u szyi.

Stanowczość bijąca z twarzy Romka i siła spojrzenia spowodowały, że ojciec uspokoił się. Przyglądał się zdziwiony sylwetce stojącego nad nim syna. Przebłysk świadomości pozwolił mu oszacować siły przeciwnika. Dotarło do niego, że przewaga jest duża, bardzo duża, po stronie nagle dorosłego syna. Wstał, przytrzymując się stołu.

- Niech mi nie wchodzi w drogę - wycharczał. - Daj piwa! - krzyknął do żony.

Matka wyszła ze schronienia, odłożyła nóż i otworzyła lodówkę.

- Nie! - wrzasnął Romek, kopniakiem zamykając drzwi od lodówki. - Od dziś niech sam zarobi. Koniec z żarciem i wyrem za darmochę. Rozumiesz?

Podszedł do ojca i wykręciwszy mu rękę, wyprowadził z mieszkania. Zamknął drzwi, żeby matka nie słyszała.

- Zjeżdżaj i najlepiej nie pokazuj się - wycedził przez zęby, przytrzymując ojca za ramiona.

- Gdzie bede żarł? - Ojciec kurczył się z minuty na minutę.
- Gdzie chcesz. Dam ci forszę.
- Na piwo też. - Na myśl o pieniądzach wyprostował się.
- Przychodź co rano przed dom. Dam ci tyle, że starczy na żarcie. Twoja sprawa, czy zjesz, czy przechlasz. Pod warunkiem, że pijany nie przekroczysz progu mieszkania. Rozumiesz? - mówił wolno, dobitnie i zdecydowanie. - Jutro spakuję twoje rzeczy i rano dostaniesz.

- Zgłoszę na policję - postraszył ojciec, stojąc już w bezpiecznej odległości pół piętra niżej.

- Choć raz zrobisz coś pożytecznego.

Romek odwrócił się i wrócił do mieszkania.

Przez blisko rok ojciec przychodził codziennie przed jego wyjściem do szkoły. Dostawał forszę i znikał. Romek dowiedział się, że śpią we czterech w melinie. Ojciec rządził. Jedyne miał stałą dniówkę. Któregoś dnia policja powiadomiła, że zapili się na śmierć. Ojciec miał w organizmie ponad trzy promile alkoholu. Romek pochował ojca. Matka na pogrzeb nie poszła.

Z każdym tygodniem była coraz słabsza, ale nieustannie promieniała radością. Jej oczy nabrały blasku. Sprzątając, cichutko śpiewała. Gotowała - śmiejąc się. Ale też coraz częściej płakała. Z bólu zadanego od środka. Dla nowotworu trzustki syn był za malutki, bezsilny, bezradny tak jak medycyna. Lekarz uprzedził Romka, że jedyne, co można zrobić, to uśmierzać ból. Przepisał bardzo drogie leki. Na szczęście Romek potrafił już zreperować kosiarkę, lodówkę, motor i samochód. Mamy renta wystarczała na jedzenie. Na wszystko inne zarabiał on.

Na studniówkę do liceum zaproszono chłopców z technikum. Poznał śliczną dziewczynę, która spodobała mu się od pierwszego spojrzenia. Spotkali się parę razy. Bał się, że jak powie jej prawdę - ona odejdzie. Wołał, żeby odeszła od razu.

Powiedział Krysi o ojcu, matce, biedzie i o swoich obowiązkach. W dniu, w którym przyszła do nich z przepisami na dietę przy chorobach trzustki i ziołami dla jego matki - już wiedział, że to właściwa dziewczyna. Nie był pewny, czy ona go na tyle lubi, żeby pokochać. Pokochała. Była z nim w szpitalu przy matce aż do jej śmierci.

Ona podsunęła myśl, żeby wykupić mieszkanie. Odkładać grosz do grosza. Rodzice dawali jej kieszonkowe, dorabiała, chodząc do domu chorych klientek. Robiła manicure, pedicure, myła głowę, czesała, pomagała przy kąpieli.

Rodzice Krysi byli starszymi ludźmi. Ojciec przeszedł na wcześniejszą emeryturę, matka od kilkunastu lat była na rencie z powodu choroby stawów. Znali go najpierw z opowiadań córki. Po śmierci matki zaczął przychodzić do nich na obiady. Teraz im

pomagał we wszystkich domowych naprawach. Polubili go, zaakceptowali i jeszcze przed ślubem traktowali jak syna. Romek przylgnął do przyszłego teścia i cieszył się, że ma takiego ojca, o jakim zawsze tylko słyszał od niektórych kolegów. Na jego pogrzebie płakał jak dziecko. To jego uspokajała Krysia i jej matka.

- Wykupimy mieszkanie, damy radę i już - powiedziała, patrząc mu w oczy. - Jeżeli tylko będziemy się kochać.

- Nie tylko! - krzyknął. - Aż! - podniósł ją i kręcąc w kółko, powtarzał: - Damy. Razem zawojujemy świat.

- Nie chcę całego świata - śmiała się rozbawiona. - Chcę ciebie, pracy, domu i dziecka. Naszego świata.

- O tym mówiłem. Zaręczysz się ze mną? - spytał, stawiając ją na podłodze. - Na pierścionek za stówę chyba nas stać?

- Nie - odpowiedziała i widząc jego minę, szybko się poprawiła. - To znaczy, tak. Zaręczymy się. - Pocałowała go w szyję. - Pierścionek kupimy w tym sklepiku na rogu „Wszystko po pięć złotych”. - Stając na palcach, rękoma przyciągnęła jego głowę. - To będzie najpiękniejszy pierścionek na świecie. Nawet gdy kiedyś kupisz mi duży brylant i tak tego nie zdejmę z palca.

ZOSIA I ULA

Siostry dziwiły się...

Przejętna uroda, przejętna sylwetka, przejętna dziewczyna - tak myślała o sobie Zosia od chwili, gdy potrafiła już porównywać.

Urodziła się w niewielkiej wiosce, oddalonej od stolicy tylko o pięćdziesiąt kilometrów. Większość mieszkańców to kilkoro małych dzieci i starzy ludzie. Młodzież zaraz po gimnazjum, rzadko liceum, uciekała do miasta, przynajmniej do miasteczka. Dwojgu

udało się zamieszkać w stolicy, jedna dziewczyna wyjechała z kraju.

W domu rodzinnym było czasami głodno i chłodno, ale Zosia z siostrą nigdy tego nie odczuły. Z Ulą, starszą o dwa lata, były jedynymi dziewczynkami w wiosce. Dla nich „domem” było pomieszczenie gospodarcze z kuchnią węglową, dużym stołem, tapczanem i telewizorem. Na kuchni stał kocioł z żarciem dla świń, na brzegu ogrzewało się mleko na ser, na fajerce - garnek z gotującym się jednodaniowym obiadem. Tu przychodził ojciec po powrocie z pola. Obmywał się w dużej miednicy i kładł na tapczan, pijąc robiony przez mamę podpiwek lub kwas chlebowy.

Pierwsze kroki po szkole dziewczynki kierowały zawsze w tę stronę. Na kuchni czekała na nie gorąca zupa z wkładką. Zjadały i odrabiały lekcje. Zawsze wracały razem. Zosia kończyła wcześniej i czekała w świetlicy na Ulę. Już starsze, umawiały się na rynku. Od przystanku autobusowego miały do domu pięć kilometrów, większość drogi przez las. Razem było raźniej i bezpieczniej, szczególnie w słotne, ponure dni. Trzymały się za ręce i wzajemnie uspokajały, żeby widząc z daleka dom, śmiać się jedna z drugiej: „Która więcej widziała i słyszała świecących ślepi wilków i tupotu racic dzika?”.

Biegły wprost do swojego „ciepełka”. Przy buzującym ogniu, gorących racuchach i kompocie czuły, że są w najwspanialszym miejscu. Kochający i kochani rodzice, rodzinny dom, poczucie bezpieczeństwa - to dla nich przesiąknięte sobą zapachy upieczonego przez mamę chleba, świeżo wydojonego mleka i parujących ziemniaków dla świń.

Mama na śniadanie robiła zacierki na mleku. Na obiad pierogi z różnymi nadzieniami albo ziemniaki ze zsiadłym mlekiem. Na kolację smażyła racuchy. Nigdy nie były głodne, mimo że mięso i wędlina były w dzieciństwie przysmakami dni świątecznych.

Jako nastolatki dziwiły się, jedząc kanapki z szynką, baleronem

lub kiełbasą, gdzie podział się ten niepowtarzalny, świąteczny smak zapamiętany z dzieciństwa. Już starsze śmiały się razem z rodzicami, że piętrowy, nowy dom jest gościnnym miejscem i dla nich. Sypialnia rodziców i pokoiki dziewcząt były na piętrze. Na dole druga łazienka, kuchnia oraz duży pokój gościnny zwany salonem. Tu odbywały się rodzinne uroczystości. Imieniny rodziców, urodziny córek, przyjęcia komunijne. Raz na trzy lata święta. Mama miała dwie siostry. Każdego roku inna zapraszała całą rodzinę, żeby przy świątecznym stole wspominać dawne czasy. Ula z Zosią najbardziej lubiły święta wyprawiane u nich. Zaraz po kolacji wymykały się do ich prawdziwego domu, do „ciepełka”. Oglądając prezenty, snuły marzenia, wyobrażając sobie Boże Narodzenia, które one będą urządzać. Kładły się na tapczanie i przytulone czekały na znak od rodziców. Wszyscy razem wychodzili na pasterkę. Do kościoła było trzy kilometry. Wracały zziębnięte. Im bliżej do domu, tym szły szybciej, żeby od razu po wejściu rozpalić pod kuchnią i czekać, aż temperatura pozwoli zdjąć kurtki i buty. W ich łóżkach spali goście. One były już za duże, żeby spać w jednym z rodzicami. Wolały w swoim „ciepełku”, mimo zimna, jakie ich witało. Kładły się w czapkach, skarpetach i rękawiczkach. Budząc się rano, szukały części garderoby pod pierzyną i pledami.

Mama raniutko rozpaliała ogień. Na stoliku, przy tapczanie, stawiała w kubkach ciepłe, świeżo wydojone mleko i po dużym kawałku drożdżowego ciasta. Dalej, mimo mijających lat, o smaku świątecznym. Na maśle, kilkunastu jajkach i z dużą ilością bakalii. Ciasto zachowało swój smak dzięki córkom. One uprosiły rodzicielkę, żeby takie ciasto piekła tylko dwa razy w roku. Na Wielkanoc i Boże Narodzenie.

Siostry bardzo się kochały. Ula od małego pilnowała Zosi. Miała siedem lat, gdy mama szykowała im kanapki, picie i szła w pole. One zostawały same w domu, czasami nawet na parę

godzin. Ula matkowała Zosi, pilnując, żeby siostra nie zrobiła sobie krzywdy. Sąsiedzi chwalili starszą córkę, że nad wiek dojrzała i odpowiedzialna. Rodzice żartowali, że starsza zachowuje się jak dwa razy starsza, a młodsza, Zosia, jak dwa razy młodsza i dlatego jest posłuszna Uli. Zdane na swoje towarzystwo razem bawiły się, od małego pomagały rodzicom, uczyły i coraz częściej wspólnie marzyły.

Zosia była dobrą uczennicą. „Zdolna jesteś” - słyszała od nauczycieli. „Masz talent, dziewczyno. Nie zmarnuj tego” - powtarzała wychowawczynie, patrząc na namalowane przez nią rysunki.

Ula zdała do gimnazjum. W nagrodę mama pierwszy raz zabrała córki autobusem do stolicy. Potem już co roku po zakończeniu szkoły jeździły we trzy autobusem na cały dzień. Mama siadała najczęściej na ławce i przyglądając się ludziom, czekała. One dostawały po dziesięć, piętnaście złotych i same miały zdecydować, co sobie kupią. Chodziły wzdłuż alejek, oglądając kolejne stragany, których była niezliczona ilość. Jeszcze więcej różnych wspaniałych rzeczy, kuszących wzrok i kieszeń, ale nie z ich zasobami. Ulka wydawała wszystko. Wiedziała, że młodszej siostrze ciężko było się zdecydować, co kupić, i parę groszy jej zostanie. Będzie na colę lub loda. Jako wyrównanie pozwoli Zosi założyć swoją bluzeczkę lub posmakować nowo zakupionego, ananasowego błyszczyka do ust. Oczywiście tak, żeby rodzice się nie zorientowali.

W sezonie letnim wieczorami ubierały się, czesały i przechadzały wiejską promenadą. Drogą prowadzącą do lasku i wału nad rzeką. Tu po dwóch stronach wyrastały coraz to piękniejsze domy letniskowe. Dziewczyny szły wzdłuż siatek metalowych, ogrodzeń z pali drewnianych, żywopłotów z ciernistego berberysu, głogu lub kolczastych róż tworzących skuteczną zaporę przed nieproszonymi gośćmi.

Zosia lubiła te pierwsze żywopłoty powstające przy wiosce - pachnących z daleka jaśminowych krzewów czy obficie kwitnącej wajgeli z trąbkowatymi, czerwonymi kwiatami. Ulę zachwycały nowo powstałe, pięknie strzyżone zielone ściany. Idąc, wdychały zapach grillowanych mięs, kaszanek, kiełbas, którym towarzyszył odgłos rozmów, śmiechów i krzyków rozbawionych ludzi. Wracając, snuły śmiałe plany na przyszłość...

ULA

Koniec lata przywitany pianiem ze szczęścia

- Pierwszy krok za mną! - krzyczała uradowana Ula i całowała świadectwo dojrzałości. - Teraz tylko wyrwać się jak najszybciej z tej dziury. Boże, dopomóż! - modliła się, patrząc w niebo.

Nie chciała iść na studia. Od dawna planowała zatrudnić się jako pomoc do dziecka, oczywiście za granicą. Szlifowała język niemiecki, czytając książki, które pożyczała od swojej nauczycielki. Na przerwach rozmawiała z panią po niemiecku. Dostała od niej w prezencie słownik polsko-niemiecki i niemiecko-polski z dedykacją po niemiecku: „Dla Uli, mojej najzdolniejszej uczennicy”.

Ojciec już od paru lat miał stały dochód. Przez cały rok opiekował się ogrodem i domem państwa Kowalskich. Starych ludzi - on był po osiemdziesiątce, jego żona niewiele młodsza. Przywoził ich w maju syn. Zabierał, przy ładnej pogodzie, z końcem września. Syn był starszy od ojca dziewcząt, a wyglądał na parę lat młodszego. Zosia widziała go raz, może dwa, ale nie przyglądała mu się bliżej. Ulka mówiła, że to bardzo przystojny mężczyzna.

Podobny do Richarda Gere. Po obejrzeniu *Pretty Woman* ten aktor był dla niej wcieleniem ideału.

Mamie płacili za gotowanie obiadów dla starego małżeństwa i opiekę. Spora suma pieniędzy zasilala rodzinny budżet. Mama uzgodniła z Ulą: „Skończyłaś szkołę. Zajmiesz się opieką nad starymi Kowalskimi. Odkładaj pieniądze. Będziesz miała na start w dorosłe życie. Jak będziesz chciała jechać do miasta, poproś Zosię, żeby cię zastąpiła. Oddaj jej dniówkę. Obie będziecie zadowolone”. I były.

Pod koniec lata Ula piała ze szczęścia. Syn Kowalskich, mieszkający na stałe w Niemczech, zabiera na zimę rodziców do siebie. Powiedział, że chętnie zatrudni Ulę. Do jej obowiązków należałoby gotowanie, sprzątanie i opieka nad seniorami. Dostałaby spore wynagrodzenie. Mamę przekonał zapewnieniem, że wyśle Ulę na kurs doszkalający język, a potem na taki, jaki sobie wybierze. A na lato przyjadą na działkę.

- Zgodzisz się? - pytała Zosia wpatrzona w twarz matki, próbując odczytać coś z jej spojrzenia.

- Zgodzisz się! - Ulka pierwszy raz w rozmowie z mamą podniosła głos. I stanowczym tonem głosu podkreśliła z mocą: - Jestem pełnoletnia i mogę decydować sama.

Zosia wiedziała, że siostra już zdecydowała, tylko bała się, że bez pozwolenia rodziców pan Kowalski nie zgodzi się jej zabrać.

- Zgodzisz się. - Tata, patrząc na mamę, śmiał się z jej miny.
- Czas wypuścić pisklę z gniazda. Nauczyliśmy ją latać. Ma prawo polecieć, gdzie chce.

Dwa lata później Zosia zrobiła maturę i dostała się do Policealnej Szkoły Kosmetycznej.

Ula dała znać, że starszy pan jest chory i w tym roku nie przyjadą.

IRENA

Musi pani coś z tym zrobić...

Irena, wychodząc z gabinetu dyrektora, powstrzymywała się od śmiechu. Każdą ich rozmowę kończyło teraz jego pytanie: „Nie chce się żenić? Może pomóc?”...

Odkąd zaczęła pracować, dyrektor szkoły parę razy w tygodniu wzywał ją na dywanik. Siedział rozparty w fotelu za biurkiem, już od drzwi witając ją strofującym spojrzeniem, patrząc przy tym z upodobaniem na jej zalęknioną twarz. Ona, jak uczennica, stawała wyprostowana dwa metry przed dyrektorskim ołtarzem.

- Daję pani kolejny raz szansę. Pani wychowankowie są najgorszymi uczniami w szkole.

- Przeciwnie. Wielu z nich przoduje w ogólnej klasyfikacji - drżącym głosem próbowała się bronić.

- Dobrze pani wie, młoda koleżanko, że mówię o zachowaniu. Wszyscy nauczyciele się skarżą. Niedługo nikt nie będzie chciał uczyć w tej klasie. Musi pani coś z tym zrobić... - Pukając długopisem w blat biurka, wystukiwał rytm ostatniego zdania. Jego lubieżne spojrzenie wystarczająco tłumaczyło, co musiałaby zrobić, żeby zmienić ocenę dyrektora.

Propozycję zacieśnienia stosunków i dogłębnej współpracy słyszała już parokrotnie. Zawsze w gabinecie, gdy byli sam na sam. On stał, chodził albo siedział. Ona zawsze stała. Z początku nie była pewna, czy nie ma zbyt wybujałej wyobraźni. Dopiero pół roku uczyła w tej szkole. Jej pierwsza praca po studiach. Z półstówek, spojrzeń i docinków swoich kolegów rozumiała, że obserwują, czy już skorzystała z koleżeńsko-ojcowskiej pomocy dyrektora. Najpierw grzecznie dziękowała, mówiąc, że o pomoc

poprosi w chwili, gdy uzna, że nie daje sobie rady. W niedługim czasie zaczął udowadniać jej, że nie panuje nad młodzieżą. Do tego czasu zdążyła już znaleźć wspólny język z nauczycielem chemii i dwiema koleżankami: historyczką i biologiczką. Uprzezdziły ją, że dyrektor to twarda sztuka.

Miały okienko. Ona, czyli Małolata - ksywka, którą nadali jej uczniowie VIa już po pierwszej lekcji, oraz Meduza, biologiczką, która właśnie zaparzyła im kawę. Siedziały, pijąc i rozmawiając. Irena zdenerwowana po kolejnym dywaniku w gabinecie, wściekła opowiadała koleżance o coraz jawniejszych propozycjach dyrektora.

- Jak wpadnie mu któraś w oko, nie popuści. Ty jesteś w jego typie. - Meduza uśmiechnęła się współczująco. - Dużo w biuście, mało w talii. Wzrost nastolatki, spojrzenie dziecka. Twoja poprzedniczka była mężatką. Mąż przyszedł z awanturą. Zagroził, że obije mu pysk.

- Pomogło?

- Do końca roku. Wyleciała za prowadzenie demoralizujących pogadanek z uczniami na temat seksu. Nie chciała walczyć. Bała się, że nie wygra, a smrodek pójdzie za nią. - Widząc wzburzenie młodszej koleżanki, domyśliła się, że tym razem jej reakcja musiała być gwałtowniejsza. - Co mu powiedziałaś?

- Zapytałam, czy mam się z nim przespać, żeby zasłużyć na pozytywną opinię! - krzyknęła Irena wciąż podminowana właśnie zakończoną rozmową.

Do pokoju nauczycielskiego weszła wolnym krokiem Hista, najstarsza wiekiem wśród nauczycieli. Uczyla oczywiście historii. Uczniowie skracali, co mogli. Do minimum - swoje konkretne odpowiedzi na „rozwlekłe, wyczerpujące” pytania nauczycieli: „Co myślał poeta?”. „Nic, tworzył”.

- Dobrze usłyszałam? - spytała zdyszana i siadając, zaśmiała się do łez. Miała dużą nadwagę, zawsze spuchnięte nogi

i kłopoty z oddychaniem. - Nie patrzcie tak. Musiałam wrócić. Leje jak z cebra. Przeczekam i poprawię klasówki.

Łyknęła kawy z jednej i drugiej szklanki. Sprawiedliwie. Tak jak oceniała. Za referat (ściągnięty z netu) pięć. Za klasówkę pała. Z odpowiedzi dwa. W efekcie uczniowie jakoś zaliczali. „Dla was, dzierlatki, czasy mojego dzieciństwa to prehistoria - żartowała ze swojego wieku. - Uczniowie uważają, że do zrozumienia okresu mojej młodości potrzebny im wehikuł czasu. Ja to perpetuum mobile. Gruby i stary dowód nieskończoności. - W tym momencie spoglądała na nie rozbawionymi oczyma. - Nie jem, nie pijem, a żyjem? Dlaczego?”. „Bo nie starcza na leki” - odpowiadały chórem.

Historyczka była już na emeryturze. Dyrektor zatrudniał ją na pół etatu wbrew sobie. Wystarczającym argumentem był fakt, że jej syn pracował w Kuratorium Oświaty. To był również dostateczny powód do pozytywnej oceny jej pracy.

Irena nie знаła nikogo ważnego. Męża też nie miała. Przyjaciela też nie. Partner dopiero dojrzewał.

- Małolatko, dziecko kochane, skąd masz takie doświadczenie? - Hista spojrzała z niewinną miną.

- Jakie doświadczenie? - Irena wiedziała, że starsza koleżanka żartuje. Nie załapała, w czym sedno.

- Dałaś mu do zrozumienia, że jesteś biegła w tych sprawach. Z góry założyłaś, że zasłużysz na pochwałę.

Jej słowa wywołały śmiech biologiczki i wypieki na twarzy Ireny.

- W dodatku dziewczę gorzej na samą myśl o seksie. Oj, straconaś ty, dziewczeczko. Ten stary cap ci nie odpuści - stwierdziła kategorycznie i dopiła kawę Ireny. - Mam pomysł - klasnęła w ręce z zadowolenia. - Musisz wybrać. Czy chcesz być nałożnicą, czy wolisz zostać kochanką?

- Super. Ciekawe, co wybierzesz? - spytała Meduza, przeznornie nie wypuszczając swojej szklanki z kawą z ręki.

Historyczce nie wolno było pić kawy. Miała spore nadciśnienie. Piła, tłumacząc, że musi dopomóc losowi. Wymarzyła sobie nagłą śmierć w szkole. Koniecznie na początku lekcji. Tuż po dzwonku!

„Całe moje życie to szkoła - tłumaczyła im swoje pobudki. - Od siedmiu do sześćdziesięciu lat ze sporym hakiem. Należy mi się jak psu buda. Uczniowie będą mnie wspominać z radosną wdzięcznością. Dwa dni wolne. Jeden tuż po, jak mnie wyniosą z klasy, drugi jak mnie wniosą. Do kościoła. Na mszę żałobną”.

Już trzy razy w tym roku zabierało ją pogotowie wprost z pokoju nauczycielskiego. Wracła, mówiąc, że kolejny raz przechrzyła los. „Będzie tak, jak ja postanowiłam, nie dam się przeznaczaniu”. Z zaciętą twarzą patrzyła na nie, żeby po chwili, uśmiechając się pogodnie, powiedzieć: „Dziewczyny, walczyć trzeba z losem. Z ludźmi trzeba pertraktować”.

- Nałożnica żyła z mężczyzną stojącym wyżej w hierarchii społecznej. Wolę kochankę - Irena roześmiała się.

Podziwiała tę starszą panią za specyficzne poczucie humoru. Uśmiech na twarzy i miłe słowo dla każdego. Nigdy nie podnosiła głosu, nie sprzeczała się i nie przekonywała do swojego zdania. Przyznawała rację rozmówcy, umiejętnie podsuwając inne rozwiązanie. Osiągnąwszy swój cel, komplementowała samodzielnie podjętą decyzję interlokutora w obecności wszystkich kolegów. Jej radę dla dyrektora, sprzed paru lat, przytaczano wielokrotnie wśród grona nauczycielskiego. Powiedziała mu: „Synu, w każdym wieku jest powód do ożenku. Gdybyś był młody, miałbyś w żonie kochankę. Dojrzały wiek przegapiłeś, czyli towarzyszkę życia też”. „To po co mam się teraz żenić?” - krzyknął oburzony. „Stary potrzebuje pielęgniarki. To jedyny powód do ożenku w twoim wieku”.

- Dobrze wybrałaś - pochwaliła Irenę. - Jako kochanka pobędziesz się natręta. Zyskasz glejt, a w promocji nikt z naszego

grona nie rzuci w ciebie kamieniem. Nałożnica nie miałaby takich przywilejów? Prawda, Meduzko?

- Nałożnica dyra? Nikt by się do niej nie odezwał - zdziwiła się biologiczka. - Coś ty wymyśliła? Czyją ma być kochanką i niby jak się ten cap o tym dowie?

- Dowie się ode mnie. Podzielę się z nim moją radością. - Hista westchnęła z wyrazem pełni szczęścia na twarzy. - Na razie z kochanki, ale z szansą na żonę. Pochwalę się moją strategią. Powiem, że poznałam Irenę z moim synem. Udało się. Syn się zakochał. Nasza Małolata też. Ja pracuję nad nimi, żeby się pobrali. - Wstała, ukłoniła się i dała znać, że czeka na brawa.

Zgotowały jej owację, nie przerywając, mimo że zadzwonił dzwonek na lekcje.

Irena, z atrybutem nauczyciela pod pachą, szybkim krokiem szła szkolnym korytarzem. Wrzask, który dochodził do niej, mógł dochodzić tylko z jej klasy. Otworzyła drzwi. Zobaczyła skłębione ciała pod tablicą.

- Wystarczy! Na miejsca!

Rozdzielała ich, nie pytając o powód kłębowiska. Na pewno jakiś był. Nie chciała wiedzieć, wiedząc, że i tak prawdy nie powiedzą. Rozeszli się na swoje miejsca, wzrokiem i gestami dając sobie znać, że to nie koniec zaciętej dyskusji. Sprawdzając obecność, postanowiła zmienić zaplanowany temat dzisiejszej lekcji. Oczywiście nie w dzienniku. Podeszła do tablicy i napisała: „Emocje i sposoby ich wyrażania”.

- Wiecie, co to znaczy „news”?

- No pewnie. Najświeższe.

- Coś najważniejszego.

- Temat dnia.

- Na czasie.

- Dzisiejszy temat jest właśnie na czasie. Zaczęliście dyskusję, pod wpływem nagromadzonych emocji stosując rękoczynny

jako argumenty. Kto powie, co to są emocje? - Usiadła jak zwykle na ławce. Tylko w ten sposób mogła być wyższa od większości z nich.

- Wściekłość, gniew, zawiść, wstręt, zazdrość - padały odpowiedzi.

- Bardzo dobrze. Tyle, że wymieniliście przykłady samych negatywnych emocji. Posłuchajcie mnie przez chwilę. Emocje to stany psychiczne wyrażające stosunek ludzi do przyrody, zwierząt, zdarzeń i innych ludzi. To wszystko, co czujemy. Złościmy się i cieszymy. Wyrazem emocji jest nasza reakcja. Wy daliście przykłady reakcji ludzi, którzy nie umieją sobie poradzić z chwilową sytuacją. Nie mają argumentów lub nie potrafią dyskutować. - Widząc, że część odfruwa, wstała i chodziła między ławkami. - Nie wiem, o co wam poszło i kto zaczął. Wiem jednak, że ci, co biją, są słabi. Nie potrafią myśleć. Czują się gorsi. Biorą się do bicia, szukając słabszego fizycznie. Stoczcie tę walkę, myśląc głową. Bicepsami najgłupszy potrafi. - Nie robiąc chwili przerwy, mówiła dalej, żeby nie dać im możliwości wzajemnych oskarżeń. - Jakie znacie emocje pozytywne?

Przez dłuższą chwilę w klasie była cisza.

- Zadowolenie, ulga, pełny brzuch, radość, święty spokój.

Po chwili dzieciaki zaczęły się jednak przekrzykiwać.

Irena słuchała zadowolona. To nie był hałas, jak interpretował dyrektor. Dla niej był to wyraz zaangażowania uczniów.

- Mówcie po kolei. Jak reagujecie, gdy jesteście niezadowoleni, a jak, gdy czujecie się świetnie? Po jednym przykładzie wyrażania emocji negatywnej i pozytywnej.

- Gdy jestem zła, to rzucam, czym popadnie. Jeśli zadowolona, to nie pyskuję.

- Ja wściekła trzaskam drzwiami. Jak kupili mi starzy wymarzoną komórkę, to wszystkim podtykałam pod ślepią.

- Zapomniałaś, że na polskim rozmawiamy stylistycznie i

gramatycznie? Powtórz! - Irena uśmiechem złagodziła polecenie.

- Gdy jestem zdenerwowana, to głośno zamykam drzwi. Moi rodzice kupili mi telefon komórkowy. Ja ucieszyłam się i wszystkim pokazywałam.

- Jak oceniacie? Plus do dziennika? - spytała jak zwykle klasę.

- Malutki! - oceniła Ela. - Po co „moi” i „ja”?

- Czyli mały plusik dla Kasi i duży dla Eli - spojrzała po twarzach. - Kto za? - Widząc, że wszyscy podnieśli rękę, wpisała plusy do dziennika. - Proszę o dalsze przykłady.

Gniew, złość, furia - to brak kasy, ciuchów, zmuszanie do nauki, porządku w domu, czepianie się o wszystko. Zadowolenie, radość i euforia - to wolne dni od budy, starych w chacie i forsa na wszystko. Irena słuchała uważnie, jednocześnie myśląc, że niewiele się zmieniło. Emocje, uczucia, nastroje te same. W biedzie i w bogactwie. Atrybuty nowoczesności i zamożności inne. Jednych i drugich łączy język, którym się porozumiewają. Luksus, na który stać wszystkich.

Wykrzyczeli się. Znow mogła w kilka minut opowiedzieć o czynnikach wywołujących emocje. Spróbować wytłumaczyć, że słowa i gesty, których używają, mają bardzo dużą siłę rażenia. Mogą wywołać lęk, ból, uczucie odrzucenia. Jednocześnie ulgę, odprężenie, akceptację, pomoc.

- Pani psorko! - Janusz wstał i podszedł do tablicy. - Tyle czasu pani smuci. Znam prosty kod emocji! - Napisał na tablicy znak interpunkcyjny pytajnika, wykrzyknika i kropki. - I wszystko jasne - stwierdził, patrząc na nauczycielkę kpiącym, ale jednocześnie bardzo poważnym spojrzeniem.

- Mógłbyś rozszyfrować? - poprosiła Irena, przyglądając się twarzom wpatrzonym w tablicę. - Mnie i licznej części obecnych.

- To proste. Ojciec wchodzi i warczy: „Piwo?” - zaczął naśladować rodziciela. - Ja i matka o wszystkim możemy

zapomnieć. Na zarcie może zabraknąć. Ale piwo musi być. Stary wie, że my wiemy. Pyta, bo jest zły. Chce awantury. Jak wpada do domu i od progu wrzeszczy: „Piwo!”, matka szybko wyjmuje z lodówki, stawia na stole i uciekamy z kuchni. Jeśli zdążymy. Jest wściekły. Musi się wyładować. Matkę zdzieli w twarz, mnie w łeb, zanim zdążymy zwiać.

Zamilkł. Wyprostował się. Naprężył mięśnie i zacisnął pięści. Całym sobą przekazywał polecenie: „Niech nikt nie waży się głupio roześmiać”.

W klasie panowała kompletna cisza, mimo że chwilę wcześniej zadzwonił dzwonek na przerwę.

- A kropka? - Irena spytała cicho, lecz jej głos zabrzmiał głośniejsz od dźwięku dzwonka.

Janusz, ksywka Chuck, miał posłuch w klasie. Był drugoroczny. Najwyższy i najsilniejszy. Nie uczestniczył w uczniowskich bójkach. Wystarczyło, żeby podszedł. Jego idolem był Chuck Norris ze swoim magicznym kopniakiem z pół obrotu.

- Piwo z kropką. To oczywistość. Ojciec wie, czego chce. Sąsiedzi znów wezwą pogotowie i policję. - Odwrócił się i wyszedł z klasy.

Po chwili wszyscy złapali oddech.

- Ma rację. U mnie to samo. Od razu wiadomo, w jakim humorze są starzy.

- Ja też wiem, czy warto prosić o stówę, czy lepiej zniknąć w necie.

- Ja na wszelki wypadek lecę ze śmieciami. Nawet z pustym wiadrem.

- Ja idę do kina. Wracam wieczorem. I tak nie zauważą.

Irena wyszła z klasy. Długa przerwa. Podpytała stojących, czy nie widzieli Janusza. Wyszła za nim na zewnątrz i skierowała się prosto za róg budynku.

Tu rósł dąb o szerokim pniu, a wzdłuż ogrodzenia gęste krzaki. Uczniowie w tym zakątku bili się, kłócili, całowali. Tu przychodzili zapalić. Kadra nauczycielska rzadko zaglądała w to miejsce, wychodząc z założenia, że lepiej, gdy palą na powietrzu niż w toaletach. Sporo młodzieży paliło. Tych z piątych i szóstych klas. Niektórzy z biernym stosunkiem rodziców, choć byli i tacy, co mieli akceptację ojca i matki. „Sam paliłem” - zachnął się jeden z ojców w rozmowie z Ireną. „Sporty. Chłopak przynajmniej marlboro. Z filtrem. Stać mnie”. Irena od razu zrezygnowała z dalszej rozmowy. Tego ojca o szkodliwości palenia na młody organizm nie przekona.

Janusz zaciągał się papierosem, którego na jej widok nawet nie próbował schować za siebie.

- Pała? Pała! - drwiącym uśmiechem pokrywał wściekłość na samego siebie. Powiedział dużo za dużo. Nie uczniom. Jej. Nauczycielce i wychowawczyń. - Pała.

- Jarasz? - spytała dwuznacznie, podchodząc blisko i patrząc mu w oczy. - Jarasz! - Podniosła nieznacznie głos i odwracając się, powiedziała spokojnie: - Jarasz. - Wiedziała, że tym słowem określają palenie i rozumienie. - Ja też jaram. Wracamy na lekcje.

KRYSTYNA

W zasadzie nie miała na co narzekać...

Krystyna wyrobiła w sobie podzielność uwagi. Słuchała, co mówi klientka, żeby móc zareagować jednym słowem z odpowiednim akcentem. Pytając, oburzając się lub potwierdzając.

W tym samym czasie myślami była przy swoich codziennych problemach. Mama czuła się niezłe, ale już nie wychodziła z domu. Nie chciała zamieszkać z nimi, tłumacząc, że dla niej i dla nich tak będzie lepiej. Całymi dniami czytała i oglądała telewizję.

Na szczęście miała dwie zaprzyjaźnione sąsiadki, które często przychodziły na pogaduszki. Emerytura po ojcu wystarczała mamie na opłaty, życie i lekarstwa. Żartowała, że nie wychodząc z domu, nie wydaje na buty i ubranie. W niedzielę jedli wspólny obiad. W tygodniu ona albo Romek wpadali do matki, robiąc po drodze potrzebne zakupy. Przy różnych okazjach kupowali mamie nową bluzkę, sweterek czy dres, w którym chodziła po domu. Strofowała ich za zbędny wydatek, ale z błyskiem w oku przymierzała nowy ciuch.

Minęła piąta rocznica ich ślubu. W zasadzie Krystyna nie miała na co narzekać. Kupili większe mieszkanie dwie ulice od domu mamy. Skromnie, ale nowoczesnie wyposażyli. Ma swój wymarzony zakład kosmetyczny. Mąż pracuje i nieźle zarabia.

W zasadzie nie powinna narzekać. Tylko że na nowe mieszkanie i zakład wzięli kredyt i spłacają duże miesięczne raty. Kupili jak najtańsze meble, oświetlenie, garnki, talerze. Do zakładu podstawowe urządzenia, sprzęt, kosmetyki i wyposażenie. Czynnosc za wynajem lokalu jest wysoki. To uczęszczane miejsce, blisko przystanków, a za to się płaci. Żyją z ołówkiem w rękę. Klientki dopytują się o dodatkowe usługi. Wie, że powinna dokupić nowy sprzęt, ale na razie ich nie stać.

Już w podstawówce wiedziała, że chce być kosmetyczką i mieć swój własny zakład. Po Policealnej Szkole Kosmetycznej zaczęła pracować. Skończyła wiele kursów doszkalających.

Z Romkiem pobrali się z miłości, a nie z przymusu, jak większość ich znajomych. Romek pracuje w prywatnym warsztacie samochodowym, ale nie odpowiada mu ta praca. Brudna, mozolna i w ciągłym pośpiechu. „Najlepiej na przedwczoraj” - prosi klient, podjeżdżając po stłuczce sprzed chwili. Fakt, za pracę na już, po godzinach, chętnie płacą dużo więcej. Romek wraca do domu czasami po dwudziestej trzeciej. Wchodzi pod prysznic i wychodzi, nie próbując domyć się ze smaru, smrodu i zmęczenia.

Przed szóstą wstaje, je szybko śniadanie, żeby przed siódmą być znowu w pracy. Wskoczył w brudne, przepocone ciuchy i dołożył na dłonie i pod paznokcie następną porcję smolistej mazi.

ZOSIA

Wyfruwam, mając gdzie przyfrunąć...

- Przyjechał Kowalski - podzielił się nowiną podczas obiadokolacji ojciec Zosi. - Chyba ze swoim synem. - Dołożył sobie ziemniaków ze słoniną.

- Jak to? Ulka mówiła, że syn jest chory. Nie przyjadą - dopytywała Zosia, zagniatając ciasto. Rano nazbierała jagód, będą na jutro pierogi.

- Nie syn starego Kowalskiego, tylko jego wnuk, Wiesław. Nie widziałas go. On wpadał tu rzadko i tylko na parę godzin.

- Ile ma lat? - zainteresowała się Zosia, wałkując placki.

- Około czterdziestki, tak słyszałem.

Ojciec zjadł, włączył telewizor i położył się. Weszła mama z wiadrem pełnym świeżo wydojonego mleka.

- Nie on. Ten drugi, co mówiłeś, że chyba z synem.

- Pewnie w Uli wieku. Dlaczego pytasz?

- Nudno. Nikogo nie ma - mruknęła Zosia, nie patrząc na ojca.

- Zośka! - mama podniosła głos, szykując czyste wiadro z cedzakiem i gazą. - To bogaci ludzie. Zabawowi. Nawet nie próbuj tam łązić. Nic dobrego z tego nie będzie.

- Matka ma rację. Idź lepiej na zabawę do Gąsiorowa - poradził ojciec. Wstał i podszedł przelać mleko. - Wywiesili afisz, będzie grała orkiestra.

- Tato! Sama!?

- Zawiozę cię i przyjadę po ciebie. Na pewno spotkasz koleżanki.

- Zawiesz? - podeszła do ojca z rękami w mące i pocałowała go w policzek. - Dzięki.

- Upaprasz mnie - odsunął się. - Należy ci się rozrywka. Za maturę. Matka, teraz? - spojrzął na żonę.

- Tak. Daj jej - potwierdziła, myjąc wiadro po mleku.

Tata wstał i wyszedł. Po chwili wszedł i uroczyście powie-dział:

- Cóрко. Umyj ręce.

Mama podeszła do niej i pocałowała ją.

- Kupiliśmy, żebyś codziennie dawała znać, co z tobą. Przy-najmniej na początku.

Ojciec podał jej pudełko z komórką. Podskoczyła z radości i wyciągnęła rodziców. Jej własny telefon.

W domu mieli jedną komórkę, kupioną przez Ulę. Czasami mama pozwalała, żeby zabierała ją ze sobą do szkoły.

Zosia skończyła lepienie pierogów i pobiegła do domu. Musia-ła naładować swój telefon i ze swojego zadzwonić do siostry.

Zosi było przykro, że w tym roku Ula nie przyjedzie. Stęskniła się za nią bardzo. Miały się sobą nacieszyć, rozmawiać godzina-mi, zwierzyć ze wszystkiego. Przecież mamie nie powie, że w środku aż skacze z radości, bo i ona wyrывa się w świat.

We wrześniu Zosia wyjeżdża do Warszawy. Już dawno kupiła sobie plan miasta. Sprawdza, gdzie które ulice prowadzą. Zna numery autobusów, którymi będzie dojeżdżać do szkoły. Naj-chętniej wyjechałaby już. Łaziła całymi dniami po ulicach, po-znawała miasto. Nie może. Nie tylko ze względu na rodziców. Głównym problemem są pieniądze. Dwumiesięczny czynsz pła-cony w okresie wakacyjnym to wyrzucenie czegoś, czego ma się

i tak za mało. Czekają ją dwa miesiące nudy, zmarnowany czas.

Od maja upały powyżej trzydziestu stopni. Ani kropli deszczu. Trawa pożółkła, ziemia sucha, kurz unosi się w powietrzu. Często spoglądała na bocianie gniazdo, które od zawsze było na dachu stodoły. Mama poważnie tłumaczyła córkom, że to znak Boży, szczęście dla gospodarzy. Ptaki wyfruwają, żeby powrócić. Wiedzą, że tylko w rodzinnym gnieździe młode nauczą się latać, nabiorą sił do dalekiej podróży. I powrócą, żeby swoim dzieciom dać to samo poczucie pewności, równowagi i stabilności. Pierwszy oddech, spojrzenie, pierwsze machnięcie skrzydłami w rodzinnym, bezpiecznym gnieździe...

Wyszła z domu i jak co dzień poszła drogą do wału. Szła wolnym krokiem wzdłuż ogrodzeń, słyszała odgłos pracujących gdzieś tam polewaczek.

Pierwszy raz w życiu chciała przyspieszyć czas i już znaleźć się w stolicy. Iść do szkoły. Nie bała się, da sobie radę. Najważniejsze, że ma gdzie mieszkać. Siostra wychowawczyni wynajmie jej pokoik. Nieduży, osiem metrów kwadratowych. Tapczanik, szafka i półki. Podobno jest szeroki parapet, który może służyć za blat stołu.

Idąc, zaczęła podśpiewywać. Wyfruwam, wiedząc, że mam gdzie przyfrunąć. Świat jest piękny. Przede mną tyle nowych, wspaniałych, niewyobrażalnych przeżyć. Nie będę marnować wolnego czasu. Pójdę na zabawę, pojadę do miasta i spotkam się z wychowawczynią. Umówię się z dziewczynami. Nie będzie nudno. Postaram się, żeby nie było.

Niespodziewanie zza zakrętu wyjechał chłopak na motorze. Odkoczyła i zderzając się z drzewem, upadła. Zahamował, z trudem utrzymując motor, żeby się nie przewrócił.

- Przepraszam - powiedział, zsiadając. - Nic ci się nie stało? - dopytywał zaniepokojony, pomagając jej wstać.

- Nie. - Zosia obejrzała się uważnie. - Obtarłam tylko łydkę. - Otrzepała się z piachu, trawy i liści.

- Moja wina. Wyjechałem za szybko - usprawiedliwiał się już uspokojony, przyglądając się z zaciekawieniem stojącej przed nim dziewczynie. - Przyjechałaś na wakacje?

- Nie. Mieszkam tu - odparła, czując, że się czerwieni.

- W tej dziurze? - dopytywał z niedowierzaniem, lustrując ją wzrokiem. - Zapraszam na piwo w ramach przeprosin. Wsiadaj.

Pojechali do pobliskiego sklepu tuż za wsią. W lecie właściciel wystawiał parę stolików pod parasolami. Można było napić się kawy, herbaty, zjeść ciastko lub lody i napić się piwa.

Usiedli. Za lody i ciastka podziękowała. Piła kawę, on piwo i mówił o sobie.

- Mam na imię Jacek, przyjechałem na trzy dni do Kowalskich. To daczka moich dziadków. Ja mieszkam w Anglii. Studiuję architekturę. Ojciec na stałe w Niemczech. Stary, ale jary - śmiał się. - Solarium, tenis, kobiety. - Mówiąc, cały czas bacznie się jej przyglądał. - Zaraz, może ty znasz Ulę?

Zosia udała, że nie dosłyszała pytania. Widziała, że obserwował ją z coraz większym zainteresowaniem. Jego wzrok mówił wyraźnie: „Podobasz mi się”. Wstał, wszedł do sklepu i po chwili wrócił z kolejnym piwem.

- To dziewczyna stąd. Córka chłopca, który pracuje u nas na działce. Biedak może sobie dorobić.

Patrzył na jej kasztanowe włosy układające się w lekkie fale. Spadały luźno, otulając opalone ramiona. Pierwszy raz widział taki odcień farby. Mieniły się w słońcu złotymi drobinkami. Zieloność oczu podkreślała koszulka na wążutkich ramiączkach prawie w tym samym odcieniu. Zauważył, że nosiła stanik. Uśmiechnął się do swoich myśli. Zgrabne nogi i napięte uda obejrzał już wcześniej. Wystawały spod krótkich, dżinsowych, bazarowych szortów. Znał się na ciuchach. To, co miała na sobie,

kosztowało najwyżej dwadzieścia pięć złotych. A zdejmowało się tak samo, jak te markowe. Nie będzie problemu - pomyślał, widząc, że dziewczyna czerwieni się pod jego spojrzeniem. Prostuje plecy, wypina piersi i próbuje zatuszować podniecenie, nasuwając włosy na twarz.

- Nie, nie znam - zaprzeczyła. - Przyjeżdżam rzadko.

Zosia wpatrzona była w jego bardzo ciemne oczy. Rzęsy, których mogła pozazdrościć każda dziewczyna. Żadna maskara tak nie wydłuży i nie pogrubi - westchnęła w myślach. Wystające kości policzkowe i zwężająca się twarz, spory nos i raczej wąskie usta. Zmrużone oczy i zniewalający uśmiech. Smolistą czuprynę, silny kark miała przed oczami, gdy obejmowała mocne, szerokie plecy, siedząc na motorze. Czarny typ, oceniła jego urodę. Na wszelki wypadek nie zastanawiając się, czy również taki charakter.

- Można się tu zabawić? - pytał i spojrzeniem dodawał, czy z nią.

- Jutro jest zabawa. W pobliskim miasteczku. Przyjdiesz? - starała się, żeby nie wyczuł, jak bardzo pragnie, żeby chciał. Poczuli, że się jeszcze bardziej czerwieni.

- Może razem pojedziemy? - zaproponował, czując i widząc, że dziewczyna czeka na tę propozycję.

- Nie mogę. Ojciec mnie zawiezie i przywiezie. Tak uzgodniliśmy już wczoraj. Spotkajmy się na miejscu.

Oczekiwała w napięciu, jak zareaguje. Wyszła na kretynkę, córusię tatusia. Nie odpowiedział. Uśmiechnął się i powiedział, że czas wracać...

Zosia przyjechała pierwsza i niepewna, czy Jacek zjawi się, weszła na salę. Ubierając się, widziała w lustrze bardzo przeciętną dziewczynę. Rozglądając się po sali, była zaniepokojona. Może wygłupiła się wczoraj? Nic nie mówił, że mu się podoba. Co,

jeśli przyjedzie, ale będzie się bawił z innymi?. Widziała kilka ślicznych, zgrabnych, świetnie ubranych, miastowych letniczek, przy których nie miała żadnych szans.

Przetańczyli razem pięć godzin. W jego towarzystwie Zosia przestała być nijaką dziewczyną. Widziała wlepione w niego zapraszające oczy innych babek, które wypinały biust i falowały biodrami. „Nie dla psa kielbasa” - Zosia coraz śmielej patrzyła w ich stronę i ze szczęścia śmiała się głośno.

- Ślicznie się śmiejesz - objął ją mocniej i wtulił twarz w jej włosy. - I pięknie pachniesz.

Jacek widział tylko ją. W jego spojrzeniu, uścisku, dotyku przeobrażała się w pięknego łabędzia.

- Ciekawe, jak smakujesz?

Patrząc w jego zbliżające się oczy, dostrzegła siebie nie siebie. Czując jego usta na swoich, poczuła się udekorowaną na miss świata. Upewnił ją, szepcząc:

- Jesteś najśliczniejszą, najzgrabniejszą i najseksowniejszą dziewczyną i to nie tylko tu, wśród tych przeciętnych lasek.

Wyszli na zewnątrz, oparł ją o ścianę i całował, jednocześnie dotykając rękoma jej piersi, a udem wcisnął się między jej nogi.

Żaden chłopak tak jej nie całował. Żaden z tych dwóch, którym dotychczas pozwoliła na taką poufałość.

Jeden chodził do jej klasy. Urywali się razem z lekcji. Przyjaźnili się, pomagali sobie w odrabianiu zadanych prac domowych, bronił ją przed innymi chłopakami. W krzakach za szkołą ćwiczyli wszystkie sposoby pocałunku. Teorię znał z Internetu. Kochał się w dziewczynie z miasta, która miała duże powodzenie. Wszyscy wiedzieli, że ona się świetnie całuje. Przyjaciel nie chciał się skompromitować. Próbowali tak, jak na filmach, żeby nosy nie przeszkadzały, szyje nie bolały, a usta trafiały na usta.

Drugi był starszy o dwa lata. Trzy miesiące byli parą. On,

mieszkając w miasteczku, mógł być na wszystkich zabawach, dyskotekach, spotkaniach. Dla niego było to proste. Jedyne lokale organizujące duże imprezy były dwa domy od bloku, gdzie mieszkał. Tu organizowano śluby, bale maturalne, dyskoteki dla młodzieży. Dla niej to było pięć kilometrów pieszo do przystanku, dojazd i powrót ostatnim autobusem. Rodzice godzili się tylko na te zabawy organizowane w szkole i wtedy ojciec wyjeżdżał na przystanek. Jej ukochany zaproponował, że ją odwiezie. Po drodze chciał czegoś więcej. Zatrzymał samochód w lesie. „Wydałem na benzynę” - argumentował. „Wypiłem tylko dwa piwa, żeby cię odwieźć”. Rozpinał jej bluzkę i suwak do spodni: „Należy mi się”.

Wyrwała się, wyskoczyła z samochodu i pobiegła przed siebie. Na szczęście do domu było już blisko, niecałe dwa kilometry. Z wściekłości nie bała się. W ich lasach wilków i dzików nigdy nie było. Najwyżej lis, zając, hukająca sowa. O dwudziestej trzeciej nikt nie spacerował, nie biegał po leśnych drogach. Oprócz niej.

Pocałunki Jacka, jego dłonie pod bluzką, silny nacisk udawały, że czuła się jak w rozchybotanej łódce na środku ich rzeki, gdy kiedyś wypłynęła z ojcem na ryby i zaskoczyła ich burza. Kątem oka dostrzegła nadjeżdżający samochód. Odsunęła go.

- Muszę jechać. Ojciec przyjechał - popatrzyła ze strachem w oczach, bojąc się, że on zostanie na dyskotecę.

- Jeszcze wcześniej. Dzwoniłaś? - spytał zaskoczony.

- Skądże! - krzyknęła i zagryzła wargi.

- Ja też wracam - roześmiał się z zadowoleniem, patrząc na jej rozczarowaną i wylęknioną minę. - Bez ciebie nie mam po co zostawać. - Widząc, że ją uspokoił, przeciągnął ręką po jej plecach i pupie. - Przyjdź do mnie jutro, będę cały dzień sam.

Pokażę ci dom, obejrzymy film, posłuchamy muzyki.

- Nachylił się i do ucha wyszeptał: - Będziemy robić wszystko, na co będziesz miała ochotę... - Odsunął się i dodał głośno:

- Obiecuję. Ty decydujesz. - Podniósł dwa palce. - Słowo.

- Cofnął się dwa kroki. - To jak? Mam wracać i czekać? Czy bawić się do rana, a jutro spać?

- Przyjdę. O której?

- O pierwszej. - Odszedł w stronę swojego motoru.

Ojciec nie zauważył jej, minął i zaparkował na wprost wejścia. Podbiegła i wsiadła do samochodu.

- Córciu. Wybalowałaś się? - zadał to samo pytanie co zwykle, gdy po nią przyjeżdżał, po czym ruszył.

- Dobrze, tylko za krótko. Nie dzwoniłam, a przyjechałeś - roześmiała się. Zobaczyła wzrok zdziwionego jej reakcją ojca. - Wytąńczyłam się za wszystkie czasy. Bolał mnie nogi. Starczy. - Zsunęła z nóg wysokie szpilki. - Tato, jedź szybciej.

Dojechali. Mama nie spała, jak zwykle czekając z herbatą na relacje córki. Po powrocie z imprez siadały w „ciepełku” na babskie pogaduszki. Zosia z Ulą opowiadały, przekrzykując się wzajemnie. Przechwalały się, która miała większe powodzenie, lepiej się bawiła i więcej wytąńczyła. Po wyjeździe Uli Zosia nie musiała już konkurować o zainteresowanie mamy.

Dziś nie miała ochoty na opowieści. Wymigała się bólem głowy. Mama, całując ją, sprawdzała, czy przypadkiem córka nie jest pijana. Objęła mamę. Chuchnęła i patrząc jej prosto w oczy, po raz pierwszy w życiu skłamała.

- Mamuś. Umówiłam się jutro na cały dzień z Bašką. Pogadamy, poplotkujemy. Ona niedługo wyjeżdża na drugi koniec kraju. Jej tata obiecał, że odwiezie mnie do domu - dodała na wszelki wypadek, nie wiedząc, jak długo będzie u Jacka.

Mama zgodziła się. To oznaczało, że i tata nie będzie miał żalu do córki. Miała mu jutro pomagać w polu.

Rodzice zmienili plany. Pojadą na targ, potem do lekarza, do urzędu i na pocztę. Wrócą przed wieczorem w porze dojenia i karmienia zwierząt. Zosia była bardzo zadowolona. Ojciec nie będzie miał czasu zajrzeć do Kowalskich.

Wstała wcześniej. Z wrażenia nie mogła spać. Zjadła cokolwiek. Nazrywała dzikich goździków i wsypała do wanny. Ugotowała krochmal i wlała do wody w wannie. Maminy sposób na gładkie, pachnące ciało. Przez godzinę leżała w ciepłej wodzie, gładząc swoją skórę, chcąc sprawdzić, jaka jest w dotyku. Umyła włosy i jak zawsze parę minut płukała w mieszance z ziół. Kora dębu, łupiny orzecha, łuski ciemnej cebuli i goździki. To po niej włosy Zosi miały niepowtarzalny zapach, kolor i złocisty blask. Ula była za leniwa. Farbowała chemią, za każdym razem wściekając się z otrzymanego rezultatu.

Zosia, patrząc na siebie w lustrze, była zadowolona z osiągniętego efektu. Często opalała się nago i jej ciało miało złocisty odcień opalenizny. Odnaczały się małe brązowe sutki i czarna kępka włosów. Patrzyła na swoje odbicie, rumieniąc się coraz bardziej na myśl, że ona chce. Niepokoiła się jego reakcją. Była dziewczicą.

Wyciągnęła głęboko ukryte przed mamą koronkowe, czerwone stringi i założyła. Drugie, zwykłe majtki na zmianę włożyła do kieszeni szortów, by założyć je przed powrotem do domu. Mama na pewno nie daruje jej opowiadania wrażeń po spotkaniu z koleżanką. Widząc jej gołe nogi, poda dół od dresu ze słowami: „Zdejmij te szortomajtki, przeziębisz się”.

Punktualnie co do minuty Zosia stanęła pod furtką ogrodu. Jacek wstał z leżaka i podchodząc wolnym krokiem, przyglądał się jej. Był w mokrych kąpielówkach. Dojrzała kątem oka, że jej wygląd mu się spodobał.

Zaczerwieniła się, szybko odwracając spojrzenie. Uśmiechnął się, wpuścił oczekiwanego gościa do środka, zamykając furtkę na kłódkę. Oprowadził Zosię po ogrodzie i weszli do domu.

Na stole stało piwo, wino i w kubek z lodem szampan. Szampana piła tylko parę razy. Okazjonalnie. Przeważnie w sylwestra. Otworzył, nalał do kieliszków i patrząc na nią spod zmrużonych powiek, wzniósł toast: „Za nasz dzień”.

Wypili na stojąco. Drugi i trzeci, siedząc na kanapie, osładzając picie pocałunkami. Zosia poczuła, że kręci się jej w głowie. Od bąbelków i z braku powietrza.

- Gorąco ci. Połóż się. - Pomógł, całując ją i kładąc na kanapie. Otworzył drugą butelkę, podszedł i bez słowa oblewał jej ręce, nogi, potem szorty i bluzkę. - Teraz i ty jesteś mokra. - Widziała, że patrzył na jej sterczące pod cienkim materiałem brodawki. - Przeziębisz mi się. - Zdjął z niej bluzkę i szorty. Lizął szyję, ramiona, piersi, brzuch. Wylał szampana na stringi, zdjął i nabrał szampana do ust. Zosia w myślach powtarzała: „Mi”. Powiedział: „Mi się przeziębisz”.

Po chwili poczuła, że całe podbrzusze ma mokre. Osuszał je, pijając, zlizując, ssąc bąbelki. Patrząc na jego głowę między swoimi udami, usilnie starała się przypomnieć sobie jakieś sceny z filmów. Wiedziała, że nie może tak leżeć jak kłoda drewna. Jednocześnie nie chciała się poruszyć, żeby nie przerwał tego, co z nią i jej robił.

Zamknęła oczy i czekała. Poczła jego ciało na swoim i ból. Wzdrygnęła się i otworzyła oczy. Zobaczyła jego zaskoczone, ale i przerażone spojrzenie.

- Dlaczego nie powiedziałaś? - krzyknął przerażony i znieruchomiał.

- Przeszkadza ci to? - spytała, obejmując go rękami i przytrzymując.

- Mnie nie - dalej się nie ruszał, tylko wpatrywał w jej oczy. - Na pewno chcesz?

- Tak. Bardzo. - Mówiąc, rozsunęła nogi, przyciągając go do siebie. - Troszkę się boję - wyszeptała mu do ucha.

- Nie bój się. Będę bardzo delikatny. Wejdę, jak będziesz gotowa.

Dotrzymał obietnicy. Całował i pieścił ją całą, co pewien czas obserwując jej twarz. Wchodził pomału, powtarzając:

- Jesteś piękna. - I czule dodawał: - Odurzająco pachniesz.

- Położył jej ręce na swoich pośladkach i patrząc w jej zamglone oczy, podpowiedział: - Przyciągnij mnie, jak uznasz, że czas.

Przestała myśleć o bólu, o wstydzie, o nim. Skupiła się tylko na sobie. Drgało w niej każde miejsce, na zewnątrz i wewnątrz. W środku i w dole brzucha. Czowała drżenie jego napiętych mięśni i coraz szybsze bicie serca. Przyciągnęła go do siebie, jednocześnie unosząc biodra do góry. Krzyknęła. On też. Trzymała go dalej mocno, mimo że przygniatał ją swoim ciężarem. Długo leżeli bez ruchu.

- Jak się czujesz? - spytał, siadając i sięgając po piwo. Otworzył i wypił duszkiem. - Czego się napijesz?

- Cudownie. Piwa. - Usiadła i przysunęła się do niego. - O Boże! - krzyknęła, widząc krew na swoich i jego udach.

- Wypij. - Podał jej szklankę. - Nie przejmuj się. Zaraz pójdziemy pod prysznic.

Wstała, zasłaniając jedną ręką piersi, drugą swoją kobiecość. Spojrzała na narzutę.

- Dasz mi jakąś koszulę? - poprosiła, ściągając zaplamioną kapę. - Zapiorę w zimnej wodzie.

- Nie wstydź się! - Roześmiał się i stanął przed nią nagi. - Najpierw prysznic. - Wziął ją za rękę i zaprowadził do łazienki.

Upraną narzutę, szorty i bluzkę rozwiesiła na słońcu. Stringi położyła na balustradzie, nie chcąc zakładać mokrych. Za chwilę na słońcu wyschną - pomyślała. Mokre włosy roztrzepała

palcami. W jego koszuli, ale bez majtek (wstydziła się przyznać, że ma drugie) usiadła przy nim. Zauważyła, że na kanapie rozłożył kolorowe prześcieradło. Zjedli kiełbasę z chlebem, popijając piwem. Położyli się i po chwili zasnęli.

Obudził ją chłód. Widząc, że Jacek też się budzi, poszła do kuchni i wstawiła wodę. Kawa stała na wierzchu, zaparzyła dwie i dostawiła na tacę cukiernicę. Nie wiedziała, czy on sładzi. Wracając, zobaczyła, że stoi na werandzie ze stringami w ręku. Cofnęła ją.

- Wypijemy w środku - zdecydował.

Dorzucił na kanapę parę poduszek. Ułożył tak, żeby mogli pół siedzieć. Opuścił żaluzje.

- Obejrzymy film. - Wszedł na kanapę z pilotem w ręku. Podała mu kawę, siadając obok. Oglądali. Ona pierwszy raz.

- Czy to porno? - spytała po paru minutach, czując, że jest czerwona ze wstydu i zażenowania.

- Coś ty! - Usiadł zdziwiony. - Nie oglądałaś pornosów? - Widząc, że kręci przecząco głową, wyjaśnił: - To film erotyczny z fabułą. - Sięgnął po wino.

Cała zawartość butelki zmieściła się w dwóch wysokich szklankach. Jedną podał jej. W drugiej moczył palec i smarował jej brodawki.

- Patrz w ekran i rób to, co ta dziewczyna.

- Nie. Wstydzę się - wyznała szczerze, widząc zachowanie bohaterki.

- Poczekaj chwilę - wstał i po chwili przyszedł z butelką wódki. Dołał do jej szklanki z winem. - Wypij. Przestaniesz się wstydzić. Zobaczysz, będzie lepiej niż było. - Przytrzymał jej rękę, żeby wypić całość. - Dobrze. Teraz ty oglądaj, ja się zajmę tobą. Znam ten film.

Miał rację. Odegrali wszystkie sceny. Jacek zachwycony powtarzał, że Zosia gra główną rolę, a jest nie tylko piękniejsza,

ale i zdolniejszą aktorką. Każdy jego komplement dodawał jej odwagi. Wódka z winem też. Jego jęki, prężenie ciała, krzyki i zaciśnięte ręce na jej głowie, sprawiały, że chciała dać mu wszystko, czego pragnął.

Było tak jak w książkach, które czytała. Pokochała go od pierwszego spotkania. Na zawsze. Oglądając centymetr po centymetrze jego nagie, spocone ciało, nie czuła już skrępowania. Nie dlatego, że zasnął. Nie przez szum w głowie i niewyraźny wzrok. Po prostu nie musiała się wstydzić, patrząc na swoją drugą połówkę. Dziś stali się jednością.

Wyszła na zewnątrz sprawdzić, czy wyschły jej rzeczy. Były suche. Powąchała, nie czuła zapachu szampana. Pachniały słońcem i wiatrem. Ubrała się, zapominając o majtkach. Spojrzała na zegarek. Dwudziesta. Ma jeszcze czas. Stringi schowała do kieszeni. Założyła następnym razem - pomyślała i roześmiała się ze szczęścia.

- Panie Kowalski! Czy jest pan? - Usłyszała głos dochodzący zza bramy. Poznała głos ojca. Nie wiedziała, co zrobić. Jak dobrze, że Jacek zamknął furtkę na kłódkę. - Z tą myślą troszeczkę spokojniejsza wbiegła do środka.

- Ktoś cię woła. - Szarpała śpiącego Jacka. - Nikt nie może mnie zobaczyć. - Szeptwała mu do ucha zdenerwowana.

- Okey. Uspokój się. - Przeciągnął się i pogłaskał ją po głowie. - Zaraz go spławię. - Idąc, krzyknął do jej ojca: - Już idę. Zaraz.

Po krótkiej chwili wrócił zadowolony. - To Zieliński. Chciał podlewać. Spławiłem go. Zjemy coś? - pytając, już rozpiął jej suwak w szortach.

- Nie. Muszę wracać. - Pocałowała go. Widząc, że jest zadowolony, pocieszała. - Nie bądź zły. Mamy mnóstwo czasu. Nadrobimy.

- Nie rozumiem tej babskiej logiki. To idziesz czy zostajesz? - Jacek usiadł.

- Idę. Mamy jutro, pojutrze i tak długo, ile będziemy chcieli.
- Ukucnęła i pocałowała go w udo.

- Dziecino. Jest tylko dziś - mruknął, chcąc ręką przesunąć jej głowę.

- Teraz ja nie rozumiem. Jak to, tylko dziś? - spytała, unosząc głowę, żeby zobaczyć jego twarz.

- Jutro z samego rana wyjeżdżam - powiedział i zaplątał rękę w jej włosy.

- Na długo? - Starła się nie pokazać rozczarowania.

- Przyjadę nie wcześniej niż za dwa, trzy lata. – Przytrzymując jej głowę, nachylił się i patrząc w jej rozszerzone oczy, zapewnił: - Taka okazja może się już nie trafić.

- Dalej nie rozumiem!?! Jaka okazja!?! - krzyknęła.

Wyswobodziła się z jego uścisku i usiadła obok.

- Pewnie przyjadę z drugą połówką. Niedługo się żenię, trudno będzie się wyrwać - zaśmiał się i żartobliwie dodał: - Jako żony jesteście bardzo podejrzliwi.

Zacisnęła palce tak, żeby paznokcie wbiły się jak najsilniej w dłoń. Ból pozwolił jej zapanować nad sobą. Machnęła głową, żeby włosy chociaż częściowo zasłoniły jej twarz. Wstała i odwróciła się w stronę wyjścia.

- Muszę iść.

- Trudno - odparł uprzejmym, choć zawiedzionym głosem. Wstał, objął ją ramieniem i poprowadził do furtki. - Drżysz - zauważył i ściągnął ze sznurka bluzę. Narzucił na nią. - Masz. Będziesz miała pamiątkę po swoim pierwszym - mruknął ironicznie. Przy bramie chciał ją pocałować.

- Ludzie - szepnęła i odpychając go, wyszła szybko za furtkę.

Zdecydowanym krokiem doszła do drogi. Zrzuciła bluzę na ziemię i skręciła w przeciwną stronę niż dom. Pobiegnęła prosto przed siebie. Do lasu. Usiadła pod drzewem. Po godzinie wykopała rękami głęboki dołek. Włożyła stringi. Zakopała i nakryła

liśćmi. Poczula gorycz w ustach i zwymiotowała. Prosto na grób swojej rozkwitłej i uśmierconej miłości - drwiła z samej siebie. Wstając, głośno i wyraźnie wyrecytowała:

- Spoczywaj w spokoju głupia, naiwna dziewczyno.

Równym, szybkim i stanowczym krokiem szła do domu kobieta.

IRENA

Pomieszanie rozczarowania, żalu, gniewu i bólu

Wracając do domu, Irena marzyła o wakacjach. Nie znosiła swojej pracy. Wybierając pedagogikę, snuła odkrywcze sposoby na porozumienie z młodzieżą. Uczenie ich języka ojczystego w oryginalny sposób z wykorzystaniem dzisiejszych możliwości. Podstawą miało być jej zrozumienie, że współczesny siedmiolatek, tym bardziej nastolatek, żyje w innym świecie. Jednym kliknięciem przemieszcza się po kontynentach, zwiedza każde miejsce, które go zainteresuje. W jednej chwili ze środka piramid przeskakuje w galaktykę. Na grę w chińczyka patrzy jak ona na liczydła dziadka. Te młodsze mogą w ostateczności zagrać z babcią w monopol. Wychudzona szkapa, której przygrywał smętnie Janko Muzykant, myśląc, czy Anielce w piecu wyparuje choroba, nie była w stanie wykrzesać z nich nawet minimum zainteresowania. Pytała uczniów, jaką książkę chcieliby omówić na lekcjach. Wśród chłopców wygrał *Władca pierścieni* Tolkiena, dziewczynki wybrały *Kłamczuchę* Musierowicz. Bez względu na płeć podobała się książka Jurgielewiczowej *Ten obcy*.

Dzieciaki podsumowały temat: „Tak naprawdę nikt nie jest obcy. Ludzie różnią się wiekiem, stanowiskiem, ilością pieniędzy. Wszyscy ludzie mogą się szanować, przyjaźnić i kochać.

Dla uczuć nie ma żadnych granic”. Kończąc lekcję, powiedziała: „Pamiętajcie, że wy też jesteście ludźmi” i wyszła, zamykając drzwi. Śmiała się z zadowoleniem, słysząc zza drzwi: „Te, ludzi, bądź człowiekiem, podziel się kanapką, daj gryza”.

Szybko się przekonała, że swoboda wyboru czegokolwiek przez nauczyciela jest czysto teoretyczna. Ma być to i to; w z góry ustalonym terminie i czasie. Uczeń równa się uczeń. Bez podziału na: zdolny, ambitny, bystry, z indywidualnymi zainteresowaniami. Interpretacja tekstów, wyciągane wnioski - muszą odpowiadać narzuconym szablonom. Efekt: zaliczony test przez ucznia, dobrze oceniona praca nauczyciela.

Ona miała dosyć. A najbardziej użerania się z dyrekcją. Z częścią grona nauczycielskiego, które uważa, że jeśli *W pustyni i w puszczy* jest lekturą prawie sześćdziesiąt lat, to znaczy, że wpłynie wychowawczo i na następne pokolenia.

Po wejściu do mieszkania od razu skierowała się do kuchni, żeby nakryć do obiadu.

- Kupiłeś?

- Zapomniałem - powiedział Krzysztof, wyjmując z lodówki piwo.

Dla niego pod tym słowem kryła się nic nieznacząca oczywistość. Obojętność w głosie i po chwili pogardliwe spojrzenie w stronę Ireny. Po prostu zapomniał, że miał kupić ziemniaki. Żaden problem. Przecież Irena może zjeść to co on. Pieczoną golonkę należy popijać zimnym piwem i przegryzać grubo krojonym, gorącym chlebem.

Pajdy leżały już w koszyczku na stole. Podszedł i dotknął, czy aby na pewno świeży. Jeszcze ciepły kupiła, wracając z pracy.

- Zapomniałeś? - W głosie Ireny słychać było pomieszanie rozczarowania, żalu, gniewu i bólu.

Była pewna, że w domu jest parę ziemniaków. Nie było. Zadzwoiła, żeby kupić. „Nie zapomnij, wiesz, że nie lubię z chlebem. Dla ciebie kupiłam gorący w piekarni”.

Wrócił bez. Po prostu najzwyczajniej, bez żadnego znaczenia - zapomniał.

Dla niej „zapomniałeś” było pytańnikiem, wykrzyknikiem i kropką nad i.

Trzy dni temu minęła ich rocznica. Upłynął rok od dnia, w którym przeniósł ją przez próg. Zapewniał, że to jest ich dzień zawarcia małżeństwa bez ślubu. Formalności i papierki są zbędne, obrączka to przedmiot. Nawet najbardziej ozdobna, to tylko kółko, symbol kieratu. Klapki na oczach i monotoność. Ludzi łączą uczucia.

Zaniósł ją prosto do łóżka. Noc poślubna zaczęła się o szesnastej. Z małymi przerwami trwała do rana.

W międzyczasie obiecywał: „Za rok powtórzę ci to samo. I tak co rok, aż do śmierci”.

„Nie zapomnisz?” - była wniebowzięta. Dosłownie i parokrotnie.

„Nigdy i o niczym nie zapomnę. O żadnym drobiazgu, który ciebie dotyczy. Obiecuję”. - Ustną umowę przypieczętował pocałunkami.

Od rana czekała na najmniejszy znak, gest, że pamięta. Leżała jeszcze w łóżku.

- Napijesz się kawy? - spytał Krzysztof, zaglądając do sypialni.

- Chętnie - uśmiechnęła się i usiadła, poprawiając włosy.

Pamięta. Czekwała wpatrzona w drzwi, aż wejdzie z tacą. Kawa, rogalik i róża; tak miała się zacząć każda rocznica. Otworzyły się drzwi pchnięte nogą. Krzysztof już po prysznicu, ogolony i pachnący, wiązał krawat.

- Pośpiesz się. Nie zdążę wypić - rzucił tylko i poszedł do przedpokoju.

Wstała. Narzuciła szlafrok, myśląc: Możemy wypić przy stole. W łóżku za dużo czasu mogłoby nam to zająć.

Roześmiana weszła do kuchni. Na blacie stołu leżał kawałek nadgryzionej kielbasy, piętka chleba, stała butelka z resztką piwa.

- Zaparzyłaś? - krzyknął zniecierpliwiony z przedpokoju.

- Jeszcze chwilka! - odkrzyknęła, włączając czajnik i wyjmując szklanki. Po minucie zalała wrzątkiem kawę.

Wszedł do kuchni.

- Cholera. Poparzę się.

- Poczekaj - dołała mu zimnej, niegazowanej wody mineralnej.

- O której kończysz? - spytał, dojadając kielbasę i dopijając piwo.

- Dziś mogę wyjść wcześniej. Dostosuję się. - Czekwała na propozycję rocznicowego obiadu.

- Świetnie. Ja będę później. - Odstawił szklankę. - Nie zapomnij wyjąć golonki z marynaty na godzinę przed pieczeniem.

- Dziś mam piec?

Musiała mieć bardzo zaskoczoną minę, bo spojrzał na nią zdziwiony i powtórzył.

- Nie zapomnij. Bujasz w obłokach. Jak zwykle. - Zakładając marynarkę, dodał: - I pamiętaj o gorącym chlebie.

- Nie zapomnę. W przeciwieństwie do ciebie. - Uśmiechnęła się z goryczą.

- Nigdy o niczym istotnym nie zapominam! - krzyknął. Trzasnął drzwiami.

Widząc, że już usiadł i czeka na obiad, wyjęła golonkę z piekarnika. Postawiła z brytfanką na stół i wyszła do pokoju.

Odechciało się jej jeść. Doskonale wiedział, że nie lubiła z chlebem. Przyszedł po chwili z tacą do pokoju. Z golonką, sztucami, musztardą, chlebem i piwem. Dla siebie.

- Znów się czepiasz? - zezłościł się. - O głupie ziemniaki? - Usiadł i nastawił fonię na cały regulator.

Wyszła bez słowa. Łyknęła proszek, czując, że ból głowy nasiła się coraz bardziej. Zrobiła sobie herbatę. Wróciła do pokoju i usiadła na kanapie. Patrzyła na Krzyśka rozpartego w fotelu i wpatzonego w ekran z zamkniętymi oczami. Chrapanie nie przeszkadzało mu słyszeć.

Głupie ziemniaki to jej nadzieja oskrobana ze złudzeń. Od prawie pół roku próbowała wszystkiego, żeby ich związek dotarł się, uładził i doszlifował. Rozmawiała z nim w myślach, przyciszając telewizor.

Zapomniałeś?

Nigdy o niczym istotnym nie zapominasz?

Masz rację. O niczym.

O telefonie, żeby powiadomić mnie o swoim spóźnieniu lub żeby nie czekała i nie denerwowała się, bo nie przyjdiesz wcale. Dla ciebie to głupstwo. Posiedzę w restauracji sama, unieruchomiona twoim: „Czekaj na mnie, będę na pewno”. Posiedzę przy stoliku godzinę, dwie. Drobiazg, odpocznę cała w nerwach, bo nie odbierasz komórki. Drobnostka, zapomniałeś włączyć. Wrócę do domu, uspokoję się, widząc twój płaszcz rzucony na szafkę i neseser na środku przedpokoju. Potknę się o buty i oprzytomnieję. Zajrzę do sypialni i od progu poczuję zapach udanego dnia. Smród whisky świadczy, że spotkanie odbyło się w kulturalnej atmosferze. Cały i zdrow wróciłeś na noc do domu.

Mogę sprzątnąć, umyć się i spokojna położyć spać w pokoju na kanapie. Procent smrodu w smrodzie alkoholu wskazuje, że nie wstaniesz i nie przykołyszysz się na bara-bara, które skończy się niepowodzeniem. Oczywiście z mojej winy. Nie dość, że

moje ciało już cię nie podnieca, to jeszcze ja nie potrafię podnieć ciebie.

Zapomniałeś?

Powiedzieć, że wyjeżdżasz i nie będzie cię na noc? Byłeś poza zasięgiem. Pamiętałeś, ale nie mogłeś mnie powiadomić. Padła ci komórka. Innym pewnie też. I tak dobrze, że po dwóch dniach przypomniałeś sobie o mnie. Zadzwoiłeś. „Zapłać koniecznie dziś mój rachunek za komórkę. Alarmują, że wyłączą. Znów się będziesz czepiać, że nie dzwonię”. Wbrew sobie spytałam: „Kiedy wracasz?”. Usłyszałam konkretną odpowiedź: „Za trochę”. Powstrzymałam się z prośbą o sprecyzowanie terminu. Ty znów zapomniałeś zadzwonić.

Zrobiło się późno. Podeszła do fotela. Chwilę stała, patrząc na poruszający się mięsień piwny. Ostatni z mięśni, jakie obecnie miał.

- Krzysiek - potrząsnęła go za ramię. - Idź, połóż się.
- Nie śpię. Słucham - oburzył się, otwierając na chwilę powieki.

- Chrapiesz.

- Ja? - Poprawił się na fotelu. - Odczep się wreszcie rzepie.

Przymknął oczy, po sekundzie znów zachrapał.

Stała, patrząc, jak drgają mu śmiesznie wargi przy wydychaniu powietrza.

Zapomniałeś!

Przestała pytać. Zna odpowiedź. Jeszcze krzyczy - z żalu, rozgoryczenia, zawodu. Troszkę zrzuca na los. Tylko po to, żeby zmniejszyć ciężar pretensji do siebie.

Zapomniałem - mówisz - i stawiasz kropkę, oznajmiając rzecz oczywistą. Jednoznaczna. Bez znaczenia. Przecież nie pamiętasz tylko o tym, co nieistotne. O niczym ważnym nigdy nie zapominasz.

Irena miała dosyć...

Irena dodatkowo zatrudniła się w prywatnym liceum. Jedna z polonistek miała wypadek. Potrzebne było zastępstwo do końca roku.

Szybko zorientowała się, że w tej szkole głąb Tadzio i leniuch Kasia to genialne dzieci najmądrzejszych rodziców. Pan prezes lub właścicielka kilku butików argumentowali tak samo: „Dzieci bardzo wrażliwe, uczuciowe, z wrodzonymi zdolnościami i niedocenionym talentem. Po to chodzą do szkoły prywatnej, żeby osoba z właściwym podejściem pedagogicznym umiejętnie poszerzyła ich wiedzę, bez prowokowania stresowych sytuacji”.

Wszystko było jasne dla obu stron. Młodzi podjeżdżali z piskiem opon równo z dzwonkiem na lekcje. Po przekroczeniu progu klasy wypowiadali jedno zdanie: „Zakorkowane ulice”. I lekceważącym tonem pytali: „Chyba pani to rozumie?”.

Ciało pedagogiczne w większości dojeżdżało komunikacją miejską. Przez szyby trudno było dostrzec aż takie blokady i korki danego dnia. Dla uczniów powód był oczywisty. Nauczyciele jeździli po mieście, podczas gdy oni dojeżdżali z podmiejskich willowych okolic.

Rodzice płacili wysokie chesne. Jedni - tyle, co napiwek dawany obsłudze po udanej balandze. Drudzy - bardzo dużym kosztem innych potrzeb. Kwota ta sama. Sens potrójny.

„Dużo?” - rozbawione spojrzenie ojca wyciągającego zwitek banknotów z kieszeni i płacącego za cały rok z góry.

„Dużo!” - okrzyk zaskoczonej matki, pytającej z przerażeniem, czy miesięczne chesne mogłaby płacić w ratach.

„Dużo. Jednak jesteśmy zdecydowani. U was syn zdobędzie odpowiednie przygotowanie, żeby zdać na studia”. I po chwili upewniali się: „Prawda?”.

Sekretarka, mimo że pytanie było z tych retorycznych, potwierdzająco kiwała głową, potwierdzając to jeszcze dobitniej potwierdzającym uśmiechem.

W każdym przypadku uczniowie powinni tylko chcieć się uczyć. Czasami chcieli ci od kropki. Najczęściej zależało tym od wykrzyknika.

Irena miała dosyć wszystkich. Uczniów, szkoły, Krzyśka i samej siebie. Do końca roku szkolnego nie było już tak długo. Musi wytrzymać. Wtedy zmieni swoje życie. Przestanie myśleć. Zacznie działać.

KRYSTYNA

Uniwersalne pytanie: „Udało się?”

Krystyna pracowała jako kosmetyczka już prawie dziesięć lat. Klientki różniły się wiekiem, wyglądem, zamożnością. Wcześniej lub później ujawniała się jedna wspólna właściwość: chęć spowiedzi.

Wszystkie warunki spełnione. Czas tylko dla siebie. Spokój i cisza panująca w gabinecie. Relaksujące zabiegi i osoba całą sobą oddana tylko im.

Krystyna nauczyła się z chwilą wejścia klientki do gabinetu poskramiać własne emocje. Stonowany głos, delikatny uśmiech, mimika twarzy świadcząca o pełnym zrozumieniu zainteresowaniu witały od progu każdą klientkę. To jej problemy były jedyne, najważniejszymi dla nich obu. Leżąc, wyrównywały oddech, rozluźniały napięte mięśnie. Drgające palce i dotyk głaskających dłoni Krystyny działał jak uniwersalny wytrych do najbardziej ukrytych sejfów.

Jej salonik stał się dla wielu kobiet bardzo ważnym miejscem. Tu wszystko działało wyciszająco, odprężająco i budziło

pragnienie podzielenia się emocjami. Wyszepciana lub wykrzyżczeni tego, co bolało, cieszyło, niepokoiło lub napawało dumą.

Krystyna znała podstawy psychologii. Człowiek nie jest stworzony do przeżywania emocji w samotności. Z rodziną czy wśród przyjaciół nie zawsze da się ponaginać fakty. Czasami szczerość bywa zabójcza. Za bardzo dołuje lub wzbudza wyraźne niedowierzanie z ukrywaną zazdrością.

Z obcym łatwiej podzielić strach, gorycz, lęk, pomnożyć radość. Do szczęcianu spotęgować negatywne uczucia. Odpowiednim podkoloryzowaniem powiększyć satysfakcję z odniesionego sukcesu. Tu, w saloniku, w przekazywanych emocjach pączkował wieniec laurowy albo zaczerniał się obraz odzwierciedlający ogrom tragedii.

W ciągu dnia ściany gabinetu wypełniały się cząsteczkami naładowanymi uczuciami. Rozproszone w powietrzu wydzielaly charakterystyczny zapach. Przeważaly negatywne nuty smutku, beznadziejności, niepokoju i rozczarowań. Od czasu do czasu z dużą siłą rozpryskiwała się woń zawiści, zazdrości, zemsty. Rzadko, ale o silnym słodkim aromacie, unosiły się w powietrzu kruszynki radości, sukcesu a nawet drobinki euforii.

Z miłosnych uniesień relaksującego masażu i salonikowej psychoterapii rodziła się kobieta z zadowoleniem patrząca na swoje odbicie w lustrze. „Pani Krystyno. Pani jest czarodziejką” - dziękowała i z uśmiechem na ustach wybiegała z gabinetu.

Zamykając drzwi za ostatnią klientką, Krystyna robiła sobie herbatę i przez pół godziny dochodziła do siebie.

Miała zeszyty i długopis stale przy sobie. W trakcie zabiegów zawsze kładła kompresy na powieki klientek, co jej pozwalało podczas pracy wpisywać konieczne notatki. Żeby się nie pogubić. Te same przyczyny skutkowały różnymi uczuciami. Zapisywała,

czym się klientka zajmuje, co ją aktualnie martwi, co cieszy. Potem aktualizowała w komputerze profil danych.

Każda musiała czuć się jedną jedyną, tą najważniejszą. Jej problemy musiały być tak intrygująco indywidualne, żeby zapadły głęboko w pamięć słuchającej Krystyny. Witając się i rozpoczynając seans kosmetyczny, mogła zastosować pytajnik, wykrzyknik lub kropkę. W zależności od mimiki twarzy i tonu głosu wchodzącej do gabinetu klientki. Najczęściej wystarczało uniwersalne pytanie: „Udało się?”.

Nieważne, czy chodziło o utracenie awansu koleżanki z pracy, czy podbój nowego znajomego. Najważniejszy był pozytywny efekt. Przy negatywnym Krystyna w rozmowie podczas zabiegów wyszukiwała przyszłe pozytywne skutki typu: „Dobrze się stało, koleżanka na pewno w niedługim czasie zbłąźni się, a facet to z pewnością kogucik z przefarbowanym ogonem, udający pawia. Niewart takiej wspaniałej kobiety”.

Czuła się jak psychoterapeutka. Z doświadczenia wiedziała, że ma słuchać i od czasu do czasu reagować. Wystarczało: „Tak?”, „Tak!”, „Tak.”, „Nie?”, „Nie!”, „Nie.”, „Może?”, „Może!”, „Może”.

Miała świadomy dystans do wszystkich problemów swoich klientek. Wiedziała, że prawdziwa rozpacz nie puka do kosmetyczki. Nawet gdy ma pieniądze, nie widzi ukojenia w odświeżonej twarzy i rozbijanym na udach cellulicie.

Twórczy sukces poparty talentem i popularnością stać było na renomowane kliniki piękności, a nie jej mały i nieznaną „Salonik urody”.

Krystyna mogła się zatem szczerze wzruszać, współczuć, podziwiać i swoje problemy uznać za jedyne godne uwagi.

ZOSIA

Nie podejdz do mnie, nie przytul mnie...

Rodzice byli zdziwieni zachowaniem córki. „Zośka. Idź do koleżanki. Jedź do miasta. Zabaw się, dziecko. Niedługo szkoła i praca” - próbowali na zmianę zachęcić córkę do wyjścia z domu.

Pomagała matce, ojcu i całymi godzinami malowała. W dodatku, zdaniem matki, jakieś bohomazy. Patrząc na rozkwieconą łąkę, drzewa, których liście mieniły się odcieniami żywej zieleni, białe obłoki na błękitnym niebie i czerwono-pomarańczowe zachodzące słońce, rzucała na papier ciemne, niekształtne plamy. Ojciec uspokajał: „Zawsze odpoczywała, rysując. Może to jakaś moda w sztuce? Dajmy jej spokój. Za dwa tygodnie znudzi jej się”.

Matkę niepokoiło, że córka ucieka przed rozmową z nią do swojego pokoju. Niejasno się tłumaczy, odwracając wzrok, co jest oczywistym dowodem, że gnębią ją niewesołe myśli. Denerwować się zaczęła, gdy Zosia przestała jadać kolacje. W ogóle mało teraz jadła, a u młodszej córki był to zawsze zły objaw. Ula miała okresy, kiedy stosowała zdrowotne diety, odchudzała się. Zosia wprost przeciwnie - lubiła jeść. Głodzenie się było zawsze objawem kłującej się choroby. Zwykłego przeziębienia lub załamanej wieku dzieciennego.

W kilka tygodni później jej dziecko blade i mizerne na buzi snuło się po zagrodzie.

- Córciu, masz jeszcze trochę wolnego, źle wyglądasz, jesteś słaba, jedź do lekarza - prosiła matka, przyglądając się zapuchniętym i czerwonym oczom córki. - Może ty masz anemię? Prawie nic nie jesz.

Zosia unikała matki, zbywała jej niepokój machnięciem ręki, wzruszeniem ramion i szybko oddala się. Któregoś popołudnia mama przyszła do jej pokoju, zamknęła drzwi i oparła się o nie plecami, tak by córka nie mogła uciec przed rozmową.

- Mamo. Upał mnie dobija. Trudno być głodnym. - Zosia w duchu prosiła: Nie podejdź do mnie, nie przytul mnie, nie weź za ramiona i nie patrz mi w oczy.

- Zosiu, im szybciej wyrzucisz z siebie, co cię martwi, czego się boisz, tym lepiej. Czy to coś poważnego? - Córka milczała. - Może chcesz zrezygnować ze szkoły? - Pytając, odwróciła od niej wzrok i patrząc przed siebie, pełnym troski i miłości głosem dodała: - Córciu, razem zaradzimy każdej biedzie.

Zosia odetchnęła, słysząc kroki ojca, który po chwili zaczął dobijać się do drzwi:

- Wpuście mnie.

Mama odsunęła się i wszedł.

- Baby, wiecie co się stało? - Usiadł przy stoliku. - Kowalski nie żyje.

- Który? - spytały jednocześnie.

- Stary. - Widząc ich blednące twarze, zorientował się, że źle go zrozumiwały. - To znaczy senior Kowalski. Miał zawał.

- Skąd wiesz? Ula dzwoniła? - dopytywała Zosia żywo zainteresowana.

- Przyjechał wnuk. Jutro wyjeżdża - dopowiedział ojciec, wstając. - Głodny jestem. Dasz jeść? - spytał, prosząco patrząc na żonę.

- Jacek? - Zosia krzyknęła i zerwała się z łóżka, stając przy ojcu.

- Nie. Ten starszy- wyjaśnił ojciec, już wychodząc. - Może sprzedadzą działkę? - Zastanowił się i westchnął: - Szkoda by było. Z tej roboty mamy niezły grosz. Matka, pośpiesz się. Zjadłbym coś.

- Idę. - Mama zatrzymała się w progu. - Zosiu, skąd wiesz, jak ten drugi ma na imię? On tu nie przyjeżdżał. - Ojciec mówił - burknęła Zosia i udawała, że przekłada rysunki.

- Ja? - zdziwił się ojciec i krzyżąc z korytarza, ponagłał: - Matka, chodź już.

Mama poszła za ojcem. Zosia słyszała, jak pytała, czy ten Jacek był tu i kiedy?

Śmierć starego Kowalskiego niezbyt ją obeszła. Był tak stary, że dziwne, że jeszcze żył - mówiły z Ulą już parę lat temu. Dla Zosi ważne było tylko jedno. Czy pogrzeb w Niemczech, czy w kraju?

Oby tu, wtedy przyjedzie i Ula. Pewnie wieczorem zadzwoni. Zosia napaściła gorącej wody do wanny. Gorąca kąpiel podobno pomaga. Kąpała się tak często, jak tylko się dało bez wzbudzenia podejrzeń mamy. Przeważnie czekała, aż rodziców nie będzie w domu. Ojciec jeździł z mamą już dwa razy do lekarza. Zosia nie dopytywała po co. Nic jej nie interesowało, poza jednym.

Tak bardzo potrzebowała obecności siostry. Tylko Ula zrozumiałaby i nie zadawała zbędnych pytań. „Gdzie miałaś rozum?”, „Jak mogłaś być tak głupia?”, „Kochać się bez zabezpieczenia?”. Nie krzyczałyby: „A ciąża?!”, „Choroby weneryczne!”, „HIV!”.

Ula powie: „Siostrzyczko. Stało się. Pamiętaj tylko o tym, że pierwszy raz był z kimś, z kim chciałaś. Było cudownie. Resztę wymaż, wyrzuć, zapomnij”. Ona spyta: „Ula, a jak?”. A siostra przytuli ją: „Jak? Nie jesteś sama. Pamiętaj, co mama mówi. Razem pokonamy wszystko”.

Wyszła z zimnej wody. Przyglądała się sobie w lustrze. Nic się nie zmieniło, poza wyblakłą opalenizną. Wyglądała tak samo, czuła się inaczej. Położyła się z postanowieniem, że posłucha rady mamy. Odczeka jeszcze dwa tygodnie i jeśli nic się nie zmieni, pójdzie do lekarza...

Zosia wydoiła krowy. Weszła do „ciepelka” z wiadrem pełnym mleka. Mama podeszła do niej.

- Potrzyмай sito, ja precedzę. - Przelewając mleko, powiadomiła córkę: - Pojedziesz ze mną jutro do miasta.

- Z tobą? - zdziwiła się, bo mama dawno jej tego nie proponowała. - To tata cię nie zawiezie?

- Nie. Bolą go korzonki - poinformowała, nie patrząc na córkę. - Zrobimy zakupy, oddam papiery w urzędzie. Pójdę do lekarza. Może da mi też receptę dla ojca.

- Mówiłaś, że już jesteś wyleczona.

- Kontrola - mruknęła tylko mama i szybko zmieniła temat. - Trzyj te ziemniaki. Obiecałam ojcu placki, a przed chwilą rzędził, że już mu burczy w brzuchu.

Pojechały z samego rana. Ojciec pozwolił, żeby Zosia usiadła za kierownicą. Podjechali pod przystanek autobusowy. One poczekały na autobus, tata wrócił do domu. W mieście załatwiły wszystko. Została tylko wizyta w przychodni. Zosia siedząc na krześle przed gabinetem ginekologa, czekała na mamę. Muszę zapytać, co tak naprawdę mamie dolega. Po co kontrole? - myślała, spoglądając na ścienny zegar. Nie było już pacjentek, były ostatnie.

- Do widzenia i dziękuję za receptę na leki dla męża - usłyszała i zobaczyła mamę stojącą już w otwartych drzwiach.

- Teraz ty. Pan doktor czeka.

- Proszę wejść, pani Zosiu - zapraszał i uśmiechał się życzliwie.

Wstała, ale nie mogła zrobić kroku.

- Córciu, wejdź. Już czas. - Mama popchnęła ją lekko w stronę gabinetu.

- Śmiało. Nie gryzę - zapewniał lekarz, uśmiechając się sympatycznie.

- Który tydzień?

- Dwunasty.

- Chodź, córciu. Do domu. Tata się denerwuje.
- Wie?
- Tak. Tylko nie wie, co. My już możemy być spokojne. -

Objęła córkę i przytuliła.

- Spokojne? - Zosia rozplakała się. - Oczywiście. Najważniejsze, że to nie jest żadna poważna choroba. Tym martwiłam się najbardziej.

Tata czekał na przystanku autobusowym. Zosia zobaczyła go z daleka. Chodził wzdłuż drogi w tę i z powrotem. Zobaczył autobus i wsiadł do samochodu. Mama usiadła z przodu. „Zdrowa?” - spytał spojrzeniem żonę, Zosia widziała to w lusterku. Gdy tylko usłyszał odpowiedź: „Tak”, ruszył. W drodze żadne nie powiedziało słowa. Dojechali. Zosia wysiadła i poszła do „ciepelka”. Usiadła przy stole i czekała. Pół godziny później przysłała mama i nic nie mówiąc, zrobiła trzy herbaty. Po chwili wszedł ojciec. Razem dosiedli się do córki.

Pili herbatę. Milczeli. Każde wpatrzone w swoją szklankę myślało o tym samym, a jednak co innego było dla każdego najważniejsze.

- Zgwałcił cię ktoś? - spytał ojciec, patrząc na nią.
- Nie.
- Kto jest ojcem? - spytała mama, nie spuszczać z niej wzroku.

- Nikt. Nie ma ojca i nie będzie. - Zosia mówiła spokojnie. Zeszło z niej całe napięcie. Wie i oni wiedzą.

Rodzice spojrzeli na siebie. Rozmawiali bez słów. Ona czekała na efekt ich dyskusji. Po chwili ojciec odezwał się. Mówił cicho, ale zdecydowanym głosem:

- Musisz urodzić. Wiesz o tym. - Obserwował ją bacznie, jakby obawiał się jej reakcji.

Zosia po wyjściu z gabinetu stanęła i patrzyła na mamę, czekając na pytania.

- Urodzę.
- Pomożemy ci. Wiesz o tym. - Zacisnął pięści, jak zawsze, gdy chciał się opanować.
- Będzie dobrze. - Mama przez stół ręką sięgnęła do jej ręki. Drugą objęła pięść ojca. - Córciu, razem damy radę.

ULA

Starsza córka posłuchała rady mamy

Po śmierci seniora Kowalskiego jego żona przeważnie leżała w łóżku w swoim pokoju. Rzadko i krótko rozmawiała z synem. Nie chciała nawet, żeby Ula czytała jej na głos gazety. Pragnęła być sama, żeby móc wspominać wszystkie lata spędzone z mężem.

W pomieszczeniach na parterze dwupiętrowej willi obecny senior rodu Kowalskich prowadził prywatną kancelarię. Ula miała dużo wolnego czasu, a językiem niemieckim posługiwała się biegle i w mowie, i w piśmie. Zaczęła pomagać w kancelarii. Odbierała telefony, umawiała spotkania, z czasem zaczęła prowadzić dokumentację. W niecały rok po śmierci starszego pana zmarła też jego żona. Ula została. Z czasem coraz bardziej wciągała się w tematykę spraw prowadzonych przez Janusza (dawno już przeszła na ty ze swoim pracodawcą). Dużo uczyła się sama, przeglądając akta, czytając kodeksy. Wieczory spędzali przy kominku, on tłumaczył jej różne zawiłości w prowadzonych sprawach.

Szybko stała się jego prawą ręką. W niedługim czasie nie tylko w sprawach zawodowych. Przy nim nauczyła się jeździć na nartach. Grać w tenisa. Galopować na koniu nie musiała się uczyć. Pływanie też nie. Tata śmiał się, że ryby uznawały ją za swoją. Stali się praktycznie nierozłączni.

- Zosiu. On jest cudowny. Połączenie dojrzałej mądrości z dziecinną psychiką. Chcę być jego żoną. Rozumiesz? - Ula w każdej rozmowie z siostrą zachwycała się Januszem.

- Jak najbardziej. Realizuj to, o czym marzysz. Chciałabym go wreszcie bliżej poznać. - Zosia, słysząc ton głosu siostry, wiedziała, że Ula już szykuje skrzydła do lotu.

Mama powiedziała do Uli: „Córciu, przemyśl, zastanów się i zrób, co uważasz”. Tata popukał się w głowę i to była jedyna jego reakcja na plany matrymonialne starszej córki.

Ula z Januszem zbliżyli się do siebie. Blisko, jeszcze bliżej, aż razem stanęli przed obliczem cywilnego księdza.

Starsza córka posłuchała rady mamy i zrobiła to, co uważała za najlepsze. Postawiła rodzinę przed faktem dokonanym. Zawiadomiła o swoim zamążpójściu z typowym dla siebie poczuciem humoru. W domu rodzinnym zadzwoniła komórka.

- Halo - odebrał tata.

- Mówi Urszula Kowalska.

- Chwileczkę. - Tata przykrył ręką komórkę. - Matka! Kowalska dzwoni, tylko nie wiem, która to. - Oddał telefon żonie i zaczął zdejmować fajerki, żeby podrzucić węgiel do kuchni.

- Dzień dobry. Słucham - powiedziała mama, machając do ojca, żeby nie hałasował.

- Dzień dobry. Mówi Urszula Kowalska. - Ula powtórzyła z całą powagą.

- Ula? - krzyczała mama. - Córeczko! Mów wyraźniej. Jaka Kowalska?

Zosia, słysząc słowa mamy, wyrwała jej komórkę.

- Ulka! - wrzasnęła. - Wysłąś za męża?

- Tak. Weź na głośnik.

- Poczekaj. Zemdlej. - Zosia zwróciła się do rodziców: - Usiądźcie lepiej. - I do siostry: - Mów. Siedzą.

- Marno! Tato! Wysłałam za męża. Od dwudziestu minut noszę nazwisko Kowalska.

- Cywilny to nie ślub! - krzyknął tata, wstał i grzmotnął fajerką. Po chwili usiadł znów na taborecie przy kuchni i już ciszej powtórzył: - Cywilny to nie ślub. - Oparł głowę na rękach i zamknął oczy.

- Tatu - szczebiotała świeżo poślubiona. - Możemy wziąć kościelny. W kraju. Jak się uprzecie.

- Córciu. Kościelny bierze się z potrzeby. Nie dla rodziców - zauważyła zszokowana i zdenerwowana mama, starając się mówić spokojnie. - Kiedy przyjedziesz? - Pytając, spojrzała na Zosię i widząc jej znaki, poprawiła się: - Kiedy przyjedziecie? - Po czym wystękała z trudem: - Ty z mężem.

- Niedługo. Na razie wyślę wam zdjęcia. Kocham was. Jestem szczęśliwa. Pa! - Rozłączyła się Ula.

Parę dni później Zosia z mamą uczestniczyły w ślubie córki i siostry, oglądając zdjęcia. Tata nie chciał. Powiedział, że i zięcia, i własną córkę wystarczająco zna. Nie musi ich oglądać w przebraniu. Obie kobiety, przyglądając się fotkom, obiektywnie oceniły: „Pan młody był kiedyś super przystojnym facetem. Dziś jest atrakcyjnym starszym mężczyzną. Gęsta, oszroniona czupryna. Duże, ciemne oczy z długimi rzęsami przy uśmiechu zmieniały się w poziome szparki. Szczupła, umięśniona sylwetka i czarujący, młodzieńczy uśmiech”.

Zosia już dawno spodziewała się takiego finału, ale nie chciała mówić mamie. Usłyszała by: „Nie kracz, bo wykraczesz”.

Znała swoją siostrę. Porównanie pana Kowalskiego do Richarda Gere było jak wyznanie miłości. Aktor był idolem Uli od paru lat. Obejrzała większość jego filmów. Niektóre, jak *Chica-go*, *Zatańcz ze mną* czy *Sezon na słówka* po kilka razy. *Pretty Woman* mogła oglądać codziennie. Już będąc w Niemczech,

prawie każdą telefoniczną rozmowę z siostrą Ula zaczynała od opowiedzenia nowego filmu, który udało jej się obejrzeć.

- Powiedz, mamo, dlaczego nie próbowałaś wybić jej z głowy tego małżeństwa? - dociekała Zosia, podając mamie kolejne obejrzone już zdjęcia. - Ona mogłaby być jego wnuczką, jakby się wcześniej postarał o syna.

- Córciu. Mogłam próbować wbić wam do głów to, co uważam za moralne, uczciwe i prawe. I jej, i tobie wiele wybije z tego, co w młodzięczych latach macie w głowach, samo życie i droga, którą wybieriecie. Mnie już zostało tylko czekać i pomóc w razie konieczności.

ZOSIA

Razem wszystko pokonamy...

Zosia wyjeżdża do stolicy. Ma już zapewniony pokój przy rodzinie. Będzie zajmować się dzieckiem i pomagać w domu. Kobieta, która ją zatrudniła, nie pracuje. Do gotowania jest kucharka. Głównym obowiązkiem Zosi będzie opieka nad dwuletnią dziewczynką. Codzienne wytarcie kurzy i podłóg. Do gruntownego sprzątnięcia raz w tygodniu przychodzi osoba z firmy świadczącej usługi porządkowe.

Za „kelnerowanie” podczas przyjęć będzie dostawała dodatkowe wynagrodzenie. Zatrudnili ją w zastępstwie, tylko na pół roku. Dotychczasowa opiekunka dziecka musiała wyjechać do rodziny.

Zosi bardzo to odpowiada. Pół roku to wystarczający czas na zaadaptowanie się w Warszawie. Znalezienie jakiegoś kąta i rozpoczęcie nauki. Zdecydowała się być manicurzystką i pedicurzystką. Potem pójdzie na kurs stylizacji paznokci i wizażu. Już

teraz potrafi namalować zwykłymi farbami różne wzory na paznokciach. Nawet portreciki. Utrzyma siebie i synka. Najważniejsze to odkładać na mieszkanie. Rodzice obiecali pomóc. Sprzedadzą kawałek ziemi letnikom. Pracując, Zosia weźmie kredyt. „Będzie dobrze”. „Musi być” - powtarza sobie rano, w południe i wieczorem swoją mantrę...

- Baba... - Grzesio obudził się i stał w łóżeczku. - Mama, psi psi... - Wyciągał rączki i przebierał nóżkami.

Babcia zajęła się wnukiem. Za tydzień ona będzie mu matkować przez sześć dni w tygodniu. Wieczorem zadzwoniła Ula.

- Siostró, nie martw się, mama da sobie radę z Grzesiem. Jedź. To pierwszy krok. Będę ci wysyłać co miesiąc forszę. Załóż konto.

- Wystarczy, że przysyłasz rodzicom. W ten sposób i na mojego synka. Ja zarobię na siebie - dziękowała Zosia.

- Nie na twojego synka, tylko na mojego siostrzeńca - sprostowała Ula. - Na siebie zarób. Twoje kursy płacę ja - mówiła zdecydowanym głosem starszej siostry. Tak ja za dziecinnych lat: „Tak mówię i tak zrobisz, jasne?!”.
- Ale...

- Żadnego „ale” - przerwała zniecierpliwiona. - Mój siostrzeńec do szkoły musi iść w stolicy. Mamy parę lat. Potrzebne będzie ci własne mieszkanie. Znajdziemy coś niedrogiego. Na razie zrób kilka kursów. Potem zaczniesz pracować.

- A ty? Nie chcesz mieć dziecka? - spytała Zosia. - On chyba jeszcze może?

- Ręczę ci, że może. I to jak! Opowiem, jak się spotkamy. - Jej ton mówił sam za siebie. - Dziecko! Nawet o tym nie myślę. Dwóch pasierbów mi wystarczy! - Roześmiała się serdecznie. - Jego starszy syn jest prawie w wieku naszego taty, drugi w moim! - Mówiąc, śmiała się bardzo zaraźliwie.

- Fakt. Dwoje dzieci już masz - przyznała Zosia, próbując też się roześmiać. - Jakie masz z nimi relacje?

- Bardzo rzadko ich widuję. Jeden jest wdowcem i mieszka w Polsce, z nim się świetnie rozumiemy. Młodszy jest w Anglii z żoną i nie mam z nim bezpośrednich kontaktów. Czyli jest super. Tęsknię za tobą, rodzicami i naszym „ciepełkiem”.

- Chciałabym w to wierzyć. - Tym razem udało się Zosi roześmiać. - Biorąc pod uwagę to, co mówiłaś, jak bardzo jesteś zajęta, wątpię, żeby ci się udało.

- Oj, na trochę. Parę dni. Przyfrunąć. Posiedzieć i odfrunąć z rodzinnych stron. - Ula swoim zwyczajem „odfrunąć” radośnie występowała.

- Niedługo będziemy mogły mailować i widzieć się na skype'ie. Jeszcze raz dziękuję, siostrzo, za komputer. Pa.

Zasyiała ze słowami mamy, powtarzanymi od dziecka córkom: „Razem wszystko pokonamy”...

Zosia śmiejąc się do wspomnień...

Zosia wracała z pracy do domu zapatrzona w chodnik. Przed chwilą skończyła się gwałtowna burza. Pioruny, błyskawice, grad i zasłona z deszczu. Ostatnia klientka czekała razem z nią w zakładzie, śmiejąc się, że grad zniszczy arcydzieło na jej sztucznych paznokciach.

- Pani Zosiu, z bólem serca dałam koleżankom telefon do pani.

- Z bólem? - Zosia z uśmiechem zadowolenia powtórzyła słowa klientki, sprzątajac stanowisko pracy.

- No pewnie. Jedyna mam takie cudenka na paznokciach. Trudno, podzielę się panią. - Przyglądała się swoim dłoniom. - Powołają się na moje nazwisko. Ale ten wzór proszę zarezerwować tylko dla mnie. To koleżanki z pracy.

Po godzinie zaświeciło słońce. Obie wyszły, kierując się każda w swoją stronę. Zosia szła wolno, starając się omijać co większe kałuże, ale i tak po chwili buty miała przemoknięte. Zatrzymała się i stojąc po kostki w wodzie, zdjęła czólenka; dalej już poszła na bosaka. Woda była ciepła od nagrzanego chodnika i asfaltu. Śmiejąc się do wspomnień, wchodziła w najgłębsze bajorka, rozbrzgując stopami wodę. To była ich z Ulą ulubiona zabawa w czasie deszczu lub tuż po.

Kiedy były małe, mama prosiła, żeby zdjęły ubranie. Ściągały wszystko i na golasa biegały po łące. Potem już w majtkach. Później w sukienkach. Wracając ze szkoły, podwijały nogawki spodni. Leśna droga pełna była dziur wyjeżdżonych przez traktory i samochody, dołków, wgłębień i wyrw wypłukanych z piasku przez wodę. Nie sposób było przejść suchą nogą. Chichocząc, wpychały się w najgłębsze dziury i do domu wracały upaprane błotem od stóp do głów, włącznie z włosami. Roześmiane, rozbawione, szczęśliwe dochodziły do domu i szukały matki, żeby usłyszeć jej lament: „O Matko Boska! Ale jesteście brudne!”.

Zamyślona nie rozejrzała się, wchodząc na zalaną w tym miejscu jezdnię. Nadjeżdżający samochód raptownie zahamował. Rozpryskująca woda spod kół pojazdu oblała Zosię aż po czubek głowy.

- Weszła pani tak nagle!... - Usłyszała podniesiony, męski głos. - Mogłem nie zdążyć zahamować! - Szarpiąc ją za ramię, mężczyzna zmusił Zosię do cofnięcia się na chodnik. - Przepraszam - dodał, widząc, że ociera twarz z wody.

- Za co? Że nie zabił mnie pan? - roześmiała się. - To ja przepraszam i dziękuję za darowanie mi życia. - Wyciskała wodę z włosów.

- Jak pani wygląda! - krzyknął z nieudawanym przerażeniem i chusteczką zaczął ścierać błoto z jej twarzy. Przerwał i otworzył samochód. - Proszę. - Podał jej mały ręcznik.

Wytarła się i oddała brudną szmatkę.

- Wystarczy. Reszta wyschnie na mnie.

Dopiero teraz zobaczyła jego twarz i zadrżała. To był Jacek. Dwa razy starszy, ale to on. Może to jego ojciec? - pytanie nasu-
nęło się samo.

- Pani drży z zimna. Proszę wsiadać! - Otworzył tylne drzwi w samochodzie. - Odwiozę panią do domu. Bez dyskusji, dziewczyno - zareagował zdecydowanie, widząc, że się waha. - Gdzie pani mieszka? - Ruszyli. Spojrzał na nią i słysząc odpowiedź, zaskoczony powiedział: - Mieszkamy na tej samej ulicy.

- Wynajmuję pokój przy rodzinie. Pod czternastką - doprecyzo-
wała.

- Podjeżdżamy do mnie. To parę numerów dalej. - Po tonacji głosu można było się domyślić, że nie jest przyzwyczajony do odmowy. - Przez jakiś czas mieszkałem przy rodzinie. Wiem, co to oznacza. Ciągłe pretensje za zbyt duże zużycie wody, gazu, elektryczności, śmieci. Prawda?

Wjechał do podziemnego garażu budynku niedawno dobudo-
wanego do starej kamienicy, tak zwanej plomby. Za nim był duży park.

- Oj tak - potwierdziła rozbawiona. - To już kolejny wynaj-
mowany pokój. I za każdym razem - westchnęła ze smutkiem - za mała jest tylko opłata za wynajem. Oczywiście według wynajmu-
jących.

Wjechali windą na trzecie piętro i weszli do mieszkania. Już po wielkości przedpokoju zorientowała się, że to apartament. Stojąc, patrzyła na duży, nieoddzielony drzwiami salon.

- Tu jest łazienka - pokazał, otwierając drzwi. - Ręczniki są w szafce. Kosmetyki w drugiej. Proszę wziąć gorącą kąpiel i nie żałować wody - mówił łagodnie, z lekkim, serdecznym uśmiechem i zachowywał się tak naturalnie, że Zosia rozluźniła się i poczuła swobodnie.

- Kąpiel w bąbelkach i z bąbelkami. Bez żadnego podtekstu.
- Zaśmiał się uspokajająco. - Zaraz przyniosę.

Weszła do łazienki, wyjęła z szafki szampon i płyn do kąpieli. Nie rozbierała się, wiedząc, że za chwilę przyjdzie. Usłyszała pukanie.

- Mogę podać kieliszek?

Otworzyła.

- Nie wszedłbym. Po co pani stoi w tych mokrych rzeczach? Proszę się zamknąć, poczuje się pani swobodniej. - Podał jej kieliszek z szampanem i wyszedł.

Rozkoszowała się kąpielą, dolewając w miarę potrzeby gorącej wody. W wynajmowanym mieszkaniu korzystała tylko z szybko branego prysznica. Właścicielka stała pod drzwiami i patrzyła na zegarek. Kąpiel według ustnej umowy należała się Zosi raz w tygodniu. Za dodatkowe korzystanie z szybkiego prysznica musiała płacić po trzy złote. Głowę myła w pracy. Jej szefowa zgodziła się na to w zamian za zdradzenie jej przez Zosię składu ziołowej mieszanki do płukania włosów.

Zadowolona z niespodziewanej frajdy, jaką była kąpiel w tak dużej ilości wody (właścicielka mieszkania sprawdzała liczniki), bawiła się obfitą pianą. Nagarniała w jedno miejsce dużą stertę i rzeźbiła palcami oczy, nos, usta, myśląc o mężczyźnie za ścianą.

Kolor włosów, oprawa ciemnych oczu, spojrzenie - wszystko tak przypominało jej Jacka, że niemożliwe byłoby przypadkowe podobieństwo. Jednak to nie mógł być mąż Uli. Siostra nic nie mówiła, żeby miał w kraju mieszkanie. Wyglądał zresztą dużo młodziej.

Kąpiel i szampan, co prawda w innej kolejności - uśmiechnęła się gorzko do swoich myśli. Muszę wiedzieć. Zapytam wprost - postanowiła, wychodząc z wanny.

Roztrzeпаła mokre włosy. Z ręczników podświadomie wybrała ten w zielonkawym kolorze. Owinęła się, mocując koniec

nad piersiami. Na bosaka wyszła z łazienki, w rękach trzymając mokre ciuchy i czótenka. Stała, nie wiedząc, dokąd iść. Zobaczył ją. Podszedł do szafki i wyjął nowe klapki. Rozpakował, przyklęknął i założył jej na nogi.

- Powieś na tarasie. Jest słońce, szybko wyschnie. - Poszedł do kuchni.

Usiadła na kanapie, rozglądając się po pokoju. Kanapa, dwa fotele i stolik. Przy drugiej ścianie długa szafka. Po przeciwnej stronie prostokątny stół i sześć krzeseł. Naprzeciwko kanapy - duży plazmowy telewizor i sprzęt grający. Nad kanapą jeden, jedyny obraz. Wszędzie dużo punktów świetlnych. Nie zauważyła ani jednego kwiatka, nawet wazonu. Minimum sprzętania. Mieszkanie samotnego, schludnego mężczyzny - wywnioskowała.

Wszedł, popychając barek na kółkach. Na dużym, owalnym półmisku leżało parę rodzajów sera pokrojonych w plastry, trójkąci i kostki. Po parę plasterków szynki, baleronu i salami. Centymetrowej grubości plastry trzech różnych pasztetów. Dekoracja z sałaty, brokułów, pomidorów, kolorowych papryk i nadziewanych oliwek. W koszyczku małe, pszenne bułeczki i kromki razowego chleba.

- Zamówiłem z pobliskiego hotelu. Dostarczyli, kiedy byłaś w łazience - wyjaśnił, widząc jej zaskoczone spojrzenie. - Dziewczyno, nie patrz, tylko jedz - ponaglał ją. Nalał wino i usiadł przy niej.

- Mam na imię Zosia - podała mu rękę.

- Wiesiek. Widzę, że obejdzie się bez bruderszaftu? - spytał zawiedzionym głosem. W oczach tańczyły mu chochliki.

- Tak. Bez - potwierdziła, nakładając na talerz po plasterze sera i wędlin. - Masz dorosłego syna?

- Co? - Był wyraźnie zaskoczony.

- Przypominasz mi kogoś. Dlatego pytam. - Jadła, nie patrząc na niego.

- Nie. Nie mam. Córki też nie. Żonę miałem. Jestem wdowcem. Wystarczy, ciekawska dziewczynko. - Delektował się paszтетem, obserwując ją wnikliwie. - Pierwsza miłość? Dobre czy złe wspomnienie?

- Obojętne. - Wzruszyła ramionami.

- To dobrze. - Spojrzał na nią roześmianym wzrokiem. - Mam szansę na zjedzenie z tobą kolacji? Powiedzmy pojutrze?

- Masz - odpowiedziała bez zastanowienia. Widząc jego lekkie zaskoczenie, dodała: - Lubię jasne sytuacje. - Pijąc wino, patrzyła mu śmiało w oczy. - Nie jestem dziewczynką. Nawet dziewczyną. Jestem kobietą.

- Ooo? - Nie krył rozbawienia.

- Mówię poważnie. - Spojrzała ostrym wzrokiem. - W pełni kobietą. Samotną matką cudownego synka.

- Rozwódką?

- Nie. Na szczęście moje i Grzesia. Panną z dzieckiem. - Czekwała na jego reakcję. Nic nie powiedział. - Prawie szczęśliwą matką i całkiem szczęśliwą kobietą.

- Prawie? - zapytał poważnie.

- Tak. Synek mieszka z moimi rodzicami. Zabiorę go, gdy będzie szedł do szkoły. Pracę mam na tyle dobrą, że utrzymam syna. Już niedługo kupię mieszkanie. Chcę, żeby do szkoły Grzesio poszedł już tu.

- A ojciec dziecka?

- Nie istnieje. Ani dla mnie, ani dla synka. Wiesz już wszystko, co powinieneś wiedzieć. - Wypowiadając ostatnie słowa, wstała i poszła po ubranie. Przebrała się w łazience.

Z jego reakcji wywnioskowała, że zaproszenie na kolację jest nieaktualne. Wyszła.

- Do widzenia. Dziękuję. - Podała mu rękę. - Za twój refleks. W swoim i synka imieniu.

- Posłuchaj. Rzeczywiście jesteś kobietą. - Przytrzymując jej

dłoń, dodał: - Zaskakująco szczerą. Odpowiem tym samym. Nie zamierzam się drugi raz żenić. Nie nadaję się do stałego związku, tym bardziej na zastępczego ojca. - Mówił wolno, bezbarwnym głosem, bez żadnych emocji. - Podobasz mi się. Mogę zaproponować ci koleżeństwo w pełni tego słowa znaczeniu. Jeżeli będziesz miała ochotę i na seks, będę zadowolony. Tylko tyle mogę zaoferować kobiecie. - Pocałował jej dłoń. - Spotkamy się na kolacji?

- Seks trochę znam. Przyjaźni z mężczyzną nie. Chętnie poznam cię bliżej. - Podała mu wizytówkę. - Zadzwoń. Chociażby po to, żeby umówić się na manicure. Dam ci rabat - roześmiała się, wychodząc i nie odwracając się, dodała: - Czekam.

KRYSTYNA

Romek po męsku...

Czekając na żonę, Romek zaczął się denerwować. Obiecali sobie, że zawsze wspólnie będą podejmować decyzje. Tym razem zdecydował sam. Zataił przed nią dodatkowy zarobek, żeby opłacić kurs i wyrobić wszystkie potrzebne papiery. Wiedział, że o pieniądze nie będzie miała pretensji. O decyzję bez konsultacji - na pewno. Usiadł przy stole w kuchni i czekał. Teraz już nie był taki pewien jej reakcji.

Zdawał sobie sprawę, że Krysia na wiele jego pomysłów przystaje tylko dlatego, by sprawić mu przyjemność.

Zmęczona, ze spuchniętymi nogami, bez słowa narzekania, zgadzała się na niespodziewane wyjazdy. Układał dla niej poduszki i koce na tylnym siedzeniu w samochodzie i jechali całą noc. On relaksował się, prowadząc, ona spała. Świtem dojeżdżali nad morze, do wioski rybackiej, w której mieszkali rodzice jego przyjaciela. Przyjeżdżał do nich jako chłopak.

Raz przywiózł mamę. Po powrocie z mieszkania zniknęło wiele rzeczy. Został brud, smród i zniszczone meble. Mama więcej nie pojechała, Romek co jakiś czas wyrwał się na parę dni. Rodzice kolegi polubili go i traktowali niemal jak syna.

Teraz przyjeżdżają z Krysią i przyjmowani są z otwartymi ramionami. Zawsze znajdzie się dla nich miejsce do spania.

W zimne dni na podłodze rozkładają dmuchany materac, w lecie śpią w namiocie. Rozbijają go na wolnym skrawku ziemi między studnią a kurnikiem, tuż przy płocie. Za ogrodzeniem rośnie dzika jabłotka, której gałęzie dają cień. On odsypia parę godzin, Krysia idzie na plażę, najczęściej wyludnioną; wczasowicze tu nie przychodzą. W wiosce nie ma smażalni, barków z piwem, jakiegokolwiek atrakcji. Kryska lubi patrzeć na krzątających się rybaków. Obserwować ich pracę przy łodziach, sieciach i skrzynkach z rybami. Od dziecka lubiła ryby. Jej mama dwa razy w tygodniu przygotowywała rybny obiad. Krysia wprost przepadała za smażonymi w cieście śledziami, które jadła też na zimno, na kolację. Ryby zjadała ot tak, po prostu, jako zdrowe i smaczne mięso. Od czasu, gdy bliżej przyjrzała się codziennemu życiu rybaków, je flądre lub dorsza z atencją, mając przed oczyma posiekane słońcem, wiatrem, słońcą wodą twarze i dłonie znajomych ludzi.

Na plażę w słoneczne, upalne dni szła Krysia, dziewczyna uwielbiająca wygrzać się, leżąc plackiem w promieniach słonecznych. Krystyna kosmetyczka zostawała w domu z całą swoją wiedzą na temat szkodliwości opalania. Opalenizna, jak każdej kobiecie, dodawała jej pewności siebie co do wyglądu. Złocisto-brązowy odcień skóry działał jak czarodziejska różdżka. Bluzeczka na ramiączkach kupiona za parę złotych i krótkie żółte szorty wyglądały lepiej niż super kreacja z najdroższego butiku.

Po powrocie, wkładając swoją służbową sukienkę, czuła się jak złota rybka spełniająca życzenia klientek. Sąsiadka-emerytka

dorabiająca szyciem - uszyła trzy sukienki w zaprojektowanym przez Krysię fasonie, z paroma kieszonkami różnych wielkości. Złotawy odcień materiału współgrał z dodatkami w gabinecie, nadając całości wrażenie nierzucającego się w oczy luksusu. Pamiętała, żeby w szklanych, długich, jednakowych wazonach stały pojedyncze, takie same róże. Do szklanej patery stojącej na stoliku wsypywała kulki delikatnie nasycone olejkim różanym. Na wierzch sypała świeże płatki róż. Salonik sąsiadował z kwaciarnią. Kwiaty dostawała za darmo, czyli za depilację brwi i hennę. Handel wymienny ku zadowoleniu obydwu właścicieli.

Romek po przebudzeniu robił w termos kawę i przychodził na plażę. Pomagał rybakom, a wieczorem wypływał z nimi na morze. W niedzielę odsypiał. Krysia z gospodynią szykowała niedzielny posiłek. Przeważnie był to rosół z kury z własnym makaronem. Do mięsa ryż i sos koperkowy albo chrzanowy. Kompot i domowe drożdżowe ciasto z kruszonką. Po obiedzie spacer we dwoje brzegiem morza i powrót. Dla niej tylne siedzenia zamieniały się w najwygodniejsze łóżko. On odpoczywał czule, obejmując swoją drugą miłość. Im bliżej domu, tym z większą niechęcią myślał o swoim miejscu pracy...

Usłyszał kroki na klatce schodowej. Wiedział, że to żona. Na pierwsze piętro wchodziła wolno, ciężko stawiając na kolejnych stopniach opuchnięte, zmęczone nogi. Im bliżej mieszkania, tym szybciej pokonywała schody. Ostatnie pół piętra, widząc drzwi do ich małego świata, wbiegała codziennie z taką samą radością.

- Jestem! - Już od progu krzyknęła zaciekawiona. - Mów!?! Co za niespodzianka!?! - Dopytywała się, całując męża w nachyloną nad jej dłońią czuprynę. - O! Szampan!... - Usiadła przy stole. - Opowiadaj.

Romek, patrząc na nią, zdał sobie sprawę, że postąpił nielojalnie, wbrew umowie, której ona nigdy nie złamała. Jedyne wyjście to zachować się po męsku.

- Zmieniam pracę. Mam uprawnienia. Będę jeździł tirem w długie, zagraniczne trasy. Zaczynam za tydzień - powiedział jednym tchem, nie patrząc na nią.

- Jak to? Nic nie mówiłeś? Sam zdecydowałeś? - Krystyna zareagowała niedowierzaniem w głosie i w spojrzeniu.

- To moje życie i moja decyzja - stwierdził zdecydowanie, po męsku, bojąc się spojrzeć na żonę.

- Twoje życie? - To był pytajnik niepewności, czy dobrze usłyszała. - Twoje! - Wykrzyknik pełen żalu i wzbierającego gniewu. - Twoje. - Kropka potwierdziła oczywistość.

Krystyna wstała i wyszła.

Romek czuł się niewinny. Chciał ją ucieszyć. Nie był egoistą. Zmianę pracy rozważył pod kątem większych dochodów. Przy okazji będzie robił to, co lubi. Zwiedzi świat. Nie był nigdy za granicą. Jej przywiezie ładne ciuchy, kosmetyki, wszystko, co będzie chciała.

Wiedząc, że postąpił nielojalnie, poszedł za nią prosto do łazienki. Krysia za każdym razem, gdy chciała być sama, siadała na brzegu wanny i puszczała wodę. Patrząc w lustro, rozmawiała ze sobą. Podeszedł do niej. Przykucnął i pocałował ją w kolano.

- Przepraszam. - Nie wiedział, co jeszcze powiedzieć.

- Myślałam, że to nasze życie. - Jej głos przepełniała gorycz.

- Oczywiście. Nasze życie, które zmieni się na lepsze - zapewniał.

- Oczywiście było to dla mnie do dziś. Naprawdę tego nie rozumiesz? - Zakręciła wodę i usiadła na podłodze.

- Zrozumiałem dopiero przed twoim przyjściem - przyznał się i zaczął tłumaczyć: - Myślałem, że będę robił to, co lubię.

Większe pieniądze. Szybciej dziecko. Same plusy. - Usiadł przy niej i trzymając ją za ręce, przekonywał do swoich racji: - Chciałem ci zrobić niespodziankę.

- Minusa, i to dużego, nie widzisz?!
- Jakiego? - spojrzał szczerze zdziwiony.
- Będiesz często poza domem. - Mówiąc to, uspokajała się, czując jego szczerłość.

Z męską logiką zaplanował i zrealizował. Był dumny z siebie. Genialne posunięcie, po którym żona spojrzy na niego z podziwem. Szampanem wzniesie toast za najwspanialszego taktyka na świecie. Chciał dobrze. Dla siebie, ale i dla niej.

- Kochanie. Ludzie wyjeżdżają na rok, nawet na całe lata, żeby tylko stanąć na nogach. Chcemy mieć dziecko. Musimy spłacić kredyt... - Całował jej rękę. - Jest Internet, są komórki. Będziemy w stałym kontakcie... - Przytulił ją. Całował w oczy, nos, brodę. - Kocham cię. Prędzej ty mnie zdradzisz niż ja ciebie... - Próbował wywołać uśmiech na jej zasmuconej twarzy.

- Przrzeknij. Żadnych więcej męskich niespodzianek. n- Wstając, podała mu rękę. - Chodź, otworzysz szampana i uczniemy twój sukces.

ZOSIA

Zakopałam go - roześmiała się, czując ulgę...

Zosia pracowała w zakładzie fryzjerskim niedaleko jej tymczasowego miejsca zamieszkania. Niecałe dwa kilometry. Chodziła pieszo dla zdrowia i oszczędności benzyny. Zrobiła prawo jazdy. Dzięki Uli ma starego opla corsę. Kiedyś należał do jej męża. Stał w garażu. Służył mu, kiedy był w kraju i do dojazdów

na działkę. Odsprzedał go Zosi za symboliczną sumę. Zgodziła się po przekonującym ostatecznie argumentie siostry: „Zośka, jak nie, to każe mu oddać tego grata na złomowisko!”.

Nie narzekała na brak pracy. Klientki polecały ją następnym. Do synka starała się jeździć co tydzień. Nadrabiała zaległości w czułościach, zabawach, rozmowach. Cieszyła się, widząc jego rysunki namalowane dla mamy. Miał talent. Po niej. Ona - zmar-nowany przez brak możliwości. Przyrzekła sobie, że synkowi da szansę, jakiej sama nie miała. Rozmawiała już w szkole prywatnej, gdzie prowadzono zajęcia plastyczne z sześciolatkami.

Od czasu kiedy zaprzyjaźniła się zjedną z klientek, samotność jej nie dokuczała. Irena była polonistką. Uczyla w szkole. Nie lubiła tej pracy, ale bała się zmiany. Spotykają się na babskie pogaduszki. Teraz Zosia sporo czasu spędza także z Wieśkiem. On jest prawie w wieku jej ojca. Ale za to dużo młodszy od męża Uli - rozgrzeszała samą siebie.

Przyjazne spacerunki, kolacje, kina, wystawy, rozmowy były tak udane, że trudno byłoby ich nie rozszerzyć na gruntowniejsze wzajemne poznanie. Coraz częściej nocowała u niego, żartując, że wyłącznie ze względu na możliwość długiej, rozkosznej kąpie-li.

Lubili ze sobą rozmawiać i pomilczeć przy sobie. On pracował, ona czytała. Dobrze im było razem. W wannie też.

Parę miesięcy później opowiedział o kobiecie, którą kocha. Żona Wieśka zmarła w cztery lata po ślubie. On kochał ją bardzo. Szczerze mówił, że nadal jest jego jedyną miłością. Obwinił siebie. Jako młody sędzia w zasadzie nie bywał w domu. Jak był, to z nosem w kodeksach. Chwile wolne wykorzystywali z żoną na rozmowy o nim, jego pracy, problemach, ambicjach. Prosiła, żeby odpoczywał, zwolnił tempo, dbał o zdrowie. Byli małżeństwem. Żyli razem - tylko nim. Liczyło się to, czego on chce, co

akurat może, czego pragnie, o czym marzy.

- Żona kochała mnie. Ja kochałem siebie i pracę - osądzał się z nieukrywany bólem. - Obudziłem się za późno. Już w szpitalu.

Dopiero wtedy dostrzegłem, że schudła, zmizerniała. Sińce pod oczyma i wystające obojczyki. Pytałem: „Boli cię?”. Odpowiadała: „Nie martw się. Co u ciebie? Są wystarczające dowody? Nie wymigają się?” - Przerwał, bo myślami był przy żonie.

Zosia nie dopytywała: Na co była chora?, Ile miała lat?, Jak się poznali? Czy była ładna? Czują, że dla niego, gdy mówił, nie było to istotne. Dla niej też nie.

- Wiedziała, że umiera. - Wiesiek mówił bardzo wolno i cicho. - Ostatnie jej słowa słyszę do dziś. „Pamiętaj, nigdy się nie sprzedaj. Bądź uczciwy i kochaj mnie”. Zasnęła i już się nie obudziła. Umarła dwa dni później.

Długo milczeli. Zosia rozumiała, co jest powodem jego pytań: „Jak się czujesz?”, „Opowiedz, co było w pracy?”, „Mów, co cię boli?”, „Czym się martwisz?”.

To nie ją pytał. Nie o nią się troszczył. Nie do niej wydzwaniał parę razy dziennie. Nie jej pomagał i nie ją uspokajał.

Patrząc na nagle postarzałą twarz Wieśka, myślała o jednym. Czy kocha się z nią, czy z żoną? Nigdy podczas pieśzcot nie zwracał się do niej po imieniu. Zawsze: „Kochanie, dobrze ci?”, „Kochanie, dobrze mi!”, „Kochanie, jest dobrze”. Przytulał się i zasypiał.

Zosia za szczerość Wieśka zrewanżowała się krótkim wspomnieniem o ojcu Grzesia. Jedyńm mężczyźnie, z którym przed nim spała.

- Zakochałam się od pierwszego spojrzenia. To był on, wiedziałam od razu. Zachował się w porządku. Zapytał, czy chcę. Chciałam. Zabrał mnie do nieba. W jego ramionach marzyłam, że

tak będzie zawsze. Pożegnał się słowami: „Żenię się”. Moge mieć pretensje jedynie do siebie - zakończyła.

- Nie. Powinien użyć prezerwatywy. - Wiesiek zdenerwował się. - Tym bardziej gdy zorientował się, że jesteś dziewczicą - wyginał palce, aż trzeszczały w stawach. - Powiedziałaś mu o dziecku?

- Nie. On nie istnieje. Zakopałam go - roześmiała się, czując ulgę. - Wraz z dowodem mojej naiwności. - Pierwszy raz myślała i mówiła o tym wydarzeniu na luzie. Spokojnie. Nie czując nienawiści. Do siebie.

Z Wieśkiem było jej dobrze. I to musiało wystarczyć. On dawał tyle, ile mógł - jej i tej, o której myślał. Ona potrafiła to docenić i odpłacała tym samym. Jest ze wspaniałym facetem w idealnym związku. Lojalność, zaufanie, dopasowanie w łóżku.

Czasami cichutko pytała samą siebie: Czy można chcieć więcej? Niekiedy krzyczała w środku: Czy można mieć więcej! Patrząc na synka, była pewna: Można...

Ula

Mówiłaś już temu swojemu, że jesteś wiejska dziolcha?

Ula ucieszyła się z korzystnych zmian u młodszej siostry. Zosia przeprowadziła się do samodzielnego mieszkania przyjaciółki. Ula bardzo polubiła Irenę, mimo że znały się tylko wirtualnie. Podziękowała jej za pomoc w znalezieniu nowej pracy dla siostry, a w zamian usłyszała szczere i jednoznaczne: „Zgłupiałaś?”. Za to obietnica wspólnego obiadu w rewanżu, przy najbliższej okazji, została przyjęta z aplauzem przez obie, Irenę i Zosię. Jednak pod warunkiem zaproszenia ich nowej, wspólnej, serdecznej koleżanki - Krysi.

Starsza siostra zadzwoniła do młodszej z konkretnymi ustaleniami i paroma propozycjami. Poinformowała o swoich uzgodnieniach z mężem. Najlepszym sposobem dania Zosi pieniędzy na mieszkanie będzie darowizna, która między rodzeństwem jest nieopodatkowana. Zośka wpłaci pieniądze na konto. Mając własną działalność, weźmie kredyt według uznania.

W dalszej rozmowie Ula poradziła, żeby Zosia założyła stronę w necie o swoich usługach, ze zdjęciami wzorów na paznokciach; i żeby zamieściła dyplomy za pierwsze miejsce w mistrzostwach i licznych konkursach. Dała jej też kontakt do dziewczyny pracującej w niemieckiej firmie kosmetycznej. Siostra może podpisać korzystną umowę pod warunkiem używania ich kosmetyków do makijażu. Dodatkowo może brać kosmetyki na sprzedaż. Przy tylu klientkach przewijających się przez salonik urody będzie miała duży zbył. A Irena też może pomóc, rozprawdając katalogi wśród koleżanek w szkołach.

Ula miała wiele pomysłów. Zosia większość z nich realizowała. Na jeden nie zgodziła się. Żeby pojechać do Niemiec z Grzesiem. Nie mogły obie opuścić rodziców. Ona na pewno nie.

- Ula, ty wyfrunęłaś, wiedząc, że ja zostaję. Rodzice wychowują moje dziecko. Żyją moimi problemami. Nie zrobię im tego. Nie mogę.

- Sostro! Kocham cię! Jak już będziesz mieszkać z małym, przyjadą na trochę do mnie.

- Niemożliwe! A zwierzęta?

- Załatwi się. W ostateczności ty się nimi zajmiesz. - Ula robiła głupie miny do kamerki. - Zawsze to lubiłaś.

- Zgoda. Wezmę sobie do pomocy letników. Krysię, Irenę i może swojego - rozmarzyła się Zosia, chichocząc.

- Mówiłaś już temu swojemu, że jesteś wiejska dziolcha?

- Jeszcze nie, powiem przy okazji.

- Mogłabyś przysłać mi jakieś zdjęcia, żebym kojarzyła twarze twoich przyjaciół. Poprosiłam Irenę, ale powiedziała, że w realu wygląda korzystniej.

- Buja, lubi być komplementowana. Przyjedziesz, to poznam cię z dziewczynami i moim. Oni też chcą zobaczyć w realu tę moją Ulę.

- Przesyłam wam niespodziankę. Pa! - Ula uciekła przed pytaniami, rozłączając się...

ZOSIA

Ty jesteś siostrą Uli?

Zosia jechała do rodziców i synka, prowadząc bardzo ostrożnie. Po ostatnich ulewach utworzyły się głębokie leje. Czasami zatrzymywała się i wchodziła do bajora, żeby sprawdzić, czy przejedzie. Z daleka zobaczyła nadjeżdżający traktor. Odetchnęła z ulgą. Dzwoniła do rodziców, że droga jest fatalna. Ojciec wziął traktor sąsiada. Ruszyła dalej. Wyjechała z lasu. Przejechała dwa metry i znów musiała stanąć. Jedyne rozwiązanie to spróbować przejechać przez pole. Zadzwoiła komórka. Ojciec: „Stój. Nie jedź. Ugrzęzniesz”. Poczekała. Zaczepili linę.

Przed domem czekała mama z Grzesiem. Biorąc podskakującego ze szczęścia synka na ręce, Zosia pocałowała mamę. Rozglądając się, głęboko oddychała. Była u siebie. Jak zawsze skierowała się wprost do „ciepełka”. Jadła pyzy ze skwarkami z synkiem siedzącym jej na kolanach. Jedną on, jedną ona. Kraszone dodatkowo wzajemnymi pocałunkami. Rodzice ze zrozumieniem czekali, aż syn nacieszy się mamą. Po zjedzeniu Grzesio zajął się nowym samochodem. Córka mogła być dla nich. Rozmawiali.

- Panie Zieliński! - usłyszeli męski głos zza furtki.

Ojciec poszedł zobaczyć, kto i z jaką sprawą. Po chwili wrócił.

- Pan Kowalski ma przesyłkę dla nas.

- I nie poprosiłeś do domu? - Mama zganiła męża, wycierając ręce i zdejmując fartuch. Wyszła na zewnątrz. - Prosimy do domu. Zaraz mąż przyjdzie.

- Tu nie mogę? - pytał ciepły, przyjazny głos z zewnątrz.

Zoska nie dowierzała własnym uszom. Ula mówiła o niespodziance, ale Zosi na myśl nie przyszło, że dostarczy przez niego.

- To pomieszczenie gospodarcze - tłumaczyła się mama. n- Ale proszę. - Przepuściła w drzwiach gościa.

- Ty? - Zosia udawała zaskoczoną. To, że on zbaraniał z wrazenia, wcale jej nie zdziwiło. Przyszedł do rodziców Uli, ma prawo zdziwić się, że zastał i ją.

Tato przedstawił jej gościa:

- Córciu. To pan Kowalski. Starszy wnuk starego pana Kowalskiego. - Po chwili dodał: - Nieżyjącego seniora. - I spojrział zmieszany na żonę.

Zrozumiała, że mężowi nie może przejść przez gardło: „Syn męża Uli”, ale bardziej zaintrygowała ją reakcja córki. Oboje zagłuszył krzyk Grzesia, chcącego zwrócić na siebie uwagę:

- A ja mam nowy samochód! - Podbiegł do gościa i pokazał mu zabawkę.

- Wspaniały. Czy możemy się razem pobawić? - Wiesiek podszedł do Zosi. - Ty jesteś siostrą Uli?

- Tak. A ty synem jej męża? - pytając, nie zająknęła się nawet. Stali, patrząc na siebie, jakby się pierwszy raz widzieli.

- O co tu chodzi? Zosiu, ty znasz pana? - dopytywała zaniepokojona ich reakcją mama.

- Tato. Mamo. To mój przyjaciel - wyjaśniła Zosia, biorąc Grzesia na rękę. - Położę małego spać.

- Ja nie chcę. Mamo, spałem grzecznie po obiedzie... - Tarł oczka piąstkami. - Babcia obiecała, że będę z tobą do późnej

nocy! - Zaczął płakać.

- Zosiu. To prawda. Obiecałam. Pozwól mu - przekonywała babcia, dając córce znaki, żeby się zgodziła. - Tak czekał na ciebie.

- Dobrze. Baw się grzecznie. - Zosia otarła mu łezki. - Dziś pobawimy się, jutro pośpimy dłużej. Daj buziaka! - Ucałowała zadowoloną buźkę synka.

- Grzesiu, chodź ze mną. Pomożesz przynieść z samochodu niespodziankę od cioci Uli - zaproponował Wiesiek, spoglądając pytająco na Zosię.

- Pójdę i ja z wami - zdecydował dziadek, biorąc wnuka za rękę.

Zostały same. Mama zajęła się szykowaniem na następny dzień obiadu i udawała, że nic się nie stało. Po chwili Zosia zauważyła, że mamie drżą plecy.

- Dlaczego płaczesz? - spytała, domyślając się przyczyny.

- Znacie się tyle czasu i nie powiedziałaś mu, skąd pochodzisz? - Nadal udawała, że jest bardzo zajęta. - Wstydziłaś się, że jesteś ze wsi? - I patrząc ze smutkiem na córkę, rozżalonym głosem spytała: - I nas?

Zosia tłumaczyła mamie, że nazwisko popularne i ani przez moment nie pomyślała, że to on. Nie rozmawiali, kto i gdzie się urodził. To tylko pogorszyło sytuację.

- To o czym rozmawiacie? Nie znacie swoich korzeni, a przyjaźnicie się? Nie pojmuję, jak tak można? - Nie rozumiała mama.

Tata nie był zaskoczony. Wiedział, że córka znała tylko starych Kowalskich. Bardziej niepokoił go fakt, jak chłop prawie w jego wieku może się przyjaźnić z młodą dziewczyną. Nie przyznawał się, że uważa za nienormalne tak dużą różnicę wieku pomiędzy kobietą i mężczyzną. Nie mógł zdobyć się na taki komentarz po tym, co zrobiła jego starsza córka.

Zszokowany był też Wiesiek, ale zaproponował, żeby następnego dnia Zosia przyszła z synkiem do niego. Przyjechał sam. Mały pobawi się w ogrodzie, potem pojedą na obiad.

- Nie! - krzyknęła przerażona i zreflektowała się, widząc zdziwione spojrzenie mamy. - Dziękuję, ale nie - odpowiedziała stanowczo. Czuła, że krople potu spływają jej po twarzy.

- Panie Kowalski, jeżeli lubi pan pomidorówkę z własnych pomidorów i na wiejskim rosole, a na drugie kurę w potrawce, to zapraszamy do nas. - Matka widziała pobladłą, spoconą i wystraszoną twarz córki. Czuła, że coś jest nie tak. Niby przyjaciel, a córka bała się iść do niego! Czego się bała? Co to za człowiek? Wydaje się być miłym, kulturalnym mężczyzną. O co tu chodzi? Muszę z nią porozmawiać - pomyślała, czekając, czy gość przyjmie zaproszenie.

- Nalewka domowa też się znajdzie - ojciec poparł żonę, zadowolony, że będzie miał z kim wypić.

- Zosiu, wyraźnie nie chcesz przyjść do mnie. Nie masz nic przeciwko temu, żebym ja przyszedł? - spytał Wiesiek pogubiony w całej tej sytuacji.

- Oczywiście że nie. Zapraszamy serdecznie - odpowiedziała, czując na sobie badawczy wzrok mamy...

Wracając do Warszawy, Zosia próbowała w myślach odtworzyć chwilę tego niespodziewanego wspólnego obiadu. Ona, udając zaaferowanie, przynosiła, wynosiła, podawała, zabierała, co akurat było trzeba. Odzywała się tylko zmuszona pytaniem, prośbą, poleceniem. Uśmiechała się do synka, gdy na chwilę przypominał sobie o niej. Starła się nie widzieć zaintrygowanych spojrzeń rodzicielki. Niewidzących nic dziwnego oczu ojca. Pytających Wieśka. Odetchnęła z ulgą, gdy gość się pożegnał.

Mama podczas obiadu wypytywała gościa o Ulę. Po obiedzie tata z Wieśkiem i Grzesiem uruchomili niespodziankę, czyli nowy

telewizor. Na szczęście mieli trochę kłopotu z ustawieniem anteny, więc jakiś czas im to zajęło. Potem wyszli. Synek chciał pokazać gościowi wszystko. Oprowadzał po obejściu, chwając się krowami, świnią z prosiakami, kurnikiem. Tłumaczył, gdzie leży siano, skąd bierze się wodę, patrzył na dziadka, który dumny kiwał potakująco głową. Przy herbacie mama częstowała kolejnym kawałkiem ciasta, tata dolewał nalewkę, Grzesio z dumą pokazywał swoje rysunki.

- Bardzo ładnie rysujesz. - Wiesiek oglądał z zainteresowaniem każdy rysunek.

Babcia, usłyszawszy pochwały dla talentu wnusia, przyniosła więcej jego prac.

- Ma chłopak talent. - Wiesiek z trudnością dojadł leżącą na talerzyku trzecią już porcję domowego drożdżowego ciasta. - Mój przyrodni brat też jako dziecko ślicznie rysował. Ojciec chciał, żeby poszedł na Akademię Sztuk Pięknych. Jacek nie chciał... - Urwał i poprosił o dolanie herbaty.

- Dlaczego? Skoro miał talent i możliwości... - zdziwiła się mama, dolewając i sobie.

- Nygus od małego. Byle prędko, dużo i coraz co innego. Najchętniej przebalowałby życie. Od dziewczyn nie mógł się opędzić. - Wiesiek chętnie rozmawiał z gospodynią, widząc uniki Zosi.

- Żonaty, to się ustatkuje - skomentował tata i dolał sobie nalewki. - Już żony się o to starają - dodał żartobliwie, śmiejąc się do własnej ślubnej, która go spojrzeniem strofowała.

Zosia wstała i pod pretekstem zaparzenia świeżej herbaty już chciała wyjść z pokoju, ale Wiesiek też wstał i podziękował, tłumacząc, że zrobiło się dość późno. Odetchnęła z widoczną ulgą i pożegnała się na miejscu. Dziadkowie z wnuczkiem poszli odprowadzić gościa do bramy. Zosia wymówiła się czekającym zmywaniem, starając się nie widzieć zdumionego spojrzenia

mamy. W zwyczaju było, że po obiedzie dziadek z wnukiem kładli się na drzemkę. One razem sprzątały i rozmawiały na babskie tematy.

Wróciła mama z Grzesiem. Ojciec poszedł z Wieśkiem uzgodnić na miejscu szczegóły robót przy podmurówce i w garażu. Zosia miała jeszcze półtorej godziny do odjazdu. Na szczęście mama powiedziała: „Zdrzemnę się, jestem zmęczona”. Zosia nie bardzo w to wierzyła. Spojrzenie mamy było czytelne. Jest bardzo zaniepokojona. Musi przemyśleć wiele spraw, zanim zacznie rozmawiać z córką.

Grześ pełen wrażeń był bardzo zmęczony. Położyła go do łóżeczka. Czytała mu jego ulubioną bajkę. Zasnął po paru minutach. Doczytała do końca. Pocałowała śpiącego synka i poszła do mamy.

- Grześ śpi. Pojadę już. Będę wcześniej na miejscu. - Całując mamę, unikała jej wzroku. - Nie wstawaj. Zamknę za sobą bramę.
- Jedź przez wieś. Nadłóżysz drogi, ale spokojnie dojedziesz.
- Nie protestowała. Podniosła się i jak zwykle poszła z córką do bramy.

Zosia w lusterku widziała, że mama wyszła za bramę i szła jeszcze przez chwilę za odjeżdżającym samochodem, potem zatrzymała się i długo patrzyła za córką.

Stojąc w korku, Zosia rozmawiała w myślach z matką.

Dziękuję, że nie pytałaś. Tyle konkretnych pytań. Żadnej sensownej odpowiedzi. I to jedno, najważniejsze. Jeszcze niesprecyzowane, a już tłące się w twojej podświadomości. Widziałam, jak patrzyłaś na Wieśka. Potem na Grzesia. I błysk w twoich oczach, gdy przyglądałaś się im siedzącym na fotelu. Grzesiek siedział u niego na kolanach i razem wpatrywali się w ekran telewizora. Mnie już dawno uderzyło ich podobieństwo, dlatego nie mówiłam, gdzie mieszkam. Nie chciałam, żeby Wiesiek zobaczył

małego. Od dawna wiedziałam, że jest synem męża mojej siostry. Mętnie tłumaczyłam Uli, że nie mam jego zdjęć.

W dniu, w którym go poznałam, po powrocie do domu obejrzałam zdjęcia z Ulki ślubu. Świadkiem był najstarszy syn. To był mój nowo poznany przyjaciel. Ulka przysłała mi na pocztę mailową zdjęcie podpisane „Trójca i ja”. Na nim mąż Uli, dwóch pasierbów i ona. Wszyscy trzej bardzo do siebie podobni. Różnią się wzrostem i tuszą. Nie wiem, jak wysoki będzie Grzesio. Ile będzie ważył? Widzę, że jego włoski, oczka i spojrzenie są takie same jak Kowalskich. Mamo! Pewna jestem, że on będzie Zieliński, jak ja, ty i tato.

Podejrzewasz, że ojcem mojego dziecka może być Wiesiek. Znam cię. Wypytasz tatę. Sprawdzając jego notatki, dojdiesz prawdy. Wiesiek przywiózł Jacka i po godzinie odjechał. Naszym sąsiadem przez chwilę był młodszy wnuk seniora rodu. Ojciec ma dobrą pamięć. Przypomni sobie, że był u niego. Chciał włączyć polewaczki. Junior Kowalski powiedział głośno: „Nie dziś, panie Zieliński. Jestem zajęty - i obscenicznym gestem pokazał czym. - Taka dziolcha”. Pochwalił się. Słyszałam ojca, gdy powtarzał ci z oburzeniem: „Rozwydrzony łachmyta, wstrętny łobuz. Módlmy się, matka, żeby nasza Zośka na takiego nie trafiła”.

Do domu dojechała późno. Wiesiek nie zadzwonił ani nie przysłał esemesa. Było jej wszystko jedno. Umyła się, położyła i zasnęła.

IRENA

Proszę, obudź mnie...

- Koniec z korepetycjami - obiecała sobie Irena, wracając skonana do domu.

Dwóch uczniów. Dwa razy w tygodniu po dwie godziny dziennie plus dojazd. Praca od ósmej rano do dwudziestej drugiej z dwugodzinną przerwą, w której nie opłaca się wracać do domu. Zostawała dłużej w szkole. Poprawiała klasówki i kartkówki. Szła na obiad. Władną pogodę do parku. W deszczowy dzień łąziła po sklepach, pilnując kieszeni, żeby nie skusić się na kolejną promocję.

Przyjeżdżała do uczniów zła, bo mając w siatce następną bluzeczkę, sweterek, spódnicę za grosze, odliczała dzisiejszy zarobek z korepetycji. Wściekła, że tyle ślicznych ciuchów jest poza jej możliwościami.

Ostatni semestr to przypływ gotówki wraz z coraz większym przemęczeniem. Uczniowie zagrożeni, rodzice błagają o dodatkowe lekcje. Minimum trzy razy w tygodniu. Ona coraz bardziej zmęczona patrzeniem w bystre, szeroko otwarte oczy z tym samym pytaniem: „Na co?; Po co?; Do czego mi się to przyda?”.

Dzieciaki zdolne. Do wszystkiego, oprócz wkuwania zróżnicowania związków frazeologicznych ze względu na stopień łączliwości ich członów czy zacierania się związku znaczenia wyrazu z jego budową słowotwórczą. Interpretacja sonetów czy przemiany Jacka Sopoty w ojca Robaka jest dla nich oczywistością, którą lapidarnie wyraził jeden z uczniów.

- Proszę pani. Większość bohaterów literackich w młodości rozrabia ile wlezie, potem usycha z miłości, żeby na starość zmańdrzeć. Niektórzy są takimi dawnymi Terminatorami albo Rambo i dzięki ilości posiekanych trupów zostają bohaterami. Inni wyjeżdżają i nie mogą załapać się na dobrą robotę, opisują swoją depresję.

Irena lubiła przychodzić na lekcje do Tomka. Dryblas o głowę wyższy od niej. Z dużym poczuciem humoru, czym w swojej szkole narażał się większości nauczycieli. Miał szeroki zakres wiedzy internetowej. Jego konik to astronomia i rozwój kolejnictwa.

Oczywiście (jak sam podkreślił) informatyka. Z fizyki ma szóstkę. Z matmy i historii czwórki. Angielskim porozumiewa się biegle. Reszta go nie interesuje, ale rozumie, że minimum musi. Dla niego minimum to zaliczająca dwójka.

Z rosyjskiego i polskiego jest zagrożony.

- Proszę pani... - W jego inteligentnym spojrzeniu były zawsze zuchwałe błyski dzieciaka. - Czy jak napiszę „krowka”, to krowa nie będzie miała mleka? Napiszę: „Jadę na wakacje nad morze” - to pani nie będzie wiedziała, że będę się opalał na plaży? A zdanie „Puściłem bąka” jest jednoznaczne? - Starając się utrzymać powagę, dodawał: - Gdy byłem mały, lubiłem puszczać bąka. Tata też - zaśmiewał się, widząc jej rozbawione spojrzenie. - Mama to mądra facetka i nie stawiała nas do kąta. Pani też zajrzała, w przeciwieństwie do mojej wychowawczynie. Spytała, co lubiliśmy robić jako małe dzieci? Powiedziałem i kazała mi wyjść z klasy.

Czas spędzony z nim, mimo że z minimalnymi efektami, nie skutkował bólem głowy. Tomek należał do tych nielicznych wyjątków, którym zamożność rodziców nie przewróciła w głowie. Większość młodzieży z prywatnego gimnazjum była ponad resztę świata. Do tej reszty zaliczali nauczycieli, którym studia umożliwiły zarabiać tyle, żeby jakoś przeżyć...

Irena otworzyła oczy i spojrzała na wiszący na ścianie zegar. Pięta trzydzieści pięć. Jak dobrze. Może jeszcze godzinę pospać.

Przeciągnęła się i ziewając, przewróciła na drugi bok. Po chwili zerknęła na zegar. Wskazówki były w tym samym miejscu. Sięgnęła ręką po komórkę. Cholera. Rozładowana. Wstała i żeby nie upaść, przytrzymała się szafki. Zakręciło się jej w głowie. Odczekała i pobiegła do kuchni. Ósma dwadzieścia. Biegnąc do łazienki, klęła na Krzyśka. Obiecał obudzić ją, wychodząc. Muszę najpierw zadzwonić do szkoły - pomyślała i zawróciła do

kuchni. Sięgając po telefon, zobaczyła stertę zaschniętych naczyń w zlewie. Na stole butelki po piwie. Na podłodze pod stołem też. Na stole śmierzące pudełko po pizzy. Zadzwoiła.

- Krzysiek! Nie pozmywałeś! Nie obudziłeś mnie! Dlaczego?
- krzyczała w słuchawkę.

- Zapomniałem - powiedział ze stoickim spokojem i z wściekłością spytał. - To wszystko?

- Zapomniałeś! Zostawiłam kartkę! - Wstrzymywała płacz. - Co powiem w pracy?

- Gównu mnie to obchodzi. - Odłożył słuchawkę.

Zadzwoiła do szkoły. Tłumaczyła, że pękła rura od centralnego ogrzewania. Będzie na trzecią godzinę. Dodała sobie troszkę czasu, skoro i tak musiała się tłumaczyć. Była tak zdenerwowana, że dyrektor uwierzył. Poprzestał na: „Odrobi pani godziny na zastępstwie. Podwójnie”.

Zmywając, czuła, że rozsadzają złość. Wczoraj mimo migreny posprzątała, pozmywała po obiedzie. Głowa bolała ją coraz mocniej, zaczęła mieć dreszcze. Łyknęła jeszcze dwa proszki przeciwbólowe. Bała się, że po tabletkach nie usłyszy budzika. Muszę go poprosić... - niechętnie poszła do pokoju.

- Krzysiek. Bardzo boli mnie głowa. Biorę tabletki i kładę się. Ścisz trochę telewizor.

- Za chwilę będzie Edek z kumplem. Na mecz. Przygotuj jakąś zakąskę.

- Nie słyszałeś? - Starła się zachować stoicki spokój. - Źle się czuję. Jest kiełbasa i ser. Pokrój. Tylko zmyj potem. Obudź mnie rano. Nie mogę się spóźnić.

- Pokrój. Zmyj. Obudź. Kultury trochę. Mówi się „proszę”. - Jego ironiczny wzrok widziała przez zamglone z bólu oczy.

- Proszę. Nie zapomnij.

Na wszelki wypadek, na stole w kuchni zostawiła dużą kartkę:

„Proszę, obudź mnie”.

Hałasowali tak, że włożyła do uszu stopery. Nastawiła budzik w komórce. Złośliwość losu, wyładowana komórka i bateria w zegarze, była do zaakceptowania. Jego „zapomniałem” - już nie.

Myjąc szklankę, nacisnęła za mocno. Kawalek pękniętego szkła wbił się w dłoń. Syknęła z bólu i pozwoliła sobie na płacz. Miała prawo. Skaleczona ręka bolała. To jest usprawiedliwiony powód do płaczu. Obandażowała i drugą wytarła błaty. Szybki prysznic. Makijaż. Miała jeszcze czas na spokojne wypicie kawy.

Rozglądając się po kuchni, patrzyła, chcąc i nie chcąc zapamiętać.

Prawie podjęła decyzję. Już dawno. Czas na „odczepienie” się. Nie miała już do siebie pretensji. Próbowwała. Zadbła o siebie. Zrobiła wszystko, żeby naprawić relacje między nimi.

Wracał późno, pachnąc damskimi perfumami. Nie zabierał jej już nigdzie. W zasadzie nigdy nie wychodzili razem. Od czasu do czasu rzucał zaproszenie. Na koncert, premierę: „Idź sama, jak nie masz z kim” - doradzał ze współczuciem. Coraz częściej nie wracał na noc. Potem na kilka. Czekwała, oszukując samą siebie, że ze względu na Zosię. Gdzie się dziewczyna wyprowadzi? Zosia mieszka w jej mieszkaniu. Przecież nie zaproponuje jej spania na polówce, jak niegdyś swojej kuzynce. Irena zapewniała przyjaciółkę, że ma z głowy problem lokalowy. I to na długo. Chciała dotrzymać obietnicy. Przynajmniej w ten sposób mogła się tłumaczyć. Sama przed sobą. Wiedziała, że nie tej obietnicy stara się dotrzymać.

Złożyła przysięgę. Wyszepiała ją do ucha Confessio. Jedyne-
mu przyjacielowi, któremu zawierzyła wszystkie swoje obawy,
lęki i przyrzeczenia. Na szczęście koń mówi tylko na filmach, nie
zdradzi jej tajemnic. Obwiniła matkę. Za to, że odszedł ojciec.
Za to, że żaden wujek nie chciał być z nimi. Mama tłumaczyła, że
to ona nie chce wiązać się z nieodpowiedzialnym mężczyzną.

„Córeńko - mówiła - związek dwojga ludzi to wyzbycie się egoizmu. Z jednej i z drugiej strony. Właściwie rozumiane partnerstwo, a nie dyktat silniejszej strony”. Irena nie wierzyła.

Mama była kobietą. Mogła się tak zachowywać, żeby mężczyzna chciał z nią zostać na stałe. Przyrzekła sobie, że ona będzie potrafiła tak postępować, że jej związek będzie udany. Dla niego i dla niej.

Jej konik, kiedy mu o tym mówiła, patrzył rozumnymi ślepiami i rżał cicho. Zgadzał się z nią.

Dwa nieudane związki miała już za sobą. Ten trzeci, z Krzyskiem, miał być dowodem, że potrafi. Ma już pewność. Jeżeli nie odejdzie sama, to Krzysiek każe jej oddać klucze i wynieść się. Czekala już tylko na koniec roku szkolnego. Gorący okres w pracy. Przepytywania, klasówki, poprawy, klasyfikacja. Rozmowy z nagle zainteresowanymi rodzicami. Błagającymi - w szkole państwowej. Żądającymi i straszącymi - w prywatnej. Daje dwóm chłopcom korepetycje. Przeczeka, już niedługo, milcząc i sprzątając. Musi. Dla niej początek wakacji to początek Nowego Roku. Najlepszy moment na zmiany. Będzie miała czas na poukładanie wszystkiego od nowa. W jej przypadku oznacza to zaczęcie od starego. Zosię już poinformowała, pomieszkają razem.

Zamykając drzwi, usłyszała rżenie Confessio. Wtedy odebrała je jako akceptację. Roześmiała się gorzko ze swojej dziecinnej naiwności. Schodziła w takt końskiego śmiechu: iha, iha, iha.

Siedząc w autobusie, myślała już tylko o pracy. Na pedagogikę zdecydowała się sama. Na uczenie języka ojczystego za namową swojej wychowawczynie, która uczyła polskiego.

- Dziecko, nie masz sprecyzowanych zainteresowań. Zawsze byłaś najlepsza z polskiego. Jestem dumna z ciebie.

- Ciekawe, co pani powie o mnie jako o nauczycielce. Nie znoszę dzieci.

- I zdajesz na pedagogikę?
- Tak. Chcę unowocześnić sposoby nauczania. Może uczyć będę przez Internet?

- A może zainteresujesz się dziennikarstwem? Zatrudnisz w redakcji pisma? - wychowawczyni planowała za nią. - Pisałaś ślicznie wypracowania. Stylistycznie, gramatycznie i ortograficznie bez zarzutu. Z sensem... - Pogroziła palcem. - Co do twojej interpretacji, miałam czasami duże zastrzeżenia. - Śmiała się serdecznie. - Chyba już nie doczekam czasów, żeby uczeń mógł przedstawiać swój sprzeczny z przyjętym, lecz uzasadniony pogląd. - Spojrzała zatroskana na przypieczętowaną świadectwem dojrzałości maturzystkę. - Irenko. Boję się o ciebie. Z twoim charakterem długo nie wytrzymasz narzuconych odgórnie rygorów, schematów, szablonów. Zbuntujesz się szybko. Wystawisz rogi i pobudzisz siebie, kręcąc się w kółko. - Szczerze martwiła się losem swojej uczennicy.

- Proszę zobaczyć, jak zmienia się podejście Kościoła. Księża ubierają się na luzie, przebywając z młodzieżą. Grają na instrumentach. Rapują pieśni religijne. Ja będę w rytm disco uczyć ortografii. Swingować interpretacje *Sonetów Krymskich*. Nadzieję na rogi skostniały program szkolny - przekonywała Irena, optymistycznie podchodząc do swojej przyszłości zawodowej.

W tym roku miną cztery lata narastającej niechęci do tego, co robi. Czterdzieści miesięcy mroku. Osiem miesięcy światła w okresie wakacji. Wtedy żyła, kwitła i cieszyła się każdą godziną, bez względu na pogodę. Kilkanaście tygodni półmroku w okresie ferii.

Rogi przytarto jej bardzo szybko. Wieczne uwagi i pretensje dyrekcji. To, co udawało się jej przemycić, dawało małe światełko. Aprobata wśród dwóch, trzech kolegów nauczycieli i podsłuchane wśród uczniów: „Małolata jest w porzo”.

Czasami budząc się rano, miała ochotę, jak kiedyś, poprosić mamę, żeby mogła nie iść do szkoły. Co roku obiecywała sobie, że znajdzie inną pracę. I każdego roku znów wrzesień rozpoczynał ciąg dalszy powtarzających się myśli o beznadziei czekania na dożycie. Z drugiej strony miała więcej czasu niż jej wzór- uko-chana nauczycielka polskiego, z którą cały czas utrzymywała kontakt.

Do szkoły weszła w trakcie trwania lekcji. Pół godziny do dzwonka. Wchodząc do pokoju nauczycielskiego, ucieszyła się na widok Włodka, kolegi uczącego chemii.

- Świetnie, że jesteś! - Usiadła obok - I jak, udało się?

- Tak - uśmiechnął się i wyjaśnił: - Mąż koleżanki uczy tych twoich. Przepuści ich. A ty?

- Dzisiaj postawię im trójki. Na koniec dwójce. Przejdą - zapewniła uspokajająco.

Włodek już dwa tygodnie temu poprosił, żeby klasyfikowała dwóch nygusów. Korepetycje dawała im jego żona, w zamian obiecał zorientować się, czy mają znajomych, żeby dotrzeć do prywatnego gimnazjum, do którego chodzili jej „korkowi” podopieczni. Ucząc prywatnie już prawie rok, musiała mieć jakiś „sukces”. Szczególnie zależało jej na Tomku. Dwójka, nawet z minusem była satysfakcjonującą oceną dla rodziców. Dla niej też. Dzieciaki będą klasyfikowane, rodzice wdzięczni. W szkołach lepsza statystyka „zdawalności”. Wszyscy zadowoleni.

Wyrzutów sumienia nie miała. Większość dzieciaków ma zaświadczenia o dysgrafii i dysleksji. Medyczne usprawiedliwienie używania niepoprawnej polszczyzny. Media trzęsą się na myśl o zagrażającej epidemii grypy. O rozszerzającej się krajowej epidemii „chorujem na grypem” - milczą.

ZOSIA

Zosia nie zwracając uwagi...

Grzesio był ślicznym, bystrym i rezolutnym dzieckiem. Najważniejsze, jak powtarzała babcia, że zdrowym i silnym chłopcem.

Dziadkowie rzadko pozwalali mu oglądać telewizję. Zajęcia i zabawy wnuczka to „dorosła” pomoc dziadkowi i babci.

W nagrodę wspólnie z dziadkiem budowali szafasy, drewniane samochody, sklejali samoloty. Chodzili po lesie i dziadek uczył wnuka rozpoznawania gatunków drzew, grzybów, ptaków. Po powrocie Grześ rysował, a babcia musiała odgadnąć, co konkretnie przedstawia rysunek. W nagrodę dostawała wnuczkowego całusa, karą było zrobienie deseru, na który kochany szkrab miał akurat ochotę.

Grzesio potrafił po wydawanym dźwięku rozpoznać wiele gatunków ptaków. „Mama, to proste” - wyjaśniał, patrząc na jej niedowierzającą minę. „Przepiórka śpiewa «pitpilit», a kuropatwa «kirrek»” - uczył Zosię. Babcia nauczyła go odczytywania godzin na zegarze, liczenia na kurach i jajkach. Potrafił czytać i pisać esemesy do mamy. Jedno słowo: „syn”. Potem: „synek”. W niedługim czasie: „twój synek”.

Przeważnie jechała po niego w piątek. Bawili się. Kładła go spać i do późnego wieczora była z rodzicami. W sobotę rano zabierała syna i jechali do niej. W niedzielę po południu odwoziła go do rodziców i wracała.

Wujek Wiesio zabierał ich na wycieczki, do miejsc zabaw dla dzieci. Samochodziki, wspinaczki, zjeżdżalnie, kąpiel w „prawie morzach”, bo tak Grzesiek (jak dorośle nazywał go wujek) określił baseny.

Zosia cieszyła się, że synek odkrywa „wielki” świat. Wiesiek przez znajomych znalazł idealne dla Zosi mieszkanie do kupienia. Dwupokojowe z dużą kuchnią i sporym balkonem, do remontu. Za to niedrogo jak na lokalizację i obecne ceny. W dodatku właściciele zgodzili się na zapłatę w ratach. Pięćdziesiąt procent po spisaniu umowy i co pół roku po dziesięć procent. Zosia nie wahała się ani chwili. To była prawdziwa okazja. Była tak szczęśliwa, że nic nie wydało jej się podejrzanym. Ostatecznie Wiesiek znalazł się na prawnej stronie umów.

Na pierwszą wpłatę było ją stać. Nawet starczyło na remont. Ekipa, którą polecił Wiesiek, nie policzyła drogo za wykonanie niezbędnych prac. Remont dobiegł końca.

Dopiero dużo później Zosia dowiedziała się, że to Ulka z Wieśkiem uknuli wszystko. Mieszkanie kosztowało więcej. Remont też. Oni zapłacili od razu. Żadnych rat nie musiała płacić. Poprosili mamę, żeby jej powiedziała i przetłumaczyła. Zosia czuła się oszukana. Zawstydzona i poniżona. Mama długo jej tłumaczyła, użyła wielu argumentów, a widząc, że nie przekonała córki, wstała i już w drzwiach powiedziała: „Córciu. Nie bierzesz tego dla siebie. Zrezygnuj z ambicji dla dobra swojego dziecka. Należy mu się chociaż tyle”. Wyszła z pokoju.

Długo myślała nad słowami matki. „Należy mu się chociaż tyle” - powtarzała. Mama nie zadała żadnego pytania. Wiedziała. Nie chciała zmuszać jej do potwierdzenia. Zosia gorzko śmiała się z przewrotności losu.

Jej siostra jest „macochą” ojca Krzysia. Prawie babcią dla synka swojej siostry. Wiesiek przyrodnim wujkiem i bez papierka prawie szwagrem swojej macochy. Ciekawe, kim dla niej byłaby Ula, gdyby ona została żoną Jacka lub Wieśka? Teściową? Do teściowej synowe mówią „mamo”. Mało brakowało, a jej rodzona siostra zostałaby jej prawie drugą matką.

„Prawie” - to słowo Zosię prześladowało. Była prawie wdzięczna i prawie szczęśliwa.

Zastanawiała się, co ma zrobić. Podziękować? Podziękować! Podziękować.

Rozliczyła się z kierownikiem robót remontowych.

Odchodząc, zapewniał ją, że na każdy telefon przyjdzie. Pomoże przy najmniejszym kłopotcie. Spojrzenie dopowiadało resztę.

Zamknęła drzwi. Oparła się plecami i zsunęła na podłogę. Przedpokój nieduży. Ważne, że ze sporą wnęką w ścianie. Zabudowanie zaprojektowała, co do centymetra wykorzystując powierzchnię. Narysowała dokładnie, gdzie i jakich wymiarów mają być półki na rolkach. Wysokość, na jakiej mają znajdować się pręty do wieszaków na długie wierzchnie okrycia, krótkie spódnice i bluzki. Miejsce na odkurzacz pod wymiar nowego, który dostała w prezencie od Ireny. Na ścianie między pokojami zawiesiła duże lustro. Pod nim babcina toaletka, którą odnowił ojciec. Wyglądała przepięknie. Pokój Grzesia gotowy. Na biurku poukładane zeszyty, bloki rysunkowe, kredki, farby. Tornister i przybory szkolne mają kupić razem.

Zosia patrzyła na swoje ściany, nie zwracając uwagi na łzy płynące po policzkach. „Nasze mieszkanie. Nasz dom, synku” - wyszlochała. Po jakimś czasie spojrzała na zegarek. Zaraz powinien przyjść Wiesiek.

Wyjechał do Anglii. „Muszę” - wyjaśnił. Nie dopytywała. On też o wiele rzeczy nie pytał.

„Nie będę o nic pytał” - powiedział po ich niespodziewanym spotkaniu i odkryciu, kto jest kim. „Powiedz albo nie. Twoja decyzja. Ja ją uszanuję”. Gdy wyszedł, Zosia pomyślała: Ciekawe, czy dyplomacja to cecha wrodzona? Powiedział wszystko, nie mówiąc nic.

Wiedziała od Uli, że drugi pasierb miał wypadek samochodowy.

Leżą z żoną w szpitalu. W ciężkim stanie. Wiesiek pojechał na prośbę ojca, który ma zapalenie płuc. Co ją obchodził przyrodni brat Wieśka? Tym bardziej jego żona. Obcy ludzie. Nie znała ich. Wystarczy, że Ula z mężem byli ponad dwa tygodnie. Już któryś raz. Przedtem udawało jej się uniknąć spotkania we czwórkę. Od czasu, gdy wszystko się wydało, już nie.

Byli w restauracji. Zosia miała ochotę tylko i wyłącznie na tańce. Zdziwiony Wiesiek ledwo już przebierał nogami, ale szedł na parkiet, o nic nie pytając. Z mężem Uli (nigdy go inaczej nie nazywała, nawet w myślach) Zosia zamieniła kilka okolicznościowych zdań. On przysłuchiwał się rozmowom sióstr. Zosia - jego z żoną i synem.

Wiedziała, że nie może dopuścić do spotkania się wszystkich u rodziców w obecności synka. Kopią drugiego dziadka tak wierną, że nawet jej ojciec otworzyłby buzię ze zdziwienia. Tata, w przeciwieństwie do mamy, często patrzy i nie widzi. Nie potrafi opisać ludzi. Kto jak wyglądał? W co był ubrany? Do kogo podobny? Obie z mamą nie raz złościły się, gdy wracał i ani be, ani me. Wypytywały o takie ważne szczegóły, jak kolor, fason, biżuteria, a tata nie widział, nie wiedział. Za to godzinami mógł opowiadać o roślinach, ziołach, ptakach, zwierzętach z najdrobniejszymi szczegółikami.

Ojciec zawsze mówił, co myślał. Zero dyplomacji. Mając ich razem przed sobą, musiały już dostrzec. Krzyknęłyby: „Pan mógłby być dziadkiem mojego wnuka! Skóra zdarta z pana! Matka, widzisz?”.

Na szczęście mąż Uli był u rodziców tylko jeden dzień, w tym więcej czasu u siebie na działce. Wyczuwało się sztuczną atmosferę między nim, ojcem i matką. Zosia zabrała Grzesia. Przywiozła go z powrotem na drugi dzień. Ula chcąc się nacieszyć wszystkimi, chodziła z siostrzeńcem za rękę od mamy do taty, prosząc, żeby robili wszystko razem. Po obiedzie zajmowała się

tylko Grzesiem. Rozstawiała sztalugi. Uczyła dobierać kolory, trzymać pędzel. Tłumaczyła, który do czego.

Kiedyś obie malowały, a tata ich dzieła oprawiał w drewniane ramki. Na targ jeździli razem. Rodzice robili zakupy i szli załatwiać sprawy. Dziewczynki zostawały. Do południa udawało się im sprzedać parę obrazków. Za grosze. Dla nich były to bardzo duże pieniądze. Własne. Zarobione. Wracały dumne do domu, widząc podziw w oczach rodziców.

Zosia podczas pobytu Uli pracowała krócej i jechała na noc do rodziców. Czekwały, aż mały zaśnie i zmęczeni rodzice pójdą do siebie. Zamykały się w „ciepełku”. Wyłączały komórki i do czwartej miały czas dla siebie. Zosia spała dwie godziny i wracała. Brała prysznic i szła do pracy.

Noce przegadane z siostrą to czas na odległe przedwczoraj i niedalekie pojutrze. O dziś wiedziały na bieżąco.

- Zosiu, Wiesiek to dusza człowiek, ale to facet nie dla ciebie - przestrzegala po raz enty Ula, szczotkując jej włosy jak w dzieciństwie.

We wszystkich zabawach młodsza siostra była królowną z lokami. Ula zawijała pasma jej włosów na zwinięte kawałki papieru toaletowego i kazała Zosi tak spać przez całą noc. Na zbytki w postaci suszarki do włosów czy lokówki nie było stać rodziców. Cieszyły się z kolorowych wsuwek i wstążek.

- Dla mnie, Uluś, dla mnie - sennym głosem odpowiedziała Zosia, prawie usypiając pod dotykiem szczotki i dłoni siostry.

- Nie śpij! - krzyknęła Ula, prostując opadającą głowę siostry i szarpiąc ją za włosy. - On nigdy się nie ożeni.

- Wiem. Nie chcę męża ani ojca dla Grzesia - powiedziała zdecydowanym głosem młodsza siostra, odwracając się, żeby spojrzeć na starszą. - Wystarczy mi dwa w jednym. Przyjaciel i kochanek, to wszystko, co mi na dziś potrzebne. Rozumiesz?!

- Pytasz, a krzyczysz. Mówisz nieprawdę siostrzyczko. -

Podniosła jej twarz za brodę i patrząc w oczy, powiedziała: - Nie ważne, że oszukujesz rodzoną, w dodatku starszą siostrę. Ale okłamujesz też samą siebie.

- Ulka. Powiedziałam: na dziś. Nie skłamałam. Ja nie zamknęłam drzwi przed przyszłością, ale jeszcze ich nie otworzyłam.

Zosia znów spojrzała na zegarek. Wiesiek już dawno powinien być. Wstała. Wyrzuciła butelkę po wódce. Ona wypija dwa kieliszki, resztę pan kierownik z majstrem. Trzeba było oblać zakończenie prac. Nie chciała odpadających tynków i łuszczącej się farby. Ojciec podczas roboty nigdy nie pił i nie pozwalał pić. Wieczorem po fajrancie dwa, trzy kieliszki. Rano musieli być trzeźwi. Po skończeniu całości zaplanowanych prac ojciec stawiał wódkę.

Po wybudowaniu ich domu, otynkowaniu, położeniu blachy na dach, gdy już wszystko było gotowe, ojciec z robotnikami i pomocnikami dwa dni chrzczył mury, tynki, kleje, farby. Spali pokotem w stodole. Mama odbierała im papierosy, żeby nie zaprószyli ognia. Razem z Ulą przerażone patrzyły na zataczającego się mężczyznę ubranego jak ich tata, a obcego. Bały się go. Pierwszy raz widziały go w takim stanie. Sięgając pamięcią, Zosia na palcach jednej ręki mogła policzyć wspomnienia pijanego taty. Ostatni raz w dniu, w którym dowiedział się, że ona jest w ciąży. Zniknął wieczorem, zobaczyła go na drugi dzień późnym popołudniem. Stali z mamą za wrotami stodoły. Chwiejąc się, obejmował mamę i płakał. Zosia podeszła po cichutku i usłyszała, jak mówił do żony:

- To twoja wina. Myślałaś, że jesteś w ciąży. Modliłaś się, żeby poronić. Twoje modlitwy zostały wysłuchane. Cieszyłaś się, że to jakaś pauza, a nie ciąża. - Przytulał ją, a mama podtrzymała go, żeby nie upadł. - To też moja wina. Nie chciałem znów

być ojcem. Marzyłem o zdjęciu ciężaru z karku. Dziewczyny odchowane, mają matyry, dadzą radę. Modliłem się jak ty: „Boże, jesteśmy za starzy, za biedni na dzisiejsze czasy” - szlochali oboje. Po chwili znów usłyszała głos ojca: - Przemyślałem. Pan Bóg nas wysłuchał. Za starzy jesteśmy na rodziców. Na dziadków w sam raz! - Roześmiał się. - Matka. Damy radę. Najważniejsze, że Zośka zdrowa. Na chorobę nas nie stać.

Zosia cichutko wycofała się i poszła do swojego pokoju. Pogłaskała swój brzuch, przemawiając do tego, co już było w środku: „Nie martw się maleństwo. Masz najlepszych dziadków na świecie”. Płakała, czując przyływ wiary w przyszłość swoją i dziecka.

Czekając na Wieśka, patrząc co chwila na zegarek, zmyła kieliszki, wytarła blaty. Wlewając wodę do czajnika, usłyszała dzwonek do drzwi. Otworzyła. Zobaczyła olbrzymi bukiet na dwóch męskich nogach.

- Czy to mieszkanie pani Zielińskiej?
- Panny Zielińskiej i jej synka. - Odebrała kwiaty. - Nie mam odpowiedniego wazonu. Wiadro jest, ale po farbie - poinformowała dostawcę i wtuliła twarz w różę.

- Po problemie! - Nachylił się i sięgnął po wazon, w którym była butelka szampana.

Wazon z kwiatami postawiła na podłodze w rogu pokoju. Przyglądając się, stwierdziła, że właśnie kwiaty będą idealnym wypełnieniem tego miejsca. Nie tylko Krysią, ona też miała prawie darmowe kwiaty od właścicielki kwaciarni obok „Saloniku urody”.

Już po głosie, a potem patrząc na odsłoniętą twarz Wieśka, wiedziała, że stało się coś złego. On nie mówił. Ona nie pytała. Udawał spokojnego, ale jego ziemista cera, sińce pod oczami i przekrwione białka mówiły. Pił bez słowa herbatę.

Patrzyła na niego, zastanawiając się: Spytać? Ale przecież nie chciała nic wiedzieć o obcym jej człowieku. Spytać! - coś w środku krzychało z niepewności i strachu o miłość, z którą była w niebie. Spytać. Musi spytać.

Nie mówił, w jakiej sprawie jedzie. Domyśla się, że Ula na pewno jej powiedziała. Dziwne byłoby nie zapytać przyjaciela o zdrowie jego brata. Nie zainteresować się wymizеровanym wyglądem kochanka.

Zastanawiała się, czy on będzie wiedział, o kogo ona pyta. Czy tak jak ona nie będzie pewien? Czy los na nim się zemścił, za to, że pytając ją, myśli o żonie? Czy na niej, że sama nie wie, o kogo ma zapytać? Musi spytać.

- Powiesz, co się stało?

- Jacek nie żyje. - Nie patrzył na nią. Zosia wyczuła, że Wiesiek wie, iż zawiadamia ją o śmierci ojca Grzesia.

- Jego żona też. Zdażyłem go zapytać.

- Przykro mi. - Przykucnęła naprzeciwko Wieśka, żeby spojrzeć na nią. - Tylko ze względu na ciebie. - Nie spuszczała wzroku, wytrzymując jego spojrzenie pełne pytań i wątpliwości. - Rozmawiałam wczoraj z Ulą. Mówiła, że stan jest poważny.

- Nie powiedziałem im. Dopiero dziś Uli. Ze względu na zły stan ojca. Przedzawałowy. Ona mu powie, jak już będzie silniejszy. Pogrzeb był wczoraj. Pochowani zostali razem - relacjonował z przerwami, chaotycznie, a myślami był gdzie indziej.

- A Jacek? Wiedział, że umiera? - spytała jednak. Nie ona. Dawna dziewczyna, która już raz go pochowała.

- Tak. Ona pierwsza. Chciał być pochowany z nią.

Milczeli. Każde myślami daleko, a tak blisko. Nie wiedziała, o co go zapytał. Co mu powiedział? Co tamten odpowiedział? Pewna była jednego. Jacek kochał żonę. Chciał być z nią, na zawsze.

Nieodrodni bracia. Dla Jacka była kolejną, nic nieznaczącą przygodą. Dla Wieśka jest przetrwalnikiem czasu, który musi przeżyć do spotkania się ze swoją jedyną miłością. Gdzieś. Kiedyś.

Wie od Uli, że postawił żonie piękny pomnik. Na tablicy wyrył swoje imię i nazwisko, datę urodzenia. Wystarczy dopisać datę śmierci i już będzie znów z nią.

- Zosiu, usiądź obok mnie... - Z zamyślenia wyrwał ją drżący głos Wieśka.

- Tak? - zaniepokoiła się. Nigdy nie słyszała u niego takiego napięcia. Zobaczyła, że wyjmuje z teczki papiery.

- Przeczytaj - podał jej dokument. - Najpierw przemyśl, potem odpowiesz

- Nic nie rozumiem.

Czytała trzy razy. Treść zrozumiała. Celu - nie.

- Grzesio w akcie urodzenia ma napisane „ojciec nieznan”. Czas z tym skończyć. Jest najmłodszym Kowalskim. Musi być to potwierdzone zgodnie z prawem. Usynowię go. Zrobię jedynym spadkobiercą. Do mojej śmierci zapewnię mu wszystko, co będę mógł. Jako naszemu dziecku - wpatrywał się w nią.

Siedziała nieruchomo. Oglupiała.

- Miałaś prawo zdecydować, że nie ma ojca. Teraz, dla niego, masz obowiązek dać mu rodowe nazwisko. Zapewnić mu przyszłość. Niedługo zaczniesz pytać, mieć żal, pretensje. Przykro, że to mówię, ale będzie miał żal o wszystko do ciebie. Tak jest zawsze. Dzieci chcą znać nazwisko ojca.

- Ja nie chcę wyjść za męż. - Uczciwość kazała jej to powiedzieć, dla złagodzenia nie dodała: za ciebie.

Powiedział, że to jej obowiązek, jako matki, dać dziecku ojca. Z tym może się zgodzić. Nikt jej nie zmusi, żeby wyszła za męż z obowiązku. Za człowieka, który jej nie kocha i - jak mówi - nie pokocha, bo już kochał i jeszcze kocha i zawsze będzie kochał - inną.

- Mówiłem ci. Nie ożenię się drugi raz. Będę twoim przyjacielem zawsze. Kochankiem dopóty, dopóki nie poznasz mężczyzny, w którym się zakochasz. Obiecuj mi tylko, że nie odsuniesz mnie od Grzesia. I pozwolisz mojemu ojcu być dziadkiem.

- On wie? - spytała, znając odpowiedź.

- Tak. Ula też. Podpytała waszego tatę, kiedy był Jacek. Opowiedział jej o dziewczynie z wioski, która była u niego. Ula policzyła. Upewnili się z moim ojcem, oglądając zdjęcia Jacka, gdy był w wieku Grzesia. Dopóki ty nie zaczniesz tego tematu, dopóty nikt z nas nie powie słowa. - Objął ją. - Dziś to nie jest ważne. Jeżeli się zgodzisz, za dwa tygodnie ja będę ojcem Grzeska. Chciałbym zrobić to uroczyście. Ula z ojcem, wasi rodzice, my i Grzesiek. - Mówiąc, odsunął ją, nie puszczając rąk. - Potrzebujesz więcej czasu?

- Mama też wie. Nie mówiła mi, mówiła całą sobą! - Rozpłakała się. - Mały przyłgnał do ciebie. Jest do was taki podobny. Już pytał, czy mógłby na ciebie mówić „tata”, bo mama kolegi powiedziała, że jest bardzo podobny do taty. Będzie miał wspańskiego ojca. Lepszego nie znaję.

Omówili szczegóły. Ona powiadomi rodziców. On - Ulę i ojca. Grzesiowi powiedzą razem.

- Wiesiu. Mam jedną prośbę. Jacek nie żyje. Dla mnie od dawna. Nie chcę więcej wracać do tamtego dnia. Powiedz innym, dobrze?

- Obiecuję.

- Moja siostra będzie babcią twojego, naszego syna. - Uśmiechnęła się. - Już widzę jej minę, gdy się o tym dowie! - Udało jej się roześmiać.

Jej śmiech wywołał głęboki oddech ulgi, rozluźnienie mięśni i lekki uśmieszek na twarzy Wieśka. Napięcie ostatnich dni w połączeniu z uczuciem spokoju zaskutkowało ziewnięciem. Jednym

po drugim. Nie nadążył przeproszać.

Pościeliła kanapę. Bez sprzeciwu rozebrał się, umył i położył. Po minucie spał.

Siedziała przy nim do wczesnych godzin rannych. Obiecała sobie, że od teraz wymazane z pamięci nazwisko Jacka będzie symbolem odpowiedzialności, rodzinnej miłości i szansą na przyszłość juniora. Małego Kowalskiego.

CZEŚĆ DRUGA

Oddział ortopedyczny

Któregoś dnia, któregoś roku, w jednej z wielu sal oddziału ortopedycznego leżały cztery pacjentki po wypadku samochodowym.

Kiedy? Gdzie? Nie miało to najmniejszego znaczenia dla czterech zaprzyjaźnionych dziewcząt.

Dla trzech liczył się tylko fakt, że za chwilę otworzą się drzwi do sali i wejdzie...

Tylko jedna z poszkodowanych w wypadku samochodowym pacjentek, Krystyna, wpatrywała się w zdjęcie męża w telefonie komórkowym, wiedząc, że to ona po wyjściu ze szpitala odwiedzi męża. Romek od kilku tygodni leżał w innym szpitalu. Poza tym nie powiadomiła nikogo z rodziny, więc nie patrzyła na drzwi.

Irena, Ula i Zosia czekały na swoich bliskich wsłuchane w kroki i odgłosy dochodzące z korytarza. Były spokojne. Znały odpowiedzi na większość pytań. Wykrzykniki za nimi. Kropki lada dzień.

Za to ich bliscy nie byli pewni niczego. Zdenerwowani zadawali pytania, nie wiedząc, jaka jest prawda. „Czy bardzo boli?“, „Jakie będą skutki?“. Prawdę muszą zobaczyć, dotknąć, usłyszeć. Nie przez telefon, nie w ememesie, nie w uspokajających głosach powiadamiających ich o wypadku.

Patrząc w oczy, muszą odczytać odpowiedzi na wszystkie pytania i wykrzykniki. Kropkę postawią sami.

Świadomie z tej miłości zrezygnowała...

- Mamuś. Co tak późno? Miałas być już dwie godziny temu.
- Irena, próbując się podnieść, zareagowała pretensją.

- Córciu, leż spokojnie. Nie mogłam. - Mama już podchodziła do łóżka, na którym leżała jej pokiereszowana córka. Nachyliła się, pocałowała, usiadła i tłumaczyła swoje opóźnienie. - A potem jeszcze czekałam na lekarza. Powiedział, że to tylko lekkie wstrząśnienie. Niegroźne. Musisz leżeć i niczym się nie martwić.
- Wstała. - Przepraszam. Z zaaferowania nie przywitałam się z pozostałymi. Dzień dobry wszystkim. Dziewczyny, tak się cieszę, że wszystkie wyszłyście z tego cało. - Wycalowała każdą, podchodząc kolejno do łóżek. - Dobrze, że jesteście w jednej sali, możecie się wspierać.

- To zasługa pani córki. Lekarz dyżurny trafiony zatopiony. - Zosia bardzo poważnym tonem, ale ze śmiejącymi się oczami, informowała matkę przyjaciółki.

- Nie wygłupiaj się - oburzyła się Irena. - Mamo, wcale jej nie wierz. Jest jeszcze w szoku. Nie wie, co mówi.

- Córeńko, powiedz, czego ci trzeba? Na co masz ochotę? - z troską dopytywała mama, wyjmując soki, owoce i ciasto. - Tu na dole jest bufet. Zejdę i kupię.

- Dzięki. Siadaj i porozmawiajmy. - Irena obróciła się w stronę mamy.

Po piętnastu minutach do sali weszła pielęgniarka, podeszła do Zosi.

- Czekaj już pani synek z tatą. Zdejmę ten kołnierz, tylko proszę obiecać, że będzie pani leżała, nie ruszając głową.

Podawała lusterko i grzebień. Po chwili puder i szminkę od Krystyny.

Irena przymknęła oczy, żeby pomyśleć. Poczwała przyptyw zdenerwowania. Specjalnie prosiła mamę o wcześniejsze przyjście, wiedząc, że Wiesiek z Grzesiem będą później. Bała się reakcji mamy na widok jej dawnego przyjaciela. Wiedziała, że mama spotykała się z nim parę lat, kochała go i świadomie z tej miłości zrezygnowała.

Kiedy pierwszy raz się pojawił, Irena miała około dwunastu lat. Dla niej był starszym panem. Jak wszyscy od dwudziestu pięciu lat w górę. Był znajomym, z którym mama wychodziła do kina, teatru czy na koncerty. Dwa razy w miesiącu, w weekend, Irenę zabierała do siebie babcia. Mówiła, że mama ma córkę stale dla siebie. Babci dwa razy należy się wnuczka na wyłączność. „Wnusi, my nacieszymy się sobą. Mama ponudzi się. Dobrze jej to robi” - powtarzała za każdym razem, przyjeżdżając po nią. Irena, gdy już była starsza, zorientowała się, że babcia cieszy się podwójnie. Obecnością wnuczki i swobodą córki.

Któregoś dnia przyjaciel zjawił się u nich niespodziewanie w zwykły dzień. Mama leżała chora. Irena podsłuchiwała pod drzwiami, że miała pretensję i burczała na niego: „Wiesław, po co przyszedłeś? Tak prosiłam”. On tłumaczył się: „Załatwiłem lekarza. Zaraz przyjdzie. Nie mogłem czekać beczynn timer, widząc, że lekceważysz swoje zdrowie”.

Irena do dziś pamięta swoje przerażenie. Ten obcy pan wiedział coś o chorobie mamy. Może jest bardzo chora i tak jak tata umrze? Tylko że tata nie był ważny, bo jej nie chciał! Nie kochał! Mama ją chciała. I kocha.

- Nie możesz umrzeć! - krzyżąc, wbiegła do pokoju. - Kochasz mnie, nie możesz! - Przytuliła się do mamy i płacząc, dalek krzyżać: - Nie możesz! Nie możesz!

- Uspokój się - spokojnie powiedział pan Wiesław. - Mama na pewno nie umrze. Zaraz przyjdzie doktor. Przepisze lekarstwa.

Ja je wykupię. Razem przypilnujemy, żeby je brała. Za parę dni będzie zdrowa. Obiecuję. Ja zawsze dotrzymuję obietnicy- zapewniał, głaszcząc ją po głowie. - Razem tego dopilnujemy, zgoda? - spytał i wyciągnął do niej rękę.

- Zgoda - uspokoiła się Irena. Usiadła na krześle. - Wierzę panu. Pan na pewno dotrzyma obietnicy. - Mówiąc, spojrzała na uśmiechniętą mamę, która potakiwała głową.

Lekarz stwierdził zapalenie płuc. Kazał dużo pić, odpoczywać i brać antybiotyk. Gdyby w ciągu trzech dni gorączka nie spadła, mieli zadzwonić, wtedy przyjdzie jeszcze raz. Po dwóch tygodniach kontrola.

Pan Wiesław poprosił Irenę, żeby posiedziała przy mamie. Sam poszedł do apteki. Potem mama zażyła lekarstwa i zasnęła.

- Pozwolisz, żebym został i opiekował się mamą w nocy? - spytał poważnie. - Podał o wyznaczonej godzinie lekarstwo?... Zaopiekuję się nią.

- Nie zaśnie pan?

- Nie. Będę czuwał i sprawdzał temperaturę.

- Może zadzwonić do babci? - zaproponowała, spoglądając na zegar. - Pewnie śpi, ale nie będzie zła, jak ją obudzę.

- A może lepiej nie denerwować babci? Jak myślisz? - dopytał, patrząc na nią i czekając na jej decyzję.

- Ma pan rację - przyznała i poczuła się bardzo dorośle. - A ja mam iść spać? - upewniała się, ziewając.

- Jak chcesz - zostawił jej decyzję. Widząc, że jest bardzo zmęczona, tylko nie chce się przyznać, zaproponował:

- Zróbmy tak. Teraz się połóż. Gdy będę potrzebował pomocy, to cię obudzę.

Pan Wiesław włączył elektryczny czajnik. Otworzył szafkę i wyjął słoik z kawą. Z drugiej szklankę.

- Napiję się kawy, żeby nie zasnąć - tłumaczył.

- To ja już się położę - zgodziła się i poszła do swojego pokoju.

Nie zdziwiło jej, skąd, będąc pierwszy raz w ich kuchni, wiedział, gdzie są szklanki i kawa. Starzy ludzie widocznie wiedzą takie rzeczy.

Na drugi dzień przyjechała babcia i została u nich.

Wiesław nie nocował więcej u nich, ale od czasu do czasu przychodził. Kilka razy pojechali we trójkę na wycieczkę, chodzili na spacer, do kina. Raz nawet byli dwa tygodnie nad morzem. Później Irena wołała już wyjazdy z koleżankami. Babcia go lubiła. Ona też. Myślały, że wezmą ślub. Mama zwracała się do niego: „kochanie”. Była bardzo wesoła w jego towarzystwie. Potem często zamyślona. Później przestał przychodzić, a mama wychodzić. Irena już parę swoich miłości przeżyła. Jedną bardzo poważną, kochała się w chłopaku przez całe trzy miesiące. Domyśliła się, że mama też kocha wujka. Spytała, dlaczego się rozstali.

- Córeńko, wujek to bardzo dobry i uczciwy człowiek. Przyjaźnimy się nadal. Musieliśmy się rozstać. Wujkowi umarła żona, którą bardzo kochał. Obiecał sobie, że drugi raz się nie ożeni. Nie potrafi pokochać drugiej kobiety tak mocno, żeby znowu myśleć: „my”. Nie chcę związku, w którym mężczyzna myśli: „ja”. Na stałe mogę być tylko z człowiekiem, który „ja” zamieni na „my” - powiedziała spokojnie i zapytała: - Rozumiesz?

- Mamo, a skąd będziesz wiedziała, że tak będzie myślał? - dopytywała Irena bardzo zainteresowana tematem.

- Córeńko. Różne są tak zwane dowody miłości. Dla mnie miłość polega na tym, że możesz się wspólnie cieszyć i razem martwić. W momencie szczęścia lub zagrożenia myślisz najpierw o tej drugiej osobie.

- Jak ty o mnie? - przerwała Irena. - Wtedy na wakacjach, kiedy się paliło?

Ten koszmar śnił się jej po dziś dzień. W nocy obudził ich krzyk: „Pali się!”. Mama otworzyła drzwi i szybko zamknęła. W korytarzu szalał ogień. Wyciągnęła córkę z łóżka. Wyrzuciła przez okno dywaniki i swoją kołdrę, krzycząc, żeby podawała poduszki, jaśki, oparcia z foteli. W pokoju było już pełno dymu. Położyła drugą kołdrę na podłogę i kazała się jej położyć. Owinęła ją razem z głową i przewiązała w dwóch miejscach paskami od szlafroków. Wzięła na ręce i wyrzuciła przez okno. Sama skoczyła w chwili, gdy w pokoju był już ogień. Nie było wysoko. Pierwsze piętro i trawnik. Irenie nic się nie stało. Mama miała złamaną rękę, nogę i była poobijana.

- Tak, córciu! - Śmiała się mama. - Pamiętasz, co powiedziałaś, dzwoniąc do mnie zaraz po egzaminie do szkoły?

- Pamiętam. - Irena nie rozumiała, dlaczego mama teraz o to pyta. - Powiedziałam: „Zdałam. Już jadę do ciebie”.

- No właśnie. Nie zostałeś z koleżankami. Przyjechałaś, żebyśmy razem cieszyły się z twojego sukcesu. To właśnie jest miłość.

- Ta miłość nie przeszkadza ci zabraniać, zakazywać, złościć się i czeptać o wszystko - skomentowała Irena, patrząc na mamę z widocznym oburzeniem.

- To też dowody miłości, tylko ubrałam je w czapkę niewidkę, którą dostałam od swojej mamy

- Jaką niewidkę, skoro je widzę, słyszę i czuję?

- Ty ich jeszcze nie widzisz. Dorośniesz, będziesz miała dzieci, wtedy przekażę ci czapkę niewidkę. Przyda ci się.

- Mnie? Do czego?

- Nałożysz ją na twoje dowody miłości. Twoja córka będzie zła na ciebie, że nie rozumiesz, nie słyszysz, nie widzisz, a czeptasz się - zakończyła mama, patrząc z triumfującą miną na swoje nierozumiane dziecko.

Irena poczuła rękę mamy na czole i jej usta na policzku. Otworzyła oczy i zobaczyła ją nachyloną nad sobą.

- Ireczko, co ci jest? Jesteś dziwnie niespokojna. Na pewno dobrze się czujesz?

- Jestem zmęczona, Mamuś, jedź już do domu - poprosiła. - Zadzwoń wieczorem.

- Córciu. Prześpij się. Pójdę do bufetu, zjem coś, wypiję kawę i posiedzę. Puść sygnał, to wrócę.

- Nie. Będę się denerwować. Proszę, idź już - poprosiła Irena, widząc, że pielęgniarka już wyszła.

- Dobrze. Zadzwoń wieczorem - zgodziła się mama. Wstała i jeszcze raz pocałowała córkę. - Pa. Do widzenia paniom.

- Pożegnała się i ruszyła ku drzwiom, które właśnie z impetem otworzyły się i do sali wbiegł chłopiec.

Wiesiek poszedł za...

Wiesiek zaparkował samochód na płatnym parkingu przy szpitalu. Grzesio odpiął pasy. Niecierpliwił się. Pierwszy raz miał być w szpitalu. Widział na filmie, że chorzy ludzie leżą w łózkach, w pokojach, które nazywają salami. Lekarze w białych fartuchach podłączają aparaturę i obserwują różne kropki i kreski. Pielęgniarki robią kroplówki z witaminami. Wszyscy krzyczą i biegają po korytarzach.

Weszli do dużego budynku. Grześ trzymał tatę kurczowo za rękę. Zobaczył bardzo długi korytarz.

- Tato, dlaczego nie wzięliśmy rolek? - spytał i ścisnął ojca mocniej za rękę, widząc pana w pizamie, który pchał stojak z kroplówką. I drugiego, całego posiniaczonego i z obandażowaną głową. Ludzie ubrani normalnie szli w tym samym kierunku, co oni. Tata zatrzymał się i pytał, gdzie jest ortopedia. Tam leżała

mama. Grzesiek wiedział od taty, że miała wypadek. Ciocia Ula i ciocia Irena też. I jeszcze ciocia, z którą mama pracuje. Nie bał się, tata mówił, że za kilka dni mama wróci do domu. A jego tata nigdy nie kłamie.

Kolega Grzesia nie chciał mu wierzyć. Powiedział, że jest głupi, bo wszyscy kłamią. Dopiero jak mu wytłumaczył, że jego tata jest sędzią, przyznał mu rację. Powiedział, że sędziowie chcieliby kłamać, ale nie mogą. Muszą mówić prawdę.

Grzesio mocniej uchwycił rękę ojca i przysunął się bliżej. Oni są mężczyznami i czasami mają swoje ważne męskie tajemnice.

Zdarzało się, że tata zgadzał się o czymś nie powiedzieć mamie. Grzesio na pytanie mamy odpowiadał wtedy: „Tata wie. To nasza tajemnica”. Mama się śmiała i już nie pytała, tylko opatrywała po raz enty potłuczone kolano i całowała go w głowę. Mama jest kobietą, nie może pytać o męskie sprawy. Z dziadkiem też miał tajemnice przed babcią. A tata jest ważniejszy niż dziadek. Wszyscy na podwórku tak mówią.

Pojechali windą na czwarte piętro. Grzesio z ojcem znów szli korytarzem, ale już normalnym. Zatrzymali się. Tata kazał mu usiąść obok na krześle i poczekać. Sam podszedł do lady, za którą stała pani pielęgniarka. Grzesio siedział grzecznie i czekał na tatę.

- Siostró. Mam prośbę. Jestem z synem. Mogłaby pani uprzedzić matkę, panią Zofię Zielińską? Chce przygotować się troszkę na wejście syna - powiedział Wiesiek, patrząc porozumiewawczo na młodziutką pielęgniarkę.

- Oczywiście. Proszę się nie niepokoić. Żona jest tylko kołnierzu. Na parę minut może go zdjąć - poinformowała go, wyszła zza kontuaru i stanęła obok. Spojrzała na siedzącego chłopca. - Jaki on podobny do pana. Nie mógłby się pan wyprzeć syna. Śliczny dzieciak! - Roześmiała się, kokieterystycznie patrząc na przystojnego, starszego faceta. - Jedna z pań ma obandażowaną

głowę, druga opatrunek na policzku, proszę uprzedzić syna. - Mówiąc, zbliżyła się i mimochodem otarła biustem o jego ramię.

- Dziękuję. Zaraz powiem. Poczekamy tu na panią. - Wiesiek podarował kobiecie zachwycone spojrzenie i uśmiechając się do siebie, usiadł obok syna.

Korytarzem szybkim krokiem szedł mężczyzna, który wydał się Wieškowi znajomy. Minął salę, w której leżały dziewczyny, i poszedł dalej. Wiesiek odprowadził go wzrokiem, nie mogąc skojarzyć, skąd zna tę twarz.

Rodziców Zosi i Uli powiadomił, tak jak prosiły, dopiero wczoraj wieczorem. Dwie córki naraz w szpitalu po wypadku to był dla nich szok. Długo musiał zapewniać, gwarantować, wreszcie przysięgać, że nic im nie zagraża. Obrażenia nie są groźne.

Mają przyjechać dziś. Ula zawiadomiła męża od razu. Będzie pojutrze i zamierza zabrać żonę do Niemiec.

Dla dyżurnego lekarza nie było rzeczy niemożliwych

Wiesiek, czekając na pielęgniarkę, myślał o dziewczynach. Wszystkie cieszyły się z przyjazdu Uli i planowały osobne i wspólne pogaduszki, o czym codziennie przypominała mu Zosia, dodając: „Dla ciebie macocha nie będzie miała czasu. Nawet nie próbuj uszczknąć godziny. Wszystko zaplanowałyśmy”.

Ulka, chcąc zrobić frajdę siostrze i jej przyjaciółkom, zaprosiła wszystkie na kolację do modnej restauracji za miastem. Pojechały we czwórkę samochodem. Babski wieczór. Była fundatorką i kierowcą. One miały jeść, pić i bawić się. W rewanżu każda obiecała zaprosić Ulę do siebie na „domowe pysznościowe jedzonko”.

U Zosi: pyzy. U Ireny: placki ziemniaczane. Krysia planowała podać kapustę faszerowaną. Bigos i zacierki na mleku najlepsze robi mama. U rodziców Ula chciała spędzić dwa dni. Mama bigos przygrzewała codziennie już od tygodnia. Nadmiar zawekowała. Córka zabierze ze sobą.

Wracały późną nocą. Niespodziewanie samochód z naprzeciwka zaczął wyprzedzać jadącą przed nim ciężarówkę. Chcąc uniknąć czołowego zderzenia, zahamowała, skręcając kierownicę. Uderzenie w lewy bok skończyło się wpadnięciem samochodu do rowu. Na szczęście auto się nie przewróciło. Pogotowie i policję wezwała Ula. W szoku nie czuła bólu. Potem okazało się, że ma złamane żebra od poduszki powietrznej, rozbite czoło i przeciętą brew, którą uderzyła w lusterko.

Zosia siedziała obok niej. Pasy ją przytrzymały, ale głowa i tak ucierpiała. Ma kłopoty z kręgosłupem szyjnym i ból w klatce piersiowej od mocno zaciśniętego pasa, i złamane żebra.

Irena drzemała, siedząc z nogą podkuloną na siedzeniu. Uderzyła głową o zagłówek. Ma silnie zbite lewe kolano i skręconą kostkę.

Krystyna - poranioną skórę policzka, siniak na czole i mocno zbitą rękę od wgniecionych drzwi. Wszystkie - silny ból głowy, nudności, a po przywiezieniu do szpitala wymioty. U każdej lekarze podejrzewają wstrząśnienie mózgu.

Dziewczyny prosiły, żeby położyć je w jednej sali. Podziały argumenty Ireny. Obolała, przerażona, patrzyła wprost w oczy nachylonego nad nią lekarza dyżurnego. Jej wzrok zachwyconego dziecka sprawiał, że mężczyźni stawali się wyżsi, przystojniejsi i ważniejsi. Każdy czuł się tym jedynym, którego podziwiał i bezgranicznie mu ufa. W jednej chwili jej spojrzenie stawało się pełne lęku bezradnej dziewczynki patrzącej z całkowitym zaufaniem na swojego wybawcę. Jej drżący głos: „Panie doktorze, pan na

pewno wszystko może, czuję to” i przebłysk przyszłej wdzięczności, który działał na większość płci męskiej, postawiły lekarza w sytuacji bez wyjścia - musiał móc.

Dziewczyna nie myliła się. Dla dyżurnego lekarza nie było rzeczy niemożliwych. Polecił siostram przewieźć pacjentki do jednej z sal, wcześniej dwie inne przewożąc gdzieś dalej. Teraz jego podopieczne mogły się wzajemnie wspierać. Komfort psychiczny pacjenta to podstawa sukcesu lekarza. Sukcesu nie tylko medycznego.

Tą jedną pacjentką zajął się osobiście. „Oryginalny, bardzo interesujący przypadek” - zdiagnozował po szczegółowym badaniu.

Zosia, opowiadając Wieškowi z detalami historię ich przyjęcia w szpitalu, żartowała, że ten facet w białym kitlu zaopiekuje się przyjaciółką na dłużej, a Irena chętnie na to pozwoli. Znała ją i wiedziała, kiedy spojrzenie jest udawane.

- Jak masz na imię? - Pielęgniarka wróciła i pytając chłopca, patrzyła figlarnie na ojca.

- Grześ. - Wstał. - Grzegorz - poprawił się. - Jestem już duży, idę do szkoły.

- Duży i śliczny. Jak tatuś - oceniła, uśmiechając się zalotnie.
- Mama czeka na ciebie - powiedziała do chłopca i roześmiała się zapraszającym uśmiechem do Wieška. Widząc, że zrozumiał, upewniła go, mówiąc: - Żona na pana też. Zazdroszczę jej. Też bym poczekała.

- Pozory mylą... - On też się roześmiał podłechtany wyraźną propozycją. - Proszę nie czekać. Piękne dziewczyny same wybierają - poradził żartobliwie i szybkim krokiem poszedł za bieżącym synem. Nie zdążył. Syn z impetem otworzył drzwi i wbiegł. Wiesław stanął w otwartych drzwiach sali.

Wbiegł, wybiegła, wyszedł

- Grzesiu! Kochanie - krzyknęła Zosia.
- Wiesław? Kochanie! - krzyknęła mama Ireny. - Ty tu? - podeszła i pocałowała stojącego w drzwiach osłupiałego mężczyznę.
- Mamo, dlaczego ta pani całuje tatę? - spytał Grzesiek z wielkim oburzeniem.

W sali zrobiło się nagle duszno. Brakowało powietrza. Cisza ogłuszała.

- Przepraszam - wydukała mama i spojrzała na córkę.
- Zbladła, by po chwili spurpurowieć. - Bardzo przepraszam - powtórzyła już głośniej i wybiegła z sali.
- Grzesiek. Pokaż mamie rysunki! - Wiesiek wyjął z neseseru blok i podał synowi. - Zosiu, za parę minut przyjdę - powiedział i z dziwacznym, niby przepraszającym uśmiechem szybko wyszedł z sali.

Zosia tłumaczyła synkowi, że tata spotkał znajomą, i poprosiła o pokazanie rysunków. Dziewczyny milczały. Słyszały, jak Wiesiek krzyknął.

- Kasiu! Zaczekaj!
- Dogonił ją. Przytrzymał. Przytulił.
- Nic się nie stało. Widocznie los tak chciał - uspokajał szczerze ucieszony. - Nic się nie zmieniałaś.
- Los? Zrobiłam z siebie idiotkę - stwierdziła, nie próbując wyzwolić się z jego uścisku.
- Pamiętasz, co zawsze mówiłaś? - cicho spytał i poprowadził ją do windy.
- Za dużo pamiętam. O wiele za dużo - wyznała i odsunęła się. - Wracaj do żony i dziecka.
- Nie. Idź do bufetu. Zaraz do ciebie przyjdę. Musimy porozmawiać - powiedział i nie czekając na odpowiedź, szybkim krokiem odszedł do sali chorych.

Zjeżdżając na parter, Katarzyna w myślach dyskutowała sama ze sobą, co ma zrobić. Wyjść ze szpitala? - pytała i natychmiast odpowiadała: Nie, to dziecinada. Szczególnie po tym, jak się zachowałam.

- Boże! - powiedziała na głos.

Dotarło do niej: jego żona to Zosia, przyjaciółka Ireny. Przeżyła dziewczyna. Niewiele starsza od mojej córki. No tak - pomyślała ze złością. - Ja byłam po prostu za stara, żeby mógł zapomnieć o danej sobie obietnicy. Ożenił się. Ma syna. Chłopczyk ma najwyżej sześć, siedem lat. Czyli stało się to niezbyt długo po naszym rozstaniu.

Wysiadła z windy i poszła do bufetu. Poprosiła o kawę. Zapłaciła i usiadła przy stoliku, dalej słysząc i w głowie, i w sercu nieme pytania. Dlaczego tak bardzo zabolalo? Dlaczego poczuła się zdradzona? Ale przede wszystkim: dlaczego tak bardzo ucieszyła się na jego widok? Skąd jej przyszło do głowy, że przyszedł do niej? Idiotka, kompletna idiotka - oceniła swoje zachowanie. - Co o tym pomyśli Irena? A jej przyjaciółki? - pytała i w myślach krzyczała: Dlaczego czuję ból? Rozczarowanie! Zawód!

Czekała, mieszając łyżeczką kawę, której nigdy nie słodziła.

- Jestem. Uspokoilem Zosię. Założyła kołnierz. Pielęgniarka zgodziła się, żeby Grzesiek posiedział dłużej przy matce. Tym bardziej że obok leży jego ciocia - pośpiesznie wyjaśniał Wiesiek, ledwo łapiąc oddech.

- Ciocia?

- Tak. Ula jest rodzoną siostrą Zosi, a przy tym żoną mojego ojca.

- Ta, która prowadziła?

- Tak. Kasiu, ty się nic nie zmieniłaś. Za to twojej córki nie poznałem. Pamiętałem dziewczynkę. Dorosłą widziałem ją chyba tylko raz, w przelocie. Dopiero dziś dostrzegłem w niej to samo spojrzenie. Ufne i proszące.

- Mówiła coś?
- Kto? Irena? - Zobaczył, że Katarzyna zaprzecza, kręcąc głową. - Rozumiem, chodzi ci o Zosię? Powiedziałem, że przyjaźnimy się. Dawno się nie widzieliśmy. Muszę z tobą porozmawiać.
- Ciągłe mówisz „Zosia” - oburzyła się i od razu w myślach zgaśniła samą siebie: Reagujesz zbyt nerwowo.
- A jak mam mówić? - Wiesiek był szczerze zdziwiony, ale słuchał niezbyt uważnie, wciąż patrząc na nią z niedowierzaniem, że jest przy nim.
- Wprost. Żona - wypowiadając słowo „żona”, spuściła wzrok na szklankę z kawą.
- Ona nie jest moją żoną. Spójrz na mnie. - Ręką sięgnął do jej podbródka i uniół jej twarz. - Katarzyno. Nie oszukałem cię. Mojej żony też nie. Dotrzymałem obietnicy. Nie ożeniłem się.
- Masz z nią syna i nie ożenisz się? To podłe - oceniła i odsunęła jego rękę. Patrzyła jakby to nie był on. - Jak możesz?
- To nie tak. Nie oskarżaj, wiedząc tak niewiele. - Wypił trochę kawy. - Zaskoczony jestem dyskrecją twojej córki. Przyjaźnią się z Zosią. Wiem, że Irena zna wszystkie szczegóły. Doceniam fakt, że ci nie powtórzyła. Ale ja powiem ci całą prawdę.
- Moja córka jest trochę podobna do ciebie. Jeśli obieca, dotrzyma. Może Zosia prosiła ją o dyskrecję. Irenka opowiada mi o swoich przyjaciółkach, ale bez szczegółów z ich prywatnego życia.
- W takim razie posłuchaj, opowiem najkrócej, jak się da. Zosia zaszła w ciążę z moim przyrodnim bratem. Dla niego to był podryw. Pożegnanie stanu kawalerskiego. Nigdy od Zosi nie dowiedział się, że ma syna. Ja poznałem ją całkiem przypadkowo. W niedługim czasie okazało się, że jest siostrą żony mojego ojca. Grzesiek jest bardzo podobny do Jacka, do mnie, a najbardziej do dziadka. Domyśliłem się wszystkiego. Ula i mój ojciec też.

Rozmawiałem o tym z bratem przed śmiercią. Pamiętał przygodę z tą dziewczyną. Wątpił, żeby to był jego syn. Był szczęśliwym mężem, kochającym żonę. Pokazałem mu zdjęcia Grześka. Już nie miał wątpliwości. Wiedział, że umiera. Ustaliliśmy, że ja usynowię małego. Grzesiek będzie miał ojca, nazwisko, rodzinę i prawo do dziedziczenia. Jacek swój majątek zapisał mnie. Ja, notarialnie, wszystko Grześkowi - relacjonował beznamiętnie, błędząc myślami gdzieś daleko. - Kasiu, pytałem cię, czy pamiętasz, co zawsze powtarzałaś w naszych rozmowach o życiu?

- Wiem, o co ci chodzi. Mówiłam, że wszystko w życiu przytrafia się nam po coś - przytaknęła. - Myślisz, że ta historia to potwierdza?

- Nie tylko ta. A nasze dzisiejsze spotkanie? Nie chciałaś, żebyśmy się widywali. Zgodziłaś się tylko na telefoniczny kontakt, i to okazjonalny. Zerwałaś go bez słowa wyjaśnienia - z goryczą mówił Wiesiek. - Dlaczego?

- Pamiętasz, ale tylko część, bo ja jeszcze dodawałam: „Tylko że często nie wiadomo po co?”. - Widząc jego spojrzenie, zdrzała. - Wysłałam za męża. Kocham męża. Jesteśmy szczęśliwi - szybko wyjaśniła.

- Dopóki żyjemy, jest czas na odpowiedź - dokończył za nią jej dawnymi słowami, jakby nie dosłyszał wszystkiego, co powiedziała. - Masz moją wizytówkę z aktualnymi numerami. Dzwon, jak tylko będziesz miała ochotę. - Podniósł się i dodał: - Porozmawiać, oczywiście. - Ale jego spojrzenie mówiło dużo więcej. - Muszę wrócić do syna. Jest zaniepokojony. To mądry dzieciak. Ma wyostrozony wzrok i słuch - pochwalił dziecko. Nachylił się i pocałował ją w usta. Odszedł, nie odwracając się.

Katarzyna patrzyła na jego sylwetkę, aż zniknął z zasięgu wzroku. Znała go dobrze. Odszedł zadowolony, wiedząc, że dzięki przyjaźni jej córki z Zosią nie straci z nią kontaktu.

Wiesiek był drugim mężczyzną w jej życiu, którego pokochała. Pierwszym był ojciec Ireny, który odszedł praktycznie bez wyjaśnienia. Jedyne, co usłyszała, to: „Pomyliłem się. Niepotrzebnie się ożeniłem i za wcześnie zostałem ojcem”. Ona tę jego pomyłkę przepłakała, przekrzyzczała i z trudem podarła na najdrobniejsze strzępki wraz ze swoją miłością i wiarą w uczucia mężczyzn.

Po wielu latach spotkała Wieśka. Ze zdumieniem odkryła na nowo zapachy, barwy, smaki, uczucia, które pomnożone przez dwa uskrzydłają. Dla niej najważniejszy był powrót akceptacji siebie jako kobiety.

Od początku stawiał sprawy uczciwie. Nie ukrywał, że nie otrząsnął się po śmierci żony. Rozumiała to, ale jednocześnie już wiedziała, że nie tylko czas jest potrzebny, żeby dojść do siebie po stracie kogoś bliskiego. Sam czas usypia ból, ale też pozwala mu, w najmniej oczekiwanych momentach, przebudzić się i wbić drzazgę po drzazdze.

Oprócz czasu potrzebny jest drugi człowiek, który budzącemu się bólowi zaśpiewa kołysankę, by ten nadal spał głębokim snem.

Wiesiek śpiewał melodyjnie, jednocześnie kołysząc i tuląc ją. Ona wierzyła, że z czasem usłyszy jej śpiew i przekona się, że przy niej uśpi swój ból. To samo ich śmieszyło, rozczulało, cieszyło czy denerwowało. Rozumieli się, milcząc, spojrzeniem, gestem, mimiką twarzy. W łóżku wznosili się ku niebu i spadali w czeluść zawsze tylko we dwoje, uwolnieni od wspomnień.

Ona chciała (nie tylko ze względu na córkę i swoją matkę) mieć męża. On nie chciał drugi raz się żenić. Jedyne wytłumaczenie, jakie słyszała, było dla niej nie do przyjęcia: „Kocham cię tak bardzo, że nie mogę cię skrzywdzić. Dwie kobiety, które kochałem, matka i żona, odeszły na zawsze. Odebrałem im szansę na życie. Tobie nie odbiorę. Rozumiesz?”. Nie rozumiała!

Odeszła, wiedząc, że ani przy nim, ani bez niego nie będzie szczęśliwa.

Po paru latach spotkała trzeciego mężczyznę, który ją zainteresował. Co innego ich śmieszyło, wzruszało, bawiło. Mieli różne zainteresowania i swoich znajomych. Do zrozumienia się potrzebowali słów. On chciał, żeby została jego żoną. Ona była pewna, że chce, żeby on był jej mężem. Miał jedną, jedyną zaletę. Najważniejszą.

Od początku prosił: „Kasiu, mówmy wszystko. Nawet głupstwa. Nie może być między nami niedomowień, domysłów, zgadywania. Tylko wtedy będę mógł zrozumieć ciebie, a ty mnie. Wyjdziemy sobie naprzeciw i spotkamy się w połowie drogi. To najprostszy sposób na stworzenie czegoś trwałego: «my». Rozumiesz?”

Tłumaczył: „Płaczesz, ja podejrzewam, że przeze mnie. Śmiejesz się, nie jestem pewny, czy nie ze mnie. Przychodzę wściekły, ty myślisz, że na ciebie. Odwracam się na drugi bok, ty czujesz się odrzucona. To przyczyna narastającego konfliktu. Wzajemne niezrozumienie i własna interpretacja. Rozumiesz?!”

W niedługim czasie rozumiała, że on chce, by w ich związku szczęśliwi byli obydwój. Oświadczył się słowami: „Jest pewne, że nie zawsze będę potrafił widzieć świat twoimi oczami, ty nie zawsze zgodzisz się z moim punktem widzenia - ale chciałbym, byśmy ucząc się patrzeć, zobaczyli wspólnie nasz mały świat i jako «my» szli razem dotąd, aż los powie jednemu z nas «stop»..”

Spojrzała na niego, podeszła i bez słowa wtuliła się w jego ramiona.

„Rozumiesz - powiedział i przytulając ją silnie do siebie, roześmiał się głośno i krzyknął zadowolony z siebie: - I ja zrozumiałem cię bez słów!”

Była kochana i kochała. Nie fruwała, nie pływała na obłoku, nie zapadała się w niebyt. Nie odwiedziła raj. Była najzwyczajniej - ziemsko szczęśliwa.

Katarzyna dopiła zimną kawę i zadzwoniła do męża.

Skąd się dowiedziałeś?...

Wiesiek, wracając do sali po rozmowie z Kasią, z daleka już zobaczył rodziców Zosi i Uli stojących pod drzwiami z żywo gestykulującym mężczyzną. Podchodząc, usłyszał podniesiony głos:

- Co za bałagan. Odsyłali mnie z oddziału na oddział. Psychologia i lekceważenie. Państwowa służba zdrowia to koszmar. - Mężczyzna był bardzo podekscytowany i czerwony na twarzy z oburzenia.

- Dlaczego nie wchodzicie? - spytał i przywitał się, zerkając na obcego. To był ten sam gość, który mijali ich z Grzesiem, gdy czekali na pielęgniarkę.

- Wyszliśmy. Jest obchód - wyjaśniła mama Zosi, serdecznie witając się z Wieśkiem. - Uspokoiliam się. Dobrze wyglądają. Mają humor. Zarzekają się, że żadnej z nich nic nie boli, ale ja widzę, że jest inaczej. - Pocałowała go w policzek. - Rozmawiałam z lekarzem. Jest dobrze. - Rozplakała się.

- Matka, uspokój się. - Mąż niezbyt miłym głosem zwrócił się do żony. - Słyszałaś sama. Lekarz powiedział, że będzie dobrze.

Przywitał się chłodno z Wieśkiem.

Nadal nie był przekonany, czy córka dobrze zrobiła, pozwalając Kowalskiemu usynowić syna. Ojciec dziecka, który nie jest mężem matki! To głupota! Dla nazwiska? A Zieliński jest gorsze? Może biedne, ale uczciwe i moralne. Nie to, co ci Kowalscy. Jeden zhańbił mu Zosię. Drugi zrobił z Uli żonę, żeby na starość mieć opiekunkę. Trzeci odebrał mu wnuka i nie chce uszanować jego matki. Tłumaczył córce: „Zosiu, ten Wiesiek jest tak stary jak ja. Dziadkiem powinien być, nie ojcem. W dodatku papierowym”.

Wiedział, że jest na przegranej pozycji. Miał trzy baby przeciwko sobie. Nie potrafił pozbyć się uczucia żalu. Nie do córki,

ale do Kowalskich. Stary, mąż Uli, był wierzący. Syn chrzczony i był u komunii. Tamten nie chce ślubu kościelnego, ten żadnego. Zobaczyli, że chłopak podobny. Mało to ludzi podobnych? Sobowtórów? On wiedział, że Kowalscy czym innym się kierują. Egoiści. Nie mają szans na dzieciaka, to chcą, żeby ród nie wyginął. Chłopak zdolny, ma talent i trochę urody z nich. Najgorsi to ci wykształceni bogacze. Tak zakręcą ludźmi, że wychodzi na ich. Jeszcze oczekują wdzięczności. Niedoczekanie. Baby dały się omotać, on nie.

- Czemu przyjechaliście tak późno? - spytał Wiesiek. Umaił się, że będą dużo wcześniej.

- Widocznie nie mogliśmy - burknął ojciec Zosi. Widząc karzące spojrzenie żony, wyjaśnił: - Auto nawaliło. Stare to ma prawo.

- Wiesiu, nie zwracaj na niego uwagi. Zły to ma humory - prosiła, rzucając mężowi ostrzegawcze spojrzenie. - Lekarz powiedział, że za parę dni wyjdą. To nic wielkiego, nic im nie grozi. Posiedzimy jeszcze chwilę, ale niedługo pójdziemy. Dziewczyny są zmęczone.

Otworzyły się drzwi i wyszedł lekarz z pielęgniarką. Uprzedził, żeby długo nie męczyć chorych. Czekaający mężczyzna wszedł pierwszy do sali.

- Krzysztof!? Skąd się dowiedziałeś? - rozległ się zaskoczony i przerażony głos Krystyny, któremu towarzyszył jeszcze głośniejszy Ireny.

- Krzysztof! - To był krzyk wściekłości, który jednocześnie spowodował napłygnięcie krwi do policzków Ireny. - Krzysztof? - powtórzyła. W pytaniu było zawarte zdziwienie połączone z nienawiścią. - Krzysztof... - dodała już ciszej, prawie szeptem i z błyskiem zrozumienia w spojrzeniu rzuconym na Krysię.

Wiesiek skojarzył mężczyznę. Spotkał go raz w towarzystwie Ireny. Zosia zaprosiła przyjaciółkę z partnerem i Krystynę z mężem. Miał ich poznać. Niestety samolot miał duże opóźnienie. Krystyna nawaliła. On przyszedł, gdy tamci już wychodzili. Widział ich w przelocie. Przywitali się i pożegnali. Zadufany w sobie dupek. Kierowca i alfons jednocześnie, tyle wiedział od Zosi. Zaskoczony był, gdy w niedługim czasie usłyszał, że Zosia musi poszukać mieszkania.

- Jak to, twoja przyjaciółka, a stawia cię pod ścianą? - zdziwił się. - Musisz się wyprowadzić tak z dnia na dzień?

- Nie „musisz” i nie „wyprowadzić”. Zgodzić się, żebyśmy razem zamieszkały. A to przecież jej mieszkanie! - oburzyła się, że ma coś za złe Irenie. - To ona stoi pod murem. Musi szybko odejść, inaczej on ją wyrzuci.

W paru zdaniach nakreśliła sytuację przyjaciółki. Opowiedziała o jej próbach ratowania związku. Oskarżaniu siebie, aby wytłumaczyć jego zachowanie w stosunku do niej.

- Ale tym razem przebrała się miara. Pojutrze przyjeżdża z rzeczami. Rozumiesz? - spytała, uznając, że wszystko wyjaśniła.

- Co się takiego stało, że teraz musi? Pobił ją? - dopytywał, żeby zrozumieć.

- No dobrze, powiem ci, może coś doradzisz. Krzysiek wrócił podpity. Wściekły. W domu pił dalej. Chcąc go uspokoić, usiadła przy nim i też piła, podpytując, co się stało. Powiedział, że wracał do ambasady. Było ciemno, nie paliły się latarnie. Na poboczu stał tir. Chciał go wyminąć. Żeby zdążyć przed nadjeżdżającym samochodem, zjechał tuż przed tira. Uderzył w stojącego w świetle reflektorów człowieka. W lusterku zobaczył, że tamten nie podnosi się. Nie zatrzymał się. Uciekł. Dojechał do ambasady.

Z kolegą obejrzeni samochód. Było duże wgniecenie prawego błotnika, zbity reflektor i wklęśnięcie w masce. Kolega usiadł za

kierownicę i odwiózł Krzyśka do domu. Uzgodnili, że Krzysiek nie wrócił do ambasady, tylko prosto do domu. Kolega porozumiał się z zaprzyjaźnionym facetem i odstawił auto do warsztatu. Tamten obiecał od razu wziąć się do roboty i na wczesne popołudnie samochód naprawić. Następnego dnia Irena próbowała namówić go na zgłoszenie wszystkiego policji. Udawał, że nie wie, o czym ona mówi. Krzyknęła, że mógł zabić człowieka. Pokazał jej drzwi. Spakowała się, ale powiedziała, że wyniesie się pojutrze, bo miała umówione lekcje.

Wiesiek rozumiał zdenerwowanie Ireny, ale dlaczego Krystyna była blada i przerażona? Nie za dużo emocji na jeden dzień? - pytał sam siebie, siadając obok Uli i biorąc syna na kolana. Zosia rozmawiała z rodzicami...

Krzysztof chwilę stał zdezorientowany. Nie wiedział, do której ma podejść. Podeszedł do Ireny. Usiadł i nachylił się, żeby mówić cicho.

- Rozmawiałem z twoim kolegą ze szkoły. Był zaniepokojony. Przyszedłem, żeby ci pomóc.

- Nic nie potrzebuję. Na pewno nie od ciebie. Wyjdź natychmiast - zasyczała.

Wiedziała, że kłamie. Kolega przysłał jej esemesa, że Krzysiek dzwonił i szuka jej. Ma bardzo ważną, niecierpiącą zwłoki sprawę. Kolega poinformował o wypadku (nie wiedział, że się rozstali) i w którym jest szpitalu. Myślała, że nie odważy się przyjść.

- Musimy porozmawiać - przysunął się jeszcze bliżej. Pochylił głowę tak, że ustami prawie dotykał jej policzka. - Jak najszybciej. Policja nie zaprzestała śledztwa - szeptał jej do ucha. Jedną rękę przerzucił przez nią, żeby wyglądało na czułą rozmowę. - W zeszłym tygodniu przepytywała mnie. Coś wyniuchwała. Musisz mi pomóc.

- Nic nie muszę. Idź sobie - wycedziła przez zęby i odepchnęła go.

Zosia rozmawiała z rodzicami, obserwując Wieska wpatrującego się w jej koleżanki. Grzesio, siedząc na kolanach ojca, opowiadał cioci Uli z wypiekami na twarzy o swoich nowych kolegach.

Wiesiek ukradkiem spoglądał to na Irenę, to na Krystynę. Ta druga na widok wchodzącego mężczyzny zbladła. Teraz zerkąła w stronę łóżka Ireny. Wyraźnie była bardzo zdenerwowana.

W chwili, gdy Irena odepchnęła Krzysztofa, otworzyły się drzwi do sali.

- Schodzę z dyżuru - usłyszeli głos wchodzącego lekarza. - Nic paniom nie potrzeba? - mówił do wszystkich, ale patrzył na Irenę. Zdziwiony wyrazem jej twarzy podszedł szybko do jej łóżka.

- Pani Ireno, widzę, że jest pani zmęczona. Chyba czas, żeby znajomy poszedł? - Pytał spojrzeniem, czy dobrze rozumiał.

- To eks-znajomy. - Irena dalej wzrokiem prosiła, wręcz błagała o pomoc. - Teraz ma inne koleżanki. Mógłby pan obejrzeć moje kolano? Dziwnie mnie boli.

- Oczywiście. Proszę odejść - polecił odwiedzającemu mężczyźnie.

Krzysztof wyraźnie wściekły podniósł się, piorunując spojrzeniem Irenę. Odwrócił się i ruszył w stronę Krystyny. Irena złapała lekarza za rękę i przyciągając, zmusiła, żeby się pochylił.

- Proszę mnie stąd zabrać. Natychmiast! Błagam - wyszeptwała, patrząc wzrokiem sarny w potrzasku. W jej szeroko otwartych oczach pojawiły się łzy.

- Proszę pokazać to kolano - poprosił, po czym nawet nie udając, że ją bada, dodał: - To niepokojący objaw. Musimy zrobić

prześwietlenie. Zaraz panią zabieram - powiedział uspokajająco do pacjentki.

Wyszedł i po chwili wrócił z wózkiem. Podjechał pod łóżko Ireny.

- Może pomóc? - zaproponował Wiesiek, zsadzając Grzesia z kolan.

- Dziękuję, poradzę sobie. - Lekarz podszedł do Ireny, która odrzuciła już kołdrę. Nachylił się, podniósł ją i ostrożnie posadził na wózku. Ściągnął poduszkę z łóżka i podłożył pod szyję, żeby mogła wygodnie oprzeć głowę. Ruszył do drzwi. Przejeżdżając obok Krystyny, powiedział:

- Mogę panią uspokoić. Dziecku nic nie grozi. Cięża nie jest zagrożona. Jutro w południe przygotuję wypis. Może pani wracać do domu. - Odwrócił się i szedł w stronę wózka.

- Cięża? Który miesiąc? - zaniepokojonym tonem zapytał Krzysiek.

- Nie martw się. Dopiero - zawahała się i rzuciła - czwarty tydzień.

Od razu zorientowała się, że palnęła głupstwo. Na szczęście Krzysztof przyjął jej słowa z wyraźną ulgą.

Tylko tyle i aż tyle zdążyła usłyszeć Irena.

Pielęgniarka, widząc lekarza pchającego wózek z pacjentką, podbiegła czym prędzej.

- Panie doktorze? Pan jeszcze tu? Co się stało? Może ja chorą zawiozę, tylko gdzie?

- Dziękuję. Muszę porozmawiać z pacjentką na osobności. - Pchał wózek korytarzem, czując na plecach ironicznie domyślne spojrzenie pielęgniarki.

Podjechał do windy i zjechali na parter nie zamieniwszy słowa. Prowadził wózek pustym korytarzem wzdłuż pozamykanych gabinetów, aż do drzwi z napisem: „Zastępca Dyrektora

Szpitala”. Tam zostawił ją na chwilę. Po chwili wrócił z kluczem, wjechali do środka. Włączył elektryczny czajnik, zaparzył dwie herbaty i postawił na biurku. Usiadł i zapytał:

- Kto to był? Dlaczego chciała pani uciec? - Jego spojrzenie mówiło, że rola wybawcy bardzo mu się spodobała.

- Nikt. Tylko on o tym zapomniał. - Wzruszyła ramionami. - Dziękuję doktorze. Uratował mnie pan. - Pijąc herbatę, patrzyła na niego z wdzięcznością.

Jej złość na Krzysztofa topniała wraz z myślą, że dzięki niemu ma niespodziewane tête-à-tête z tym przystojnym medykiem. Podobał się jej tak bardzo, że już miała ochotę zwolnić się z obietnicy. A przecież przyrzekła sobie, że związek z Krzyśkiem to ostatnia nauczka, żeby pochopnie nie podejmować życiowych decyzji. Nie zakochiwać się jak nastolatka od pierwszego spojrzenia. Po drugim spotkaniu nie wyobrażać sobie, jaki jest w łóżku. Po dziesiątym nie wprowadzać się do niego, ani nie szukać miejsca w swojej szafie na jego rzeczy.

Co z tego, skoro znów od pierwszego spotkania widziała i czuła, że mu się podoba tak samo, jak on jej. Od drugiego wyraźnie dawał jej do zrozumienia, że kładąc się, myśli o niej. Nie musiał sobie wyobrażać, jak ona wygląda w łóżku, w dodatku bez makiżażu. Widział to kilka razy dziennie.

- Umówi się pani ze mną? - spytał zniecierpliwiony i sięgnął po papierosa. Chyba nie był bardzo pewny siebie. - Na rehabilitację oczywiście - wyjaśnił, co ma na myśli, żeby nie było żadnych wątpliwości. Zapalił i resztę dopowiadał spojrzeniem.

- Propozycja nie do odrzucenia - oceniła opanowanym głosem. Patrząc mu prosto w oczy, spokojnie dodała: - Potrzebuję rehabilitacji w szerokim tego słowa znaczeniu. - Mówiąc, nie spuszczała z niego wzroku. - Tylko od zaangażowanego specjalisty. Fałszywi, egocentryczni sprinterzy i wyrachowani materialści nie interesują mnie.

- Zgoda. Wbrew pozorom nie lubię krótkich dystansów - zapewniał, też nie odwracając wzroku i jak najbardziej poważnym tonem. - Długotrwała rehabilitacja. Efekt końcowy zależy od pani. - I wypuszczając dym, dokończył: - Współpraca jest konieczna.

- Obiecuję, że będę sumiennie ćwiczyła. Wiem, że liczy się systematyczność i dokładność. Kiedy wyjdę do domu?

- Pojutrze.

Rozmawiali, każde mówiąc trochę o sobie. Zrobiło się późno. Wreszcie zawiózł ją do sali. Światło było zgaszone, pacjentki spały. Zapalił lampkę przy jej łóżku. Pomógł położyć się, przykrył kołdrą i nachylając się, wyszeptał:

- Spokojnych snów. Odpoczywaj.

Wyszedł. Zgasiła światło.

Irena stawia kropkę...

Irena wyczuwała, że żadna z przyjaciółek nie śpi. W stojącym powietrzu prawie słychać było, że każda rozmyśla nad tym, co się dzisiaj wydarzyło. Wiele znaków zapytania, jeszcze więcej wykrzykników. Kropki brak.

Kropki czekają na wyjaśnienia. Z Zosią i Ulą musi porozmawiać o Wieśku i o mamie. Z Krystyną o Krzysztofie. Z mamą musi porozmawiać o mamie.

Jedną odpowiedź już dostała, słysząc słowa Krystyny, kiedy ta zwracała się do Krzysztofa: „Nie martw się. Dopiero czwarty tydzień”.

Przyjaciółka skłamała. Była prawie cztery miesiące w ciąży. Za zgodą męża - nie z nim. Wbrew mężowi z facetem, którego upatrzyła sobie na dawcę nasienia. Nie chciała poddać się sztucznemu zapłodnieniu nasieniem nieznanego mężczyzny.

Krzysztof jeszcze przed ostatecznym rozstaniem z Ireną rzucał jej różne zaproszenia, niczym ochłap na stół, gestem łaskawego pana. Kilka razy skorzystała. Do czasu, gdy na którąś z premier przyszedł z osobą towarzyszącą. Była to młodziutka, wpatrzona w niego dziewczyna. Trzymała go pod rękę, przytulając się. Wsuwała swoją dłoń w jego, całym zachowaniem pokazując, że jest z nim. Nie tylko tu i teraz. Irena siedziała trzy rzędy za nimi, sama. Wstała, żeby wyjść. Zrobiło się małe zamieszanie. Krzysiek odwrócił głowę i zobaczył ją. Udał, że jej nie zna i ramieniem objął małolatę. W domu tłumaczył, że to córka jakieś szychy. Musiał się nią zaopiekować. Od tego czasu oddawała zaproszenia znajomym. Najczęściej Krysi, której spodobał się facet poznany na koncercie w filharmonii. Irena znała jej zamiar. Wtedy usłyszała o nim tylko tyle, że to kulturalny, przystojny, wykształcony, inteligentny, na poziomie i na stanowisku mężczyzna.

Udało się. Krystyna zaszła w ciążę. I natychmiast zerwała kontakt z facetem. Ale dzisiejsza jej reakcja na widok Krzysztofa, okrzyk, słowa, pobladła twarz, mówiły same za siebie. Niepokój w głosie Krzyśka i kłamstwo Krysi postawiło kropkę. To on był tym „facetem z klasą”. On jest ojcem dziecka Krystyny i Romana.

Zosia wie, że boi się wiedzieć...

Zosia, słysząc odgłos wózka na korytarzu szpitalnym, szybko zamknęła oczy i starała się spokojnie, równo oddychać. Bała się, żeby Irena nie zorientowała się, że ona nie śpi. Nie była gotowa do żadnej rozmowy.

Przed oczyma miała matkę Ireny. Jej rozpromienioną radością twarz. Nadal słyszała jej głos przepełniony tłumioną nadzieją na coś, co nie nastąpiło, a z jego przyjściem znów stawało się możliwe. Dziwne. Przyjaciółka mówiła, że matka jest szczęśliwą

mężatką. Po paru mniej lub bardziej udanych znajomościach spotykała mężczyznę, któremu mogła zaufać. Dotychczasowi nadawali się na tymczasowych przyjaciół, ewentualnie kochanków. Żaden nie spełnił podstawowego kryterium. Nie chciał być ojcem dla jej córki. Irena opowiadała, że matka kilka lat temu spotykała się z mężczyzną, którego pokochała. Na pytanie córki: „Dlaczego nie chcesz, żeby wujek zamieszkał z nami?”, wyjaśniła: „On jest wdowcem i nie chce się drugi raz żenić. Dla niego «my» już było. Teraz jest gotów tylko na «ja» i «ona». Czekałam wystarczająco długo z nadzieją, że zapomni i zmieni zdanie. Wolę być sama, niż stać się namiastką kobiety, którą kochał, kocha i będzie kochał. Gdy spotkam człowieka, który pokocha mnie na tyle silnie, żeby pragnąć zmienić «ja» na «my» - wyjdę za niego”.

Zosia długo wtedy rozmawiała z przyjaciółką. Irena przyznała, że nie uwierzyła matce. Obwiniała ją za nieumiejętność zatrzymania przy sobie mężczyzny.

Obie dziwiły się, po co jej ślub. One chciały faceta, przy którym „ja” będzie najważniejsze. Ich „ja”, oczywiście.

Zosia zwierzyła się Irenie ze wszystkiego. Z chwil, w których utraciła swoją wiarę w prawdziwą miłość.

- Już nigdy nie dam całej siebie. - Po paru kieliszkach stała się bardzo wojownicza.

- No pewnie - zareagowała spontanicznie Irena. - Musiałabyś odtworzyć chirurgicznie.

- Faceci to psychiczne kaleki. Minimum uczuć, maksimum zadowolenia - zdiagnozowała Zosia, przyglądając się uważnie przyjaciółce. - Wiesz, że twoja matka skrzywdziła cię?

- Dlaczego? Ojca nie potrzebowałam. - Wzruszyła ramionami Irena, prosto z butelki dopijając wino.

- Nie w tym rzecz. Mama wpajała ci, że związek to wzajemne zrozumienie, oddanie, wspólne nadawanie na tej samej fali. Spróbowałaś i co? - odpowiedziała sobie sama wymownym

gestem. - Nie. Wolę swój obecny układ. Wiesiek szczerze przedstawił swoje warunki. Mnie to odpowiada. Starszy, odpowiedzialny i wie, czego chce. Przy nim czuję się bezpieczna. Dla mnie to najważniejsze.

- No, nie wiem - odpowiedziała Irena, szukając w lodówce piwa. - Lata tracisz na faceta, z którym nie masz przyszłości. On ma wszystko, ty pomoc i bezpieczeństwo, jak jakaś emerytka od zaprzyjaźnionego sąsiada. Gdzie miłość? Motylki w brzuchu?

- Mój motylek jest ślicznym, rozkosznym dzieciakiem. Twój motyl okazał się ćmą. Trupią główką - wysylabizowała Zosia i też poprosiła o piwo. - Schudłaś, nawilżyłaś się, zjedrdniałaś, wszystko dla niego. Dziewczyno, czas pomyśleć o sobie! Najlepiej jak najszybciej wracaj do swojego „ciepełka”. Choćbym miała spać na polówce.

- Poczekam do końca roku. Mam mnóstwo roboty, zacznę od nowa z początkiem wakacji...

Zosia ostrożnie zmieniła pozycję. Kręciło się jej w głowie. Bolało. Nie skarżyła się. Chciała jak najszybciej wyjść ze szpitala i wrócić do domu. Sięgnęła do szufladki po proszek nasenny. Chciała zasnąć. Świadomość, że Wiesiek to były kochanek matki Ireny, przeraziła ją. Wyczuła, że jedno i drugie nie zapomniało o sobie i nasunęło się oczywiste pytanie: „Żałują rozstania?”. Odpowiedź już mniej pewna: „Chyba tak”. Wiesiek tłumaczył, że to znajoma. Dla zwykłej znajomej zostawił ją i Grzesia prawie na godzinę? O czym rozmawiali? Jakie wysnuli wnioski? Z jakimi słowami się rozstali: „Żegnaj!”, „Do kolejnego przypadkowego spotkania” czy „Do jutra...”?

Wrócił uśmiechnięty. Nie do nich. Do niej, z tamtą nadal się nie pożegnał. Wzrok często kierował w stronę Ireny. Przypominała mu matkę? Czy powiedział, że Grzesio to nie jego biologiczny syn!? A ona - nie żona!?

Znała go już dobrze. Wiedziała, że powiedział. Musiał uspokoić tamtą kobietę, mówiąc: „Nie oszukałem cię. Nie zламаłem obietnicy dla innej”.

Rozstania żałował. Była tego pewna, widząc jego wzrok wpatrzony w córkę tamtej kobiety. Poczucie bezpieczeństwa opuszczało Zosię wraz z działaniem tabletki. Otworzyła oczy i sufit zawirował. Szybko zamknęła. Spadała coraz szybciej i szybciej, z narastającym przerażeniem. Za chwilę się rozbije. Zaczęła się modlić: „Boże, ja jestem bezpieczeństwem dla mojego synka. Muszę przeżyć. Pozwól mi pofrunąć”. Zasnęła.

Krystyny pytajnik, wykrzyknik i kropka

Świtało. W sali było bardzo duszno. Krystyna, z trudem oddychając, czytała po raz kolejny esemesy od męża. Wszystkie tej samej treści: „Kocham cię. Nasze dziecko też”.

Przyjść nie mógł. Rehabilitował się w innym szpitalu.

Zaskoczyło ją, że Irena tak dobrze zna Krzysztofa. Nasłuchiwała ich rozmowy. Ze strzępów słów domyśliła się, że to jej były. Mówiła o nim Misiak. Misiak to, Misiak tamto. Opowiadała, że jest kierownicą w ambasadzie.

Krystyna poznała Krzysztofa na koncercie. Wdzięczna była Irenie za zaproszenia, które od niej dostawała. Korzystała z każdego, nawet gdy Roman był w domu. Na wystawę fotograficzną czy malarską czasami się skusił. Muzyki poważnej nie znosił. Namawiał ją, żeby szła sama, a on w tym czasie wypijał piwo z kolegami, a potem przychodził po nią. Wracali razem, obydwójce zadowoleni.

Tamtego dnia Irena zadzwoniła rano, mówiąc: „Mam zaproszenie do filharmonii, na dziś. Chcesz?”. Chciała.

Już wchodząc, zauważyła Krzysztofa. Stał w grupie paru osób i dość głośno rozmawiali. Przystojny facet. Gdyby go podzielić,

byłyby dwa śliczne, szczupłe ciasteczka. Ona patrzyła na pulchne ciacho.

W trakcie przerwy przechadzała się, oglądając wiszące fotosy. Potrącił ją, przeprosił i zaczęli rozmawiać. Miał śliczne, niebieskie oczy i zniewalający uśmiech. Zaprosił ją po koncercie na kolację. Roman akurat był w trasie. Nie musiała wracać do domu. Podczas kolacji opowiadał o sobie. Pracował w ambasadzie. Był tłumaczem. Uczestniczył we wszystkich ważnych spotkaniach. Potem koncerty, wystawy, premiery.

- Muszę prowadzić życie towarzyskie - podkreślił, wzdychając ciężko i rozbierając ją wzrokiem.

- Musisz? - spytała zdziwiona, czując się dowartościowana jego spojrzeniem. Dawno żaden mężczyzna tak na nią nie patrzył.

- Tak. Z natury jestem domatorem. Lubię czytać, podyskutować na interesujące tematy. Chciałbym mieć rodzinę. Z żoną, przy kominku, popijając wino, rozmawialibyśmy o wszystkim, co nas dotyczy- snuł swoją wizję szczęśliwego małżeństwa. Podniósł kieliszek i wznosił toast: - Wypijmy za normalny, tradycyjny związek dwojga kochający się ludzi.

- Wypiję za spełnienie twoich marzeń - podkreśliła „twoich” i podniosła swój kieliszek. - O takim mężczyźnie marzy niejedna dziewczyna. Na pewno niedługo spotkasz tę właściwą. - Zapewniając go, uśmiechnęła się i patrzyła zalotnie, jak zareaguje.

- Może już spotkałem? - spytał, przeciągając słowa.

Nie odpowiedziała. Umówili się na następny dzień. Kupiła kartę do komórki, żeby podać mu nowy numer. Obiad, kino, teatr, restauracja. Spotykali się codziennie. Była nim oczarowana.

Decyzja, która wcześniej kiełkowała, zaczęła dojrzewać. Nie chciała mieć stosunku ze strzykawką. Nie chciała mieć dziecka z bankiem nasienia. Jej dziecko będzie poczęte podczas pieszczot, pocałunków i zespolenia dwóch kochających się ciał. Nieważne,

że chwilowo. Zna wygląd przyszłego ojca i wie, że jest wykształcony, kulturalny i uczuciowy. Nadaje się na ojca jej dziecka. Jej i Romka. Mężowi powie, że tak jak uzgodnili, zapłodniła się nasieniem z banku.

Poczekwała na płodne dni. Kochali się z Krzysztofem parę razy dziennie przez kilka dni. Krzysztof był zaskoczony jej nagłą i tak częstą ochotą na seks. Zachwycony, gdy powiedziała, że ma założoną spiralę i nie musi używać prezerwatywy.

Po dwóch tygodniach miała już dla niego coraz mniej czasu. Po testach laboratoryjnych, gdy upewniła się, że jest w ciąży, zerwała z nim telefonicznie. Krzysztof wcale nie był zdziwiony, że ma męża. Bardziej tym, że bardzo kocha Romana i boi się go stracić. Roześmiała się, słysząc: „Wszystkie jesteście takie same. Kochacie zniewieściałych mężów, a pieprzycie się z prawdziwymi mężczyznami”. Kartę wyrzuciła...

Niecierpliwie czekała, żeby powiadomić męża. Od razu po wyjściu od ginekologa zadzwoniła:

- Kochanie, udało się. Jesteś ojcem. Wracaj jak najszybciej.
- Cudownie! - ucieszył się. - Będę pojutrze. Uważaj na siebie. Nie wiem, czy doczekam, bo z radości pęknę.
- Nie wolno ci - roześmiała się. - I to nie ja, a dziecko tacie zabrania.

Zadzwonił z trasy.

- Dotrę w nocy. Kup szampana. I czekaj na mnie - wydał polecenia. Uszczęśliwiony, poprawił się: - Czekajcie na mnie. Ty i nasze dziecko.

Tego dnia miał wypadek. Przez trzy dni lekarze utrzymywali go w śpiączce. W tym czasie robili dializy. Niestety nerkę trzeba było usunąć. Na szczęście obrażenia kręgosłupa nie okazały się bardzo groźne. Krwiak w mózgu wysała się. Miała nadzieję, że niedługo wyjdzie ze szpitala. Na wiadomość o jej wypadku bardzo

się przeraził. Chciał wyjść na przepustkę. Lekarze odradzili.

Odwiedzali się, wysyłając zdjęcia komórkami. On zmartwionego siebie, ona swojej uśmiechniętej buzi i gołego brzucha, żeby mógł popatrzeć i dotknąć na zdjęciu bezpiecznego domku ich dzidziusia. Kilkanaście razy dziennie przysyłał esemesy: „Będzie dobrze. Kocham was. Powtórz mu, że tatuś bardzo tęskni”.

Mamy o swoim wypadku nie powiadomiła. I tak nie wychodzi z domu, nie mogłaby przyjść, a tylko niepotrzebnie by się zamartwiała. Siostra ojca mieszkała daleko i też była schorowana. Nie było sensu jej zawiadamiać. Kuzyn miał swoje kłopoty, nie chciała mu dodawać własnych. Krystyna dzwoniła do mamy, rozmawiała krótko, mówiąc, że ma dużo klientek, a potem jedzie do szpitala. Odwiedzić i dokarmić Romana.

Roześmiała się cichutko, przypominając sobie swój paraliż na widok Krzysztofa i jego przerażenie, gdy pytał: „Który miesiąc?”.

Dobrze, że miała czas ochłonać. Ciekawe, czy Irena się zorientowała? - pomyślała Krystyna i w tym momencie poczuła lodowaty dreszcz od karku, przez plecy, krzyż, aż do pięt. Zabrakło jej powietrza. Próbując opanować strach, liczyła do dziesięciu, starając się zrobić głęboki wdech. Miała wrażenie, że tonie w lodowatej, mętnej wodzie.

Czy to możliwe? - zadała sobie z przerażeniem pytanie. Irena opowiadała, że jej były to zwykły kierowca i naganiacz panienek do towarzystwa. Pamięta jej słowa: „Krysiu, Misiak to alfons w białych rękawiczkach. Te po studiach, znające języki, często bizneswomen ciągną do dyplomatycznego świata. Wiem, że część z góry wie od Misiaka, kto jest kim, ile zarabia, czego oczekuje. A oni przyjeżdżając, najczęściej chcą mieć stałą partnerkę. Reprezentacyjną i chętną do wszystkiego. Oczywiście w zamian szampan, kawior, prezenty i często pieniądze. Obydwie strony zadowolone. One nie świadczą usług seksualnych. Oni nie korzystają

z usług prostytutek. Współczesna, kulturalna, na poziomie - wymiana towarowa pomiędzy partnerami.

Czy to możliwe?

Krysia próbowała odtworzyć sobie rozmowę z Ireną, w której przyjaciółka mówiła o pierwszych spotkaniach z Krzysztofem. O swoim zadurzeniu w chłopaku o nieprzeciętnej urodzie, pełnym uczuć, umiejącym się zachować, spotkanym w jakiejś restauracji. Po paru kieliszkach rozkleiła się zupełnie i szczerze opowiedziała o ich związku.

- Krysiu. Czuję się jak kopciuszek. Dostrzegł mnie król-wicz XXI wieku. Pokochał i chciał za żonę. Współczesną, czyli partnerkę. Do wszystkiego. Teatru, filharmonii, premier - opowiadała Irena trzęsącym się głosem. - Potem już tylko do łóżka - narastała w niej złość - na koniec do częstego podawania piwa i od czasu do czasu do dawania dupy.

Krystyna ma pod powiekami wyraźny widok czerwonej z wściekłości twarzy przyjaciółki.

- Czekałam! - krzyczała Irena. - Na co? Po co? Gdzie moja ambicja? Godność? Kompletnie straciłam rozum. Dlaczego?

- Myślałaś, że się kochacie. Zaufałaś mu. Potem obwiniając siebie, robiłaś wszystko, żeby mu się podobać. - Krysia starała się uspokoić Irenę. - Najważniejsze, że odeszłaś od niego.

- Wiesz, Krysiu, moja babcia mówiła, że wszystko w życiu człowieka ma cel i sens. Tylko czasami odkrywamy go dużo później.

- Czyli ja pokochałam Romka, który nie może mieć dzieci, bo nie nadaje się na matkę? Przecież to bez sensu - skomentowała wtedy, wpatrując się w Irenę.

- Dziś go nie widzisz. Ja też. Może jutro dostrzeżesz? - Irena po każdym kolejnym kieliszku wina wpadała coraz głębiej w filozoficzny nastrój. - Ja spotkałam Misiaka, żeby wreszcie zrozumieć: nie ma miłości od pierwszego wejrzenia. Wniosek, teraz

długo się zastanowię, zanim związę się na poważnie z facetem.

Czy to możliwe!?

Krystyna przypominała sobie szczegóły z dnia wypadku Romka. Wróciła do domu z szampanem, świecami i krewetkami, które bardzo lubił. Posprzątała. Nakryła stół, wyjmując gościnne talerze, srebrne sztucce i kryształowe kieliszki. Co prawda do białego wina, bo do szampana nie mieli. Wykąpała się. Zrobiła pełny makijaż. Ubrała się seksownie. Dzwonił, że za pół godziny będzie. Spojrzała na zegarek. Dwudziesta trzecia piętnaście. Zgasiła górne światło i pozapalała świece. Podeszła do okna i wypatrywała męża. Od dziś ojca. Tak jak prosił, zawiadomiła go, mając już USC.

Zdjęcie oparła o jego kieliszek. Po godzinie zadzwoniła komórka. No tak. Pewnie złapali gumę - pomyślała. Podbiegła do stolika, wzięła telefon i nie patrząc, kto dzwoni, odebrała.

- Roman! Znowu złapaliście gumę!?
- To ja, Krysiu - usłyszała stłumiony głos zmiennika męża.
- Gdzie jesteście?
- Posłuchaj. Roman miał wypadek. Dzwonię ze szpitala, tego najbliższego was. Przyjeżdżaj.
- Boże! Rozbiliście się! - biegała po pokoju, szukając torebki.
- Weź taksówkę i przyjeźdź jak najszybciej - rozłączył się.

Zadzwoniła do korporacji, na szczęście powiedzieli, że postawią wóz w pięć minut. Wybiegła z mieszkania i zbiegła dwa piętra. Wróciła. Zamknęła drzwi na klucz. Zbiegła po schodach i wybiegając na ulicę, przypomniała sobie o palących się świecach. Wróciła. Pogasiła świece. Zamknęła drzwi. Zbiegła. Taksówka już czekała.

Kolega Romka chodził w tę i z powrotem przed wejściem do szpitala. Biegnąc, potknęła się. Utrzymała równowagę, wpadając

w jego ramiona.

- Chodźmy. Dowiesz się wszystkiego od doktora - powiedział. Zdążyła zauważyć, że on jest cały. Czyli wypadek musiał być niegroźny.

Lekarz poinformował ją, że męża potrącił samochód. Leży w śpiączce farmakologicznej. Ma uszkodzoną nerkę i krwiak w mózgu.

- Najważniejsze, że żyje - mówił spokojnie. - Proszę być dobrej myśli. Stan jest ciężki, ale stabilny. Może pani wejść do męża na pięć minut. Proszę za mną.

Nie bardzo rozumiała, co do niej mówił. Szła za nim, powtarzając w myślach: Najważniejsze, że żyje. Nie może umrzeć. Przecież mają wypić szampana. Dziś został ojcem. Ojciec nie może umrzeć.

Weszła do sali. Roman leżał podłączony do aparatury. Kroplówka. Zbiornik na mocz. Podeszła bliżej. Opuchnięta twarz z jednej strony całkiem sina. Tak samo ręka. Dłonie w bandażach. Spojrzała pytająco na lekarza.

- Ręce są tylko obtarte. Był wbity żwir i piasek. Oczyszciliśmy. To opatrunki. Nic groźnego.

Widząc, że zbladła, podsunął jej krzesło.

- Proszę usiąść. Wiem od kolegi męża, że jest pani w ciąży. Może dam coś na uspokojenie.

Podziękowała. Siedząc, patrzyła na twarz męża. Spał. Na spuchniętych wargach dostrzegła uśmiech. Ten jego uśmieszek. Szczególny. Pojawiał się tylko wtedy, gdy Romek był bardzo dumny z siebie, a nie chciał się do tego przyznać.

- Dziękuję - odpowiedziała, patrząc na lekarza. - Mąż mnie uspokoił. Proszę zobaczyć, uśmiecha się. Do mnie i do naszego dziecka.

- Musi już pani iść - powiedział i spojrzał na zegarek.

Nachyliła się nad nim ostrożnie, delikatnie scałowała tę jego dumę, zabierając ze sobą.

- Śpij spokojnie. Przyjdziemy do ciebie jutro.

Kolega męża odwiózł ją do domu. Wszedł na górę. Klucze były w zamku. Poprosił, żeby usiadła. Zrobił herbatę i opowiedział, co się stało. Uśmiechnęła się, słysząc, że Romek wysiadł na siusiu i stanął metr przed samochodem, w świetle reflektora. Było ciemno. Na poboczu krzaki. Wiedziała, że panicznie bał się kleszczy od czasu, gdy musiał szukać ratunku na pogotowiu. Kleszcza wyjmowała młodziotka pielęgniarka. Oboje byli zawstydzeni. Lekarz zalecił antybiotyk. Od tego czasu Romek sikał tylko na asfalt. W nocy, w świetle reflektorów wpatrując się, czy żaden stwór kleszczopodobny nie próbuje go zaatakować. Na wszelki wypadek używał dwóch rąk. Jedną do podtrzymania, drugą do osłaniania.

Zmiennik, który drzemał spokojnie w czasie jazdy, w tym właśnie momencie obudził się. Chciał zadzwonić do żony. W lusterku zobaczył samochód, który próbował wyminąć ich, mimo że z naprzeciwka nadjeżdżał drugi. Kierowca wymijającego pojazdu skręcił raptownie i wjechał w Romka. Kolega włączył kamerkę w komórce i wyskoczył z ciężarówki. Tamten zatrzymał na sekundę samochód i po chwili z piskiem opon odjechał.

Kolega Romka numerów nie zapamiętał. BMW w ciemnym kolorze. Niebieska tablica rejestracyjna. Nagranie niewyraźne. Policja sprawdza.

Skończył relację, pożegnał się i wyszedł.

Przez następne dni żyła jakby za mgłą. Zajrzała do saloniku, żeby porozmawiać z Zosią. Uzgodniły, że Krysia nie będzie przychodzić. Zosia podwożuje jej klientki. Sama zrobi podstawowe zabiegi. Nawilżanie, maseczki czy depilację.

Do pracy Krystyna wróciła, dopiero gdy Roman był już przytomny i dobrze się czuł po operacji usunięcia nerki. Krwiak wsysał

się sam. Nie było już żadnego zagrożenia. Teoretycznie wiedzieli, że bez jednej nerki można normalnie żyć. Teraz sprawdzą to w praktyce. Od Zosi usłyszała, że Irena z dnia na dzień odeszła od Misiaka i wróciła do swojego mieszkania, choć wcześniej planowała zrobić to po zakończeniu roku szkolnego.

Krystyna cały czas była myślami przy mężu, nie miała głowy wypytywać, co się stało. Dopiero teraz dotarło do niej, że Zosia rzuciła, że facet Ireny okazał się skończonym skurwysynem. Możliwe nawet, że zabił człowieka. A na pewno uciekł, nie udzieliwszy pomocy.

Boże! To możliwe!

Czas by się zgadzał. Samochód ambasady. Krysia uniosła się, żeby spojrzeć na Irenę. Przyjaciółka spała. Musi poczekać do rana.

A jeżeli to on? Co wtedy? Na samą myśl Krystyna znów poczuła strugi zimnego potu na plecach. Wykrycie sprawcy wypadku to szansa na odszkodowanie. A jeżeli Krzysztof w zemście powie Romkowi o ich romansie? Zasugeruje, że to może być jego dziecko. Tego jej Romek nigdy nie daruje.

- Krysiu - powiedział jakiś czas temu. - Zdecydowałem. Żadna adopcja. Chociaż jedno z nas będzie biologicznym rodzicem. Ty będziesz matką. Zajdziesz w ciążę. Przeżyjesz dzień po dniu ze swoim dzieckiem.

- To znaczy, że zgadzasz się, bym zaszła w ciążę z innym mężczyzną?! - krzyknęła, chociaż nie chciała. Poczuła radość i jednocześnie niepokój. Nie kochał jej. Inaczej nie zgodziłby się, żeby kochała się z innym.

- Zgłupiałaś? - objął ją i patrząc jej w oczy, powiedział z naciskiem: - Kocham cię. Zdrady bym ci nie darował. Nigdy i z żadnego powodu.

- To jak zostanę matką? - spytała, czując się oszukana i będąc jednocześnie pewną uczuć męża.

- Wszystkiego się dowiedziałem - wyjął kartkę. - Tutaj są numery telefonów. Do banku nasienia i klinik, gdzie wykonują inseminację nasieniem dawcy. Na wszelki wypadek na piśmie wyraziłem swoją zgodę. Masz. Za jedno cię przepraszam, ja teraz będę często w długich trasach. Załatw to sama. Nie wracajmy do tego tematu. Któregoś dnia, kiedy już będziesz pewna na dwieście procent, kiedy już będzie to widać na kliszy, powiesz mi, że będziemy mieli dziecko. Kupię szampana. Tego dnia staniemy się rodzicami - mówił, patrząc na nią z taką miłością, że rozplakała się. Przytulił ją mocno do siebie.

Krystyna przewróciła się na bok i wpatrzona w białą ścianę głąskała brzuch, próbując się uspokoić.

Ula czuła się winna...

Ula nie spała. Słyszała cichy płacz. Nie chciała wiedzieć czyj.

Lubiła przyjaciółki swojej siostry, które na początku знаła tylko z jej opowiadań, a później po kolei poznawała osobiście. Podczas jej przyjazdów do Polski, kiedy tylko miała trochę więcej czasu, zaczęły umawiać się na pogawędki w kawiarniach albo restauracjach.

Czuła się winna, mimo że na nic nie miała wpływu. Jednak to ona była narzędziem losu. Po pierwsze to ona zaprosiła je. Zawiozła na miejsce. A potem namówiła do powrotu.

Ona siedziała za kierownicą.

Kto był scenarzystą?

Trzy nieznanne dziewczyny spotkały się, polubiły, zaprzyjaźniły. Obiecały sobie przyjaźń do późnej starości. Czyli w nieskończoność. „Nigdy nie będziemy aż tak stare” - śmiały się, wyjaśniając Uli, dlaczego nie po grób.

Obolałe i unieruchomione. Szczęśliwe, że wszystkie żyją, że

są razem, dodawały sobie otuchy, śmiejąc się, żartując, dowcipkując. Do dziś. Nagle wszystko się zmieniło, skomplikowało. Czują, jakby zostały związane. W jakim celu?

Ula dobrze znała Wieśka. Przegadali ze sobą wiele godzin. Opowiedział jej o swoim życiu. O matce, która „odeszła” od nich, gdy on miał dziesięć lat.

Tego dnia wracał do domu uradowany. Dostał piątkę z matematyki i czwórkę z fizyki.

- Mamo - krzyczał już od progu. - Zobacz - wbiegł do kuchni i podał dzienniczek. - Tata się ucieszy.

Mama spojrzała na stopnie. Rękami oblepionymi w cieście objęła go i wyściskała.

- Gratuluję. Byłam pewna, że dostaniesz dobre oceny. Stać cię, synku, na wiele... - Roześmiała się i patrzyła na niego, czekając.

- Tylko musisz chcieć - dokończył za nią.

- Rozbierz się i umyj. Rozpakuj tornister. I nakryj do stołu - mówiła, co ma zrobić, sama szybko myjąc ręce.

- W pokoju?

- Oczywiście. Zjemy uroczysty obiad. Tata zaraz przyjedzie - dodała, stojąc już w drzwiach. - Ja tylko na chwilkę wyskoczę do sklepu. Zaraz wracam! - Wyszła.

Zawsze tak było: on dostał dobry stopień, tata chwalił się z sukcesu w pracy- mama miała udany dzień. Świątowali przy uroczystym obiedzie lub kolacji. Jedli i opowiadali. Mama wcześniej przygotowywała deser lub wybiegała na chwilę do cukierni. Wracała z trzema kawałkami tortu, lodami lub ich ulubionymi ciastkami.

Wiesiek wszystko przygotował. Z papierowych serwetek wyciął trzy piątki i trzy czwórki i położył po obu stronach talerzy.

Sprawdził, czy noże i widelce są po dobrej stronie. Na środku stołu postawił małą doniczkę. Nie wiedział, jaka to roślina, ale miała malutkie, niebieskie kwiatki. Wiesiek wiedział, że mama lubi, kiedy na stole stoi choćby jeden, oby żywy kwiat.

W lodówce były naleśniki z kapustą i grzybami. Był głodny. Sięgnął po jednego. Jadł drugiego, gdy wszedł tata.

- Witaj, synku. Drzwi niezamknięte! - zwrócił mu uwagę.

Postawił teczkę i wszedł do kuchni. - Gdzie mama? - Otworzył lodówkę i też wyjął naleśnika.

- Zaraz będzie. Dostałem piątkę z matmy i czwórkę z fizyki. Poszła po niespodziankę.

- Aha - ucieszył się tata. - Czeką nas uroczysty obiad. Nakryjemy do stołu?

- Już nakryłem. Mama wyszła z pół godziny temu. - Chciał otworzyć lodówkę.

- Poczekaj, potem nie zjesz obiadu. Mama będzie niezadowolona - przestrzegł tata i poszedł do łazienki.

Usiedli w kuchni i czekając na mamę, rozmawiali. Wiesiek opowiadał o szkole. Uzgodnili, że jutro idą do kina.

- O której mama wyszła? - spytał zaniepokojony tata, patrząc na zegarek.

- Dokładnie nie wiem, nie spojrzałem na zegar, ale nie ma jej już bardzo długo.

Stanęli przy oknie i wyglądali na ulicę. Zdecydowali się wyjść i poszukać mamy. Rozdzielili się. Wiesiek poszedł sprawdzić do spożywczego i warzywniaka. Tata do cukierni.

- Była tu, ale już dawno temu. Kupiła trzy kawałki czekoladowego tortu. Śpieszyła się. Mówiła, że syn czeka - poinformowała znajoma ekspedientka zdziwiona, że tata jej szuka.

Mamy nigdzie nie było. Wiesiek czekał w domu. Tata poszedł na policję. Najpierw zbagatelizowali sprawę - przecież nie interweniuje się po około dwugodzinnej nieobecności.

Wysłuchawszy go, zdecydowali się jednak przyjechać, przepytali sąsiadów, ekspedientki ze sklepów. Jedna z sąsiadek potwierdziła, że widziała mamę wchodzącą do cukierni. Potem już nikt jej nie widział.

Po trzech tygodniach znaleziono jej ciało. Było zakopane w lesie. Pobita, najprawdopodobniej zgwałcona. Sprawcy nie odnaleziono. Śledztwo zostało umorzone.

Jakiś czas potem ojciec ożenił się ponownie. Widok innej kobiety krzającej się po mieszkaniu był dla Wieśka nie do zniesienia. Obca kobieta gotowała w mamy garnkach, kąpała się w mamy wannie, spała w mamy łóżku z mężem mamy. Wiesiek wyprowadził się, zdał na studia i prawie zerwał stosunki z domem rodzinnym. Ojciec z drugą żoną wyjechał do Niemiec. Rozwiódł się, gdy przyrodni brat miał czternaście lat. Jacek został z ojcem.

Ponieważ kontakty Wieśka z ojcem były sporadyczne, brata też praktycznie nie znał. Oczywiście od czasu do czasu się spotykali, wszystko było prawie poprawne, ale ich uczucia trudno było nazwać braterskimi. Chłopak był rozpuszczony. Ojcu dobrze się powodziło. Kupował mu wszystko, o czym szczeniak w jego wieku marzył. Sam miał bardzo mało czasu. W dzień w sądzie, wieczorem w kancelarii. Jacek chował się praktycznie sam.

Ula dużo później dowiedziała się od męża, że policja odnalazła świadka. Kobieta, która wychodząc z cukierni, widziała matkę Wieśka podnoszącą się z ziemi i opierającą o drzewo. Kobieta poszła w przeciwną stronę. Po paru metrach ruszyło ją sumienie. Odwróciła się, żeby zobaczyć, czy nie potrzebuje pomocy. Tamta wsiadała do samochodu. Kobieta nie zapamiętała szczegółów.

- Znajomy? - zastanawiała się Ula, patrząc na męża.
- Nie. - Wciąż na samo wspomnienie tamtych chwil ściszał głos. - Prawdopodobnie ktoś zaoferował pomoc. Podwiezienie do

domu albo do szpitala, dwie ulice dalej.

Ula zmieniła pozycję. Położyła się na plecach, wkładając jasiek pod szyję. Zamknęła oczy i dalej myślała o starszym pasierbie, który po niedługim czasie w ich rozmowach nazywał ją „mamuśką”, a ona mówiła do niego „synku”.

W innej rozmowie, przy której oboje dużo pili, Wiesiek mówił o swoich uczuciach. Bardzo przeżył śmierć matki. Obwinił siebie. Gdyby nie przyniósł dobrych stopni, mama by wtedy nie wyszła.

- Od tamtej pory na dźwięk słowa „niespodzianka” dostaję skurczu żołądka. Moja żona wiedziała o tym. Obiecała nie robić żadnych niespodzianek. Jednak zrobiła, i to najgorszą z możliwych. Odeszła na zawsze. Przeze mnie - mówił spokojnie, ale Ula słyszała cały nagromadzony w nim żal.

Wypił wtedy prawie pół litra wódki. Wydawało się, że na niego alkohol nie działa. Tylko z każdym kieliszkiem coraz bardziej obwinił się za wszystko.

- Wiesiu, nie spotkałeś już potem kobiety, którą mógłbyś pokochać? - spytała Ula ośmielona jego szczerością.

- Raz. Kilka lat temu. Spotykaliśmy się i zaprzyjaźniliśmy. Potem zostaliśmy kochankami. Ona, samotna matka porzucona przez człowieka, którego kochała. Ja wdowiec. Rozumieliśmy się w pół słowa. - Wstał i otworzył kolejną butelkę. - Wiesz, co jest w związku najważniejsze?

- Miłość - odpowiedziała bez zastanowienia Ula i widząc, że jej odpowiedź wywołała rozbawienie na jego twarzy, spytała. - Wiesiu, co według ciebie?

- Zapomniałem, że jesteś bardzo młodziutka - przeproszał tonacją głosu, patrząc na nią jak na dziewczynkę. - Słowa „miłość” i „kocham cię” to dwa ogromne balony. Z zewnątrz wydaje się,

że wypełnione do maksimum. Zajrzysz do środka i nic nie zobaczysz. Puste. - Wstał z fotela i usiadł obok niej. - Najistotniejsze, co możesz dać i otrzymać od drugiej osoby, to czas. - Widząc, że patrzy na niego zdziwiona, wziął jej ręce w swoje. - Ula. Pomyśl. Wyszeptane: „kocham cię” i parę minut seksu. Reszta czasu dla siebie. Liczy się tylko dla mnie, ze mną, o mnie. Czy to jest miłość?

Słuchała go uważnie. Wiesiek mówił, patrząc na nią, ale chyba do kogoś innego lub może do siebie samego.

- Prawdziwe kochanie to przeznaczenie większości czasu dla drugiej osoby. Dla niej, z nią, o niej, przy niej. Miłość to wykorzystywanie do maksimum czasu dla „nas”. Dla nas! O nas! Rozumiesz? - Puścił jej ręce. - Ja zrozumiałem za późno. Przy jej łóżku, gdy już było wiadomo, że nie ma czasu. Na nic, poza czasem triumfującej śmierci.

- Wiesiek, dlaczego nie ożeniłeś się z tą kobietą? Ta twoja obietnica jest bez sensu. Twoja żona kochała cię. Chciałaby, żebyś był szczęśliwy. - Ula naprawdę chciała wiedzieć. Nie rozumiała Wieska.

- Bałem się. - Wrócił na fotel. - Kochałem matkę, odeszła. Potem żonę, też mnie zostawiła. Widocznie nie potrafię kochać tak silnie, żeby mogły ze mną zostać. - Wypił. - Nie chciałem i jej skrzywdzić.

- Wiesiek! - krzyknęła. - To właśnie zrobiłeś. Skrzywdziłeś i ją, i siebie. Moja mama mówi, że największą zbrodnią jest aborcja. - Tym razem on nie rozumiał. - Tak. Aborcja to nie tylko unicestwienie nowego życia. Także wszystkich pięknych uczuć. Przyjaźni, szacunku, uczciwości, zaufania i w końcu miłości. Zapatrzeni w sukces, sławę, pieniądze tratujemy po drodze wszystko, co najpiękniejsze. - Widząc, że uważnie jej słucha, mówiła dalej: - Rodzice od małego uczyli mnie i Zosię: „Zatrzymajcie się. Usiądźcie. Popatrzcie dookoła. Docieńcie to, co macie

za darmo. W zasięgu wzroku i słuchu”. Siadaliśmy razem. Mama kazała nam głęboko oddychać i wsłuchiwać się w dźwięki ciszy. Dostrzec różnorodność kolorów, odcieni, kształtów.

- Mądrych macie rodziców. - Znów się zamyślił. - Straciłem kontakt z tą kobietą. Nie chciała takiego związku, jaki jej proponowałem. Od czasu do czasu dzwoniliśmy do siebie. Rozmawialiśmy o wszystkim i o niczym. W końcu przestała odbierać telefon. Po jakimś czasie pojechałem do jej domu i od sąsiadki dowiedziałem się, że wyprowadziła się do innej miejscowości.

Ze szpitalnego korytarza dochodził odgłos otwieranych pokoi. Potem kroki. Ula przekreśliła się na bok. Spojrzała na zegarek. Mierzenie temperatury. Dla niej ostatni dzień w szpitalu. Przylatuje mąż i zabierają do domu. Lekarze wyrazili zgodę, sugerując jazdę samochodem. Samolot niewskazany ze względu na różnicę ciśnień. Pojedzie karetką, na leżąco. Dziewczyny zostaną same. To dobrze. Czekają na poważną rozmowę.

Ula nie przyjrzała się matce Ireny. Usłyszała tylko jej okrzyk na widok Wieska. W jego oczach dojrzała zaskoczenie, niedowierzanie i ten błysk szczęścia. Wybiegł z sali. Ula czuła jego strach, żeby nie przegapić szansy, jaką mu los podarował. Kiedy wrócił i siedział przy niej z Grzesiem na kolanach, myślami był przy tamtej kobiecie. Wzrokiem wracał do niej, patrząc na jej córkę.

Ula pomyślała o siostrze. Zosia zawsze zapewniała ją, że nie chce małżeństwa z Wieskiem. Ale widząc jej dzisiejszą reakcję, niepokoiliła się. Dostrzegła, że poczucie bezpieczeństwa siostry zostało zachwiane. Zosia budując swoje scenariusze na życie, ani przez chwilę nie brała pod uwagę, że Wiesiek może zainteresować się inną kobietą. To ona czekała na odpowiedni moment otworzenia „drzwi do przyszłości” i spotkanie tego właściwego, jej przeznaczonego mężczyzny. Ula domyślała się, że dziś siostra przestraszyła się na myśl, że może czekać sama. Na niewiadome.

I stracić to, co ma.

Znała każdą minę Zosi, poznawała, w jakim jest nastroju po ułożeniu ciała. Wiedziała, że leżąc na plecach, z rękami pod głową, wyprostowana jak struna - czarowała jutro. Jutro ma się udać to, co zaplanowała. Kiedy układała się na boku z rękami pod policzkiem i spływającymi łzami na poduszkę - rozczuła się nad swoim losem. niesprawiedliwa ocena, chłopak spojrział nie tak, pokłóciła się z koleżanką. Z czasem powody były coraz poważniejsze. Przyjmowała pozycję embrionalną, kiedy czuła się zagrożona, traciła grunt pod nogami i wołała nie myśleć, co będzie dalej. Podśpiewywała albo recytowała wiersze, żeby nie dopuścić żadnej myśli. Tak jak po wyjściu rodziców, synka i Wieśka.

Ula była pewna, że Wiesiek nie mówił Zosi o tej kobiecie. Za to Irena opowiadała o znajomym matki. Jako przykład, żeby Zosia nie traciła czasu na tę znajomość bez szans na założenie normalnej rodziny. Po dzisiejszym dniu jedna i druga mają o czym rozmyślać.

Irena i Zosia chcą tego samego

Irena czuła się prawie dobrze. Bolące kolano nie pozwalało tylko chodzić w ukochanych szpilkach i pięknie wyglądać na wysokich obcasach. Bogdan śmiał się, że to jej wzrost pociąga go w niej najbardziej.

- Dlaczego akurat wzrost? - dopytywała z figlarnym uśmiechem.

- Widzisz, mała, na razie jesteś na etapie: wejdź wyżej i mów coś. - Śmiał się, gdy mówiąc do niego, wspinała się na palce albo wchodziła na krawężnik lub schodek.

- A następny etap? - spytała, górując nad nim z wysokości trzech schodków.

- Zejdź niżej i rób coś. - Bogdan na wszelki wypadek uchylił

się. - Rozchmurz się, lekarze to świntuchy. Ale tylko gawędziarze.

Wszystkie dotychczasowe postanowienia Irena pisała palcem na wodzie. Dawno rozmyły się, odpłynęły, po drodze utonęły.

Zosia próbowała założyć przyjaciółce koło ratunkowe w postaci ciągłego przypominania: „Sklerotyczko, nic nie pamiętasz?”, „Nic nie pamiętasz!”, „Uczysz dzieciaki zapamiętywania, a sama nie chcesz niczego się nauczyć ani zapamiętać”. Zrezygnowana patrzyła z politowaniem, stwierdzając raz jeszcze: „Nie pamiętasz”.

Według Zosi, Irena miała cały czas żal do mamy, której dystans do mężczyzn, obserwacja, analizowanie, ocenianie, sprawdzanie skutkowało zrywaniem kontaktu. Irena wyciągnęła wniosek: długo czy krótko i tak koniec z góry przewidywalny. Szkoda marnować czas. Irena woli szybciej się sparzyć, nawet parę razy. Nie pozbawi się nadziei na przebywanie w raj. A tak się czuje, będąc zauroczona facetem. Piekło rozpaczy jej nie grozi. Z góry zakłada, że będzie koniec i robi wszystko (według Zosi źle), żeby tym razem nie było. W czyścicu da sobie radę. Tylko tu człowiek nie jest odosobniony. Ciasnota przekracza wszystkie normy światowe.

Z Bogdanem Irena spotykała się codziennie. Prywatny fizykoterapeuta, konsultant i psychoterapeuta okazał się super facetem. Mówił konkretnie co i jak. Nie uciekał się do żadnych sztuczek, wybiegów, forteli. Oznajmiał wprost: „Dziś nie czekaj, idę z bandą na piwo, mogę nie wrócić” albo: „Nie pójdę z tobą na ten romans. Byłabyś wściekła, gdybym zaczął chrapać w kinie. Zawiozę cię i poczekam w barku. Potem opowiesz mi film”, „Nie znoszę kupowania ciuszków. Idź z koleżanką. Chyba, że ty oglądasz ciuchy, a ja w tym czasie sprzęt. Przy kawie obejrzymy zdobycze”.

Sprowadzał Irenę na ziemię.

- Nie rozumiem, chcesz czy nie chcesz? Teraz czy później? Mów „tak” albo „nie”.

- Przecież mówię - broniła się.

- Ty mówisz: „może nie”, „może tak”. Ja głupieję.

Skreśliła w porozumiewaniu się z nim wszystkie pytajniki: „mógłbyś?”, „przydałoby się?”, „a może?” i tym podobne dwuznaczności. Wykrzykniki typu: „jak mogłeś!”, „nie zrobisz!”, „zapomniałeś!”, „nie rozumiesz!”.

Przypomniła sobie swojego ucznia. Chłopak miał rację. W pytajniku, wykrzykniku i kropce zakodowane są wszystkie emocje. Te oczywiste są w kropce.

Bogdan mówił:

- W ważnej sprawie przyślij esemesa. Oddzwonię jak najszybciej.

Na to ona:

- Może ja w tym czasie....?!.

Przerywał jej:

- W tym czasie zrobisz, co uznasz za właściwe. Porozmawiamy o tym wieczorem..

Czasami dzwonił podczas dyżuru.

- Na tę chwilę zapowiada się spokojnie. Jeśli chcesz, przyjedź. Wypijemy herbatę.

Irena jechała. Tylko wtedy, gdy miała ochotę. Nie jej wina, że zawsze chciała, tylko nie zawsze mogła. Często jechała na próżno. W międzyczasie wszystko się zmieniało. Piła herbatę w pokoju lekarskim. Sama. Bogdan pojawiał się w przelocie, machał ręką, przesyłał uśmiech, czasami całusa. Wracała do domu zadowolona z ukradzionego czasu dla nich.

- Znów się zakochałaś na amen w parę dni? - karcąco pytała Zosia, patrząc ze współczuciem na przyjaciółkę.

- Zaskoczę cię. - Irena sama była zdziwiona tym, co czuje. -

Nie zakochałam się.

- Zauroczyłaś! Poczulaś chemię? Hormony! Efekt ten sam. W kilkadziesiąt godzin masz na twarzy wymalowane serce przebite strzałą.

- Nie czuję skurczów żołądka. Nie wciągam brzucha i nie wypinam piersi na jego widok. Na myśl o nim nie oblizuję warg i nie mam mokro między udami. Nie czuję nic z tego, co dotychczas. - Irena mówiła do Zosi, starając się przeanalizować swoje uczucia. - Jestem osłupiała. Wiem jedno. Nie chcę kwiatów, komplementów i zapewnień, że jestem jedyna i niepowtarzalna. - Jej oczy przybrały wyraz zaskoczonej pewności i bezgranicznej ufności dla samej siebie. - Chcę, żeby był. Tak normalnie - skonkretyzowała Irena, przyglądając się zamyślanej przyjaciółce.

- Nie pytamy. Nie krzyczymy. Rozumiemy się. - Zosia podsumowała rozważania przyjaciółki.

Sama pragnęła tego samego. Z Wieśkiem milczenie sprawiało coraz większy ból. Od natłoku niezadanych pytań i lęku przed nieudzielonymi odpowiedziami. Zadała jedno niepełne pytanie:

- Ta kobieta, matka Ireny...?

Przerwał jej:

- To przeszłość - powiedział tonem zamykającym temat.

W parę dni po wyjściu ze szpitala spytała wprost przyjaciółkę, co wie i co myśli o swojej mamie i Wieśku. Irena odpowiedziała:

- Zosiu, widziałam i słyszałam to samo, co ty. Spytałam mamę: „Mamo, co z wujkiem Wieśkiem?”. Usłyszałam: „To już zamknięty rozdział w moim życiu”.

Irena nie przyznała się Zosi, że już w szpitalu i potem w domu obserwowała mamę.

- Mamuś, czy ty jesteś szczęśliwa? - spytała z niepokojem, widząc, że mamy nie ma przy niej. Automatycznie gładzi ją po rękę, a myślami jest daleko. Patrzy w telewizor, a nie widzi.

Rozmawia z mężem przez telefon: „Tak kochanie, nie kochanie, dobrze, kochanie. Śpij spokojnie”. Sama nie spała. Irena poznała po zapuchniętych powiekach i zaczerwienionych oczach.

- Jestem, córeczko. Na swój sposób jestem - mama upewniała samą siebie. - Czasami tylko nie mogę zrozumieć, w jakim celu znajdujemy się w jakimś miejscu o określonej godzinie.

- Dobrze, że nie wiemy. - Irena wzdrygnęła się. Nie chciała by wiedzieć.

- Masz rację, córeczko. - Twarz mamy rozpogodziła się. - W niewiedzy nie umiera nadzieja. Chociażby na to, że wszystkich, których kochamy, spotkamy w innym świecie.

Irena patrząc na przyjaciółkę, domyślała się jej rozterek, niepewności, obawy przed tym, co może nastąpić.

- Zosiu, mama i Wiesiek nie mają szans na bycie razem. Mama nie rozwiedzie się z mężem. Po co? Dla partnerskiego, niepewnego związku? Wiesz, mnie się wydaje, że mama - jak ty - czuła stale obecność jego żony. W łóżku pewnie zastanawiała się, czy kocha się z nią, czy pieści tamtą. Czy daje mamie to, czego nie zdążył dać żonie? Mama kiedyś nazwała się „zagłuszaczem sumienia” dla Wieśka. Dziś nie dziwię się, że z niego zrezygnowała.

Po jednej rozmowie z Ireną i kilku rozmowach z Ulą, Zosia coraz rzadziej spała z Wieśkiem. Przykrość sprawiła jej świadomość, że to nie ona zmniejsza częstotliwość. Wiesiek jak dawniej przychodził. Interesował się wszystkim. Zajmował Grzesiem i - wracał do siebie.

Irena z Krysią nie pamiętają

Romek szybko wracał do zdrowia. Postanowił zrezygnować zjeżdżenia w dalekie trasy. Kolega zaproponował mu pracę w

prowadzonej przez siebie firmie. Został instruktorem w szkole nauki jazdy. Prowadził jazdy doszkalające w trudnych warunkach. Odpowiadało mu to zajęcie. Częściej był w domu. Mógł ustawić sobie godziny tak, żeby wpaść do Krysi i pogłaskać brzuch. Wieczorami razem z żoną wyobrażali sobie przyszłość ich dziecka.

Krysia czuła się wyśmienicie. Oboje „zwariowali” od pierwszego kopnięcia małej. Wiedzieli już, że to jest córeczka. Ula przysyłała ciuszki, kompletując garderobę. Zosia z pełnym zrozumieniem dyskutowała o najważniejszych aktualnie problemach przyjaciółki. Lepsza kołyska czy łóżeczko? Codzienna kąpiel czy chusteczki do pielęgnacji skóry niemowląt? Bezdyskusyjny był wspólny poród. Romek przetnie pępowinę i pierwszy weźmie małą na rękę.

- Sprawcy wypadku nie ustalą - zdecydowała Krysia po szczerej rozmowie z Ireną.

Irena domyśliła się, że to z Krzysztofem jej przyjaciółka zaszła w ciążę. Opowiedziała Krysi wszystko o wypadku. Obie miały pewność, że to on potrafił Romka i uciekł. Nie udzielił pomocy, nie zainteresował się, czy żyje.

- Krysiu. On nie ma skrupułów. Do szpitala przyszedł, żądając, żebym dała mu alibi. Zeznał na policji, że byliśmy w domu i świętowaliśmy naszą rocznicę. Nie zgodziłam się. Zagroził, że bym nie puściła pary z gęby. Ja się nie boję. Jestem zdecydowana iść na policję. Ty zdecyduj - zostawiła decyzję Krystynie.

Irena, znając Krzysztofa i stanowisko Romka, na miejscu przyjaciółki nie ryzykowałaby.

- Gdy zeznasz, jest szansa, że tego niedoszłego zabójcę wreszcie dopadnie sprawiedliwość. Romek dostanie odszkodowanie. I tak powinno być, ale... - Krysia przerwała i z przerażeniem spojrzała na Irenę. - Mnie też dopadnie! Prawda!?! - krzyzczała. - Stracę męża. A moje dziecko obu ojców! Tego, który go

nie chciał, i tego, który go pragnął. - Podeszła do Ireny. - Błagam cię. Nie mów nic, że cokolwiek wiesz. Nawet, gdyby policja trafiła do ciebie. Proszę. - I zaczęła szmatywnie szlochać.

- Krysiu? O czym mam zapomnieć? - spytała ze świetnie udawanym zdziwieniem Irena, obejmując ją. - Po tym wypadku moja głowa szwankuje - mówiła, pocierając czoło ręką. - Pamiętam wszystko, ale dopiero od momentu, gdy super przystojny lekarz, oglądając moje kolano, patrzył mi głęboko w oczy. A ty?

- Wiesz, że ja też. Z tą różnicą, że ten sam lekarz we mnie dojrzał tylko ofiarę wypadku.

Krystyna przystała na propozycję Wieśka. Pusty lokal po kwiaciarni, przylegający do „Saloniku urody” kupiła Zosia. Razem zrobiły remont. Czynsz i wszystkie opłaty będą pokrywały wspólnie. Krystyna dokupiła na kredyt nowe urządzenia, żeby rozszerzyć gamę zabiegów. Zatrudniła dwie kosmetyczki. Zosia manicurzystkę i pedicurzystkę. Klientek przybywało, ich zyski powoli, ale systematycznie rosły, miały powód do pełnej satysfakcji i zadowolenia.

Wiesiek jak skamieniały...

Z sądu Wiesiek wyszedł o trzeciej z zamiarem pojechania prosto do mieszkania Zosi. Otwierając drzwiczki do samochodu, odebrał połączenie.

- Wiesiek, Grzesio jest u kolegi. Będzie do wieczora. Przywiozą go już po moim powrocie. Masz wolne popołudnie - powiedziała go jednym tchem i nagle zamilkła.

- Zosiu? Jesteś? Zosiu? - pytał zaniepokojony, słysząc dziwny, stłumiony dźwięk, który po jego pytaniach przerodził się w głośny chichot Zosi.

- Jestem. Poczekaj - prosiła. - Muszę się odpowiednio nastroić - mówiła, śmiejąc się bez przerwy. - Mam newsa. Usiądź, żebyś nie zemdlał z wrażenia! - poradziła, krzycząc entuzjastycznie.

- Siedzę w samochodzie. Uspokój się i mów. Tylko wolniej - poprosił zmęczonym głosem Wiesiek. Miał tego dnia ciężki dzień w sądzie. Przydałaby się jakaś odskocznia. Słyszając jej rozbawienie, oczekiwał dobrej wiadomości.

- Będziesz miał braciszka albo siostrzyczkę. Co byś wołał? - Zosia piała z radości.

- Możesz mówić jaśniej? - poprosił tym razem bardziej zdecydowanie. Przez moment przeraził się, że Zosia jest w ciąży. Tylko przez chwilę. Przecież nie z nim. Nie uprawiają seksu od dawna.

- Twoja ukochana macocha jest w ciąży. Właśnie się dowiedziałam - podzieliła się nowiną, wypowiadając słowa tak szybko, jak tylko mogła je z siebie wyrzucić.

- Możesz powtórzyć?! Wolniej! - krzyknął i wyprostował się w fotelu, zasuwając jednocześnie szyby w samochodzie. Gwar uliczny zagłuszał słowa Zosi. Dalej nie był pewien, czy dobrze usłyszał.

- Moja siostra Ula i twój ojciec będą mieli dziecko - wysyła-bizowała przesadnie wolno i bardzo dobitnie. - Wieczorem mają dzwonić do ciebie. Obiecałam, że nie powiem, ale nie mogłam wytrzymać. - Słowa znów zlewały się w jedno. - Tak się cieszę. Ze względu na Ulę. Proszę siadać. Już idę. - Te słowa wypowiedziała swoim zwykłym, spokojnym głosem do klientki. I znów radośnie do niego: - Tak się cieszę. Skaczę z radości. Muszę kończyć. Pa.

Przez długą chwilę Wiesiek siedział jak skamieniały i wcale nie z powodu tego, co usłyszał. Zaskoczony był sobą. Dlaczego nie brałem tego pod uwagę? Dlaczego myślałem tylko o ojcu? - Te pytania nasunęły mu się jako pierwsze.

Ojciec był odpowiedzialnym facetem. Wieśka namawiał na ożenek i potomstwo. Mówił: „Synu, ja jestem za stary. Dla ciebie ostatni dzwonek. Jako dziadek sprawdzę się. Mam kondycję, żeby pograć z wnukiem w piłkę”.

Wiesiek rozmawiał z ojcem na temat Uli już po jej zatrudnieniu jako opiekunki do dziadków.

Dowiedział się, że to pomysł Uli. Zobaczyła w ojcu złotą rybkę i pełna nadziei poprosiła, żeby spełnił jej życzenie: „Chce popłynąć daleko, jak najdalej. Pana rodzice mnie lubią. Ja ich. Proszę mnie zatrudnić do opieki nad nimi. Dla mnie to przepustka do innego świata, szansa na ciekawe życie”.

Swoje obowiązki w stosunku do jego dziadków wypełniała z uśmiechem i oddaniem. Wkrótce traktowali ją jak członka rodziny. Ula nie szukała towarzystwa rówieśników. Lubiała słuchać z ojcem muzyki, rozmawiać, z czasem zaczęli razem wychodzić. Oboje lubili kilometrowe spacery. Ojciec oprowadzał ją po mieście, pokazywał zabytki, mówił o architekturze, historii miasta. Spędzali ze sobą coraz więcej czasu. Ula pomagała mu w kancelarii, żywo interesując się jego pracą. Po śmierci babki ojciec zatrudnił ją w kancelarii, dzięki temu zaczęła całkiem nieźle zarabiać.

Po jakimś czasie przyznał się Wieśkowi: „Synu, pokochałem Ulę wbrew logice, rozumowi, wiekowi”.

Wiesiek nie był zdziwiony. Nie można w żadnym wieku oprzeć się jawnemu zachwytowi, zapatrzeniu, zaśłuchaniu, podziwowi drugiej osoby. Jest jeden wyjątek od tej zasady. Nie zadziała powyższe, gdy zachwycona, zakochana w mężczyźnie kobieta jest w wieku jego matki. Rozmawiali o seksie, rozanielony ojciec tłumaczył mu:

- Synu, ona nie kocha się ze mną i ja o tym wiem. Czuję to - potwierdził szczerem, zadowolonym spojrzaniem.

- W łóżku jest super i wiem, że nie tylko mnie - zapewniał z widoczną męską dumą.

- Chcesz powiedzieć, że Ula jest wyrachowana i chodzi jej tylko o pieniądze? I to cię cieszy? - spytał niepewnie Wiesiek zdezorientowany szczęśliwą miną ojca.

Znał się na ludziach. Uważał, że ta dziewczyna naprawdę pokochała jego ojca. Nie rozumiał, dlaczego obiektem jej uczuć stał się mężczyzna w tak dojrzałym wieku. Jednak pewny był, że nie kierowała się niskimi pobudkami.

- Jakimś cudem zobaczyła we mnie swego filmowego idola - wyjaśniał ojciec z zachwyconym wyrazem twarzy.

- Ile razy obejrzymy film z jej ukochanym aktorem, tyle razy w łóżku czuję się trzydzieści lat młodszy - wyznał, młodziejąc w oczach. - Widzisz, synu, w moim wieku trudno być zazdrosnym o filmowego amanta. Ula przytula się do mnie, śpi ze swoim marzeniem, a ja dziękuję losowi za wspaniałą podarunek u schyłku życia.

Ojciec nie chciał się żenić: „Niestety, za duża różnica wieku, żebym się z nią związał” - powiedział z żalem synowi. Wiesiek spytał go: „Boisz się reakcji twojego środowiska?”. Ojciec spojrział na niego jak na przybysza z innej planety i po chwili wykrzyknął: „Co mnie obchodzi ludzie!? Jej nie chcę zmarnować życia. Ula jest taka młoda. Będzie chciała zostać matką. Ja na ojca już się nie nadaję”.

Wiesiek nie tylko Ulę zaakceptował, ale i był pełen podziwu dla jej podejścia do wszystkiego, co nazywała „swoim przepisem na Uli szczęście”.

Jeszcze szybciej zdanie zmienił jego ojciec. Ula przekonała go, zakładając spiralę, że nie myśli o dziecku. Twierdziła, że nie dla niej pieluchy. Ona chce żyć swobodnie. Wiesiek poznał już na tyle Ulę, że wierzył jej. Większość kobiet przed trzydziestką nie chce dzieci. Ona nie miała nawet dwudziestu pięciu. W rozmowach z

nim dziwiła się Krystynie. „Wiesiu, rozumiem, że chcą mieć dziecko. Ale teraz? Po co? Niech skończą spłacać kredyt. Staną na nogi. Powinni poszaleć. Tyle wspaniałych rzeczy można robić. Takie możliwości. Powinni to wykorzystać. W ostateczności za parę lat wejść w nieprzespane noce z powodu płaczu dziecka”.

Dawała za przykład Zosię. Siostra była jednotematyczna. Grzesio? Grzesio! Grzesio. Wszystkie uczucia - od euforii do rozpacz - wywoływały godziny, dni, miesiące życia synka.

Ula przyznała się Wieškowi, że ich babskie spotkanie w dniu wypadku skróciła, nie mogąc dłużej słuchać o mdłościach i apetytach ciężarnych. Zosia z Krysią nadawały na jeden temat. W chwili, gdy zeszyły na porody, Ula zapłacała i wstała, mówiąc, że boli ją głowa. Poprosiła, żeby już wyszły.

- Wiesiek, gdybym wytrzymała, nie doszłoby do wypadku. Rozumiem, że los mnie pokarał za egoizm i kłamstwo. Zafundował mi prawdziwy ból głowy. Ale dlaczego również im?

- Przesadzasz. Zresztą skąd wiesz? Może gdybyście pojechały później, też byłby wypadek. Z groźniejszymi skutkami. Chcąc się obwiniać, zawsze można znaleźć powód.

- Synku! - zareagowała pieszczotliwie Ula i pogłaskała go po głowie. - Tak się cieszę, że wreszcie to zrozumiałeś. Teraz już tylko wyrzuc tę swoją obietnicę daleko za siebie.

W żartach zawsze tak go nazywała. On ją „macochą” albo „mamušką”. Od chwili, gdy chichocząc, opowiadała im rozmowę ze swoimi rodzicami. Tata z mamą zastanawiali się, kto jest kim w tej dziwnie skoligaconej rodzinie. Zięć mógłby być prawie ojcem teścia. Macocha wygląda na córkę pasierba. Zosię większość brała za siostrę Grzesia. Babcię uważano za matkę wnuka. Poplątanie z pomieszaniem.

Wiesiek uruchomił silnik i pojechał prosto do domu. Powinien wykorzystać wolny czas na załatwienie paru spraw na mieście. Pójść na obiad. Ale stracił apetyt i chciał jak najszybciej znaleźć

się w domu. Wszedł do mieszkania. Nalał sobie lampkę koniaku. Wypił i zadzwonił do ojca.

- Tato, czy o Uli to prawda?

- Tak. Ula jest w drugim miesiącu ciąży - potwierdził ojciec głosem odmłodniałym o dwadzieścia lat.

- Tato, w twoim wieku? Pamiętasz, co mówiłeś? - przypomniał podenerwowanym głosem Wiesiek, spodziewając się odmiennej reakcji.

- Synu. Ty widocznie już nie możesz. - W słuchawce usłyszał szczerzy śmiech ojca, któremu wtórowała Ula. - Ja jeszcze mogę. - Oprócz wyraźnie ucieszonego ojca, Wiesiek usłyszał potwierdzającą jego słowa Ulę. Po chwili ojciec dorzucił niespodziewany argument. - W dodatku nie mogłem takim ciężarem obarczyć Grzesia.

- Jakim ciężarem? - Nie zrozumiał i dalej nie chciał uwierzyć, że to przemyślana decyzja.

- Synu! Słyszę, że jesteś głupio zdziwiony. - W głosie ojca wyczuł złość. - Ród Kowalskich musi przetrwać. Wystarczy ci taki powód?

- Wiesiu, myśmy świadomie się zdecydowali. Razem - wyjaśniła Ula, poważniejąc. - To nie wpadka. Ja nie oszukałam twojego ojca, a mojego męża. Wierzysz mi?

- Wierzę. Przepraszam, zareagowałem pod wpływem pierwszych emocji. Gratuluję. - Stonował głos, żeby zabrzmiało szczerze. Nie był pewny, czy mu się udało.

- Trzeba było pytać wprost! - krzyknął ojciec znów radośnym głosem. - Jak mogłeś tak ocenić Ulkę? I ty mówisz, że ją znasz? - oburzył się. - Nie spodzie... - Wiesiek usłyszał trzaski i po chwili Ulę. - Wiesiek. Jutro pogadamy dłużej na skype'ie. Całujemy cię. Narka - zakończyła rozmowę.

Odstawił koniak do barku. Wyjął butelkę wódki i kieliszek. Po

chwili zamienił go na szklaneczkę. Nalał i wypił jedną po drugiej. Usiadł na fotelu, w jednej ręce trzymając szklanę, w drugiej butelkę.

Myślał o Uli. Zaprzyjaźnili się, rozmawiali szczerze na wszystkie tematy. Nie czuł różnicy wieku. Rozumieli się, w rozmowach wprost dopytywali o przesłanki, którymi w życiu się kierują. Przyznał się jej, że nie rozumie jej uczuć do jego ojca.

Z psychologicznego punktu widzenia nie było żadnych podstaw. Miała kochającego ojca, który interesował się córkami, uczestniczył czynnie w ich życiu. Rozumiał je i kochał. Nie skrzywdził jej rówieśnik, nie przeżyła zawodu miłosnego.

Ula przyznała szczerze:

- Na początku widziałam w twoim ojcu dwie fascynujące zalety. Jedna - podobieństwo do mojego filmowego idola, druga - niespodziewana szansa. W ogóle nie myślałam o nim jako o facecie. Był tylko symbolem lepszego świata. Poznałam go bliżej. W każdej sytuacji i wobec każdego, bez względu na stanowisko czy status materialny, zachowywał się tak samo.

Pomału stawał się moim guru. Wprowadzał mnie w świat, którego nie znałam. Mobilizował i pomagał zrozumieć muzykę, literaturę, sztukę. Traktował mnie jak równą sobie, nie zwracając uwagi na mój wiek, wykształcenie i braki w obyciu. Przy nim poczułam się docenioną, ważną, stojącą w tym samym szeregu kobietą i człowiekiem. Wyleczył mnie ze wszystkich moich skrywanych kompleksów z dzieciństwa.

Kochałam rodziców, lecz zawsze wzdrygałam się na widok siorbiącego ojca czy wściekałam na unізoną postawę mamy przy byle urzędnicze w urzędzie. Mamie zależało tylko na tym, żeby było czysto i zdrowo. Nie dbała o siebie tak jak matki moich szkolnych koleżanek. Nie używała kosmetyków, nie chodziła do fryzjera. Ojciec poważnie nam tłumaczył, że jemu podoba się jej

twarz, a nie jakaś sztuczna maska na jej twarzy. Kochałam ich, ale widziałam, że różnią się od rodziców tych koleżanek i kolegów, którzy mi imponowali.

Dla nauczycieli i większości uczniów zawsze byłam tą z zabitej wiochy - bez telefonu, komputera, kontaktu ze światem. Wiesz, że w zimie nawet pogotowie powiadomione przez sołtysa miało trudności z dojechaniem? Miałam bujną wyobraźnię i w śnieżne zimy modliłam się, żeby rodzicom czy nam nic się nie stało, bo byłam pewna, że umrzemy, zanim nadejdzie pomoc.

Zosi to nie przeszkadzało. Ona lubiła doić krowy, karmić świnię i pomagać w polu. Moja młodsza siostrzyczka żyła przekonana, że nic złego stać się nie może. Rodzice nie pozwolą. Kiedy ich nie było, też się niczego nie bała. Wtedy ja byłam gwarantem pewności. Wiedziałam, że również mama mi ufa i starałam się, jak umiałam. To chyba było głównym powodem, że dojrzewałam o wiele szybciej niż moje rówieśniczki. Z równolatkami nie miałam wspólnego języka. Jeszcze w gimnazjum spodobał mi się chłopak, który był w ostatniej klasie liceum. Z nim dużo rozmawiałam o tak zwanym wielkim świecie. Do czasu, gdy jemu już nie wystarczały same słowa. Okazał się podłym szczeniakiem. Zemścił się w najprostszy sposób. Długo się ze mnie nabijali. Dostałam nauczkę, żeby z wyrosniętymi gówniarzami się nie zadawać.

Czułam się brzydkim kaczątkiem, które przez przypadek znalazło się tu i teraz w tym właśnie miejscu. Marzyłam tylko o chwili, w której pofrunę daleko i odnajdę swoje miejsce na ziemi. Znalazłam je przy twoim ojcu. Pokochałam go za spełnienie moich tęsknot i pragnień, dla których wiek nie ma żadnego znaczenia.

- Ula. A seks? - spytał wprost Wiesiek.
- Sam mówiłeś, że „kocham i trzy minuty seksu to nie jest miłość”. Żaden młody facet nie dałby mi tyle czułości, pieścizot,

nie poświęcił tyle czasu na sprawienie satysfakcji kobiecie, co twój ojciec - roześmiała się swawolnie. - Synku. Na takie tematy z macochą! To nie przystoi! - krzyknęła z udawanym zgorzeleniem i oburzeniem...

Alkohol zaczął działać. Z Wieśka schodziło powietrze. Myśli zaczęły się plątać. Dostrzegł pozytywną stronę. Jeżeli los pozwolił ojcu zostać jeszcze raz młodym tatą, to może i jemu da szansę na zostanie mężem. Wiesiek z westchnieniem podsumował swoje dotychczasowe osiągnięcia. Ojcem zrobił się sam, bez udziału kobiety. Roześmiał się głośno.

- Losie, pomóż! - krzyknął, patrząc w kierunku drzwi. - Pozwól, żeby weszła, obiecuję, że się ożenię.

Nie zauważył, że szklaneczka wypadła mu z ręki. Przytulił butelkę i wreszcie zasnął.

Zosia ciekawa, czy skojarzy...

Zosia zamknęła drzwi za ostatnią klientką. Była bardzo zmęczona. Dekoracyjne pomalowanie paznokci według indywidualnego wzoru to minimum półtorej godziny pracy w pochylonej pozycji. Dalej odczuwała skutki wypadku. Zajął się sprzątaniem, myśląc o synku. Grzesio był bardzo podekscytowany. Pani zaproponowała, żeby jego rysunki wysłać na międzynarodowy konkurs dla dzieci ze szkół podstawowych. Zosia obiecała synowi, że przyjdzie wcześniej i wybiorą we trójkę. Usłyszała pukanie w szybę. Obejrzała się i zaskoczona otworzyła Wieśkowi.

- Miałeś być w domu, z Grześkiem. Coś się stało? - jak zwykle reagowała zaniepokojeniem na niespodziewane spotkanie.

- Nic złego, wprost przeciwnie - uspokoił ją. - Umówiłem się z artystą plastykiem. Za dziesięć minut u ciebie w domu. Pośpiesz się, jedziemy - ponaglał, gasząc światła.

- Grzesio wie? Skąd go znasz? - pytała, wyłączając sprzęt z prądu. Po chwili zaczęła sprawdzać każdą wtyczkę po kolei.

Bała się pożaru.

Miała wtedy parę lat, a jednak do dziś wyraźnie pamiętała burzę, grzmoty, błyskawice. Krzyk ojca: „Pali się”. Mama wyciągnęła ją z łóżeczka. Tata Ułę. W piżamach wynieśli je i posadzili na ziemi pod bramą. Stodoła stała w ogniu. Zbiegli się sąsiedzi i każdy gasił, czerpiąc wodę wiadrami i chlując na ogień. Stodoła spaliła się doszczętnie. Wszyscy byli szczęśliwi, że ogień nie rozprzestrzenił się dalej. One zmarznięte, wtulone w siebie, zapłakane i przerażone siedziały zapomniane przez rodziców. Zosia pamięta słowa siedmioletniej siostry: „Obronię cię, nie bój się. Przy mnie nic złego ci się nie stanie”. Ula od zawsze jej matkowała, w czasie, gdy rodzice byli w polu. I tak było do dziś.

- Do Grzeška dzwoniłem. Ten malarz to syn jednego z moich kolegów adwokatów. Skończył Akademię Sztuk Pięknych cztery lata temu. Pomoże nam wybrać i ewentualnie, jeśli się zgodzisz, będzie miał prywatne lekcje z Grzesiem - informował Wiesiek, czekając, aż wszystko sama posprawdza. Znał ją, musi to zrobić osobiście i jeszcze przed wyjściem powtórzyć na głos: „Sprawdziłam dokładnie”...

Grześ porozkładał wybrane przez siebie rysunki, gdzie tylko mógł. Na półkach, kanapie, krzesłach, nawet na parapecie. Był rozgorączkowany i co chwila spoglądał na zegarek. Zosi udzielił się nastrój syna. Wiesiek uspokajał obydwójce. Słyszac dzwonek, cała trójka znalazła się przy drzwiach.

- Dzień dobry. Kowalski Adam - przedstawił się stojący w progu mężczyzna. - Byłem umówiony. To pewnie o rysunki tego młodego człowieka chodzi - powiedział i stanął w miejscu,

zdezorientowany ich reakcją. - Ojciec mnie z państwem umówił - wyjaśnił. Nie rozumiał ich zaskoczenia, po chwili roześmiał się porozumiewawczo. - Chodzi o zbieżność nazwisk. Ja już się przyzwyczałem do spotykania krewniaków. Mam dwóch kolegów i jedną koleżankę noszącą to popularne nazwisko. Chcemy założyć w necie stronę Kowalskich.

- Przepraszam za swoją reakcję - usprawiedliwiał się Wiesiek. - Pana ojciec ma na nazwisko Olczak, stąd moje zaskoczenie.

- To mój ojczym. Zawsze mówi o mnie „syn” i czasami jest małe nieporozumienie. Mnie miło jest prostować - stwierdził z zadowoleniem i czułością w głosie.

Po chwili przywitał się z Zosią, przyglądając się jej uważnie. Ona odwzajemniła się również dociekliwym spojrzeniem. Zaproponowała kawę i wszyscy przeszli do pokoju. Pan Adam, widząc wpatrzony w siebie spojrzenie chłopca, od razu zaczął oglądać wystawione prace.

- Syn dawno uczy się rysować? - spytał, biorąc kolejny rysunek do ręki i przyglądając mu się dłużej.

- Przed wakacjami był parę razy na zajęciach plastycznych. Od początku roku szkolnego chodzi dwa razy w tygodniu. W pobliskiej szkole prywatnej prowadzą warsztaty dla dzieci z pierwszych i drugich klas podstawówki - wyjaśniła podenerwowana Zosia.

Pan Adam podszedł do Grzesia i podał mu rękę.

- Witaj, kolego. Masz talent. Umiesz patrzeć i wiernie odtworzyć to, co widzisz. Próbowaleś rysować węglem?

- Węgla babcia nie pozwalała dotykać, bo od razu byłem brudny - cicho odpowiedział chłopiec, niezbyt pewien, czy ten pan malarz pyta poważnie.

- Czy temat tego konkursu jest bardzo konkretny? - zapytał pan Adam, ukrywając uśmiech.

- Nie. Dowolny. Wychowawczynie mówiła tylko, że preferują tematykę ekologiczną. - Zosia otworzyła teczkę z rysunkami, których syn nie wyjął. - Co pan myśli o tych? - podała i razem przeglądając, roześmieli się.

- Co was rozśmieszyło? - zainteresował się Wiesiek, patrząc na te same rysunki.

- Mamo! Tych nie! - Grześ patrzył z przerażeniem na matkę. - Dzieciaki by się ze mnie śmiały.

Zosia i pan Adam kiwali głową na tak. Wiesiek zdecydowanie poparł syna, co podkreślił obejmując go ręką za ramiona i przytulając do siebie.

- Widzę, że realistycznie to namalował - powiedział, oceniając rysunek. - Ale to jakieś odpady, porozrzucane przez wiatr zwykłe śmieci.

- I przez zwierzęta. Namalowałem to w naszym lesie. Wstrętnie to wyglądało - doprecyzował Grześ, z wykrzywioną miną zatykając sobie nos.

- Kolejne, te będą najlepsze. Ten piękny las, z paprociami, skrzypami, trawą, mchem, oświetlony słońcem paśnik i te walające się śmieci najlepiej nadają się na konkurs. - Pan Adam podszedł do chłopca i powiedział: - Może porozmawiamy sami, jak koledzy, którzy pasjonują się tym samym.

Mały z dumą popatrzył na rodziców i szczęśliwy zaprowadził gościa do swojego pokoju. Po godzinie wyszli zaprzyjaźnieni, zgodni, że to najlepsze propozycje, i umówieni na następne spotkanie.

- Panie Adamie, omówmy warunki - zaproponował Wiesiek. Ustalili godziny, termin i wynagrodzenie. - Zosiu, podaj panu numery kontaktowe do siebie.

- Proszę - podała mu wizytówkę, ciekawa, czy teraz skojarzy.

- Zofia Zielińska - spojrział na nią. - Zatrzymała pani nazwisko panięskie?

- Nie wyszłam za mąż - uśmiechnęła się. - Poznałam pana, nie byłam pewna, czy pan mnie pamięta. - Widząc minę Wieśka, wyjaśniła: - Pan Adam był wykładowcą na kursie wizażu. On jeden, nas mniej więcej trzydziestka.

- Pani Zosia była jedną z najzdolniejszych kursantek. Syn odziedziczył talent po mamie - skomplementował pan Adam i pożegnał się.

Irena poprzednich nie pytała...

- Padam, nie pójde jutro do szpitala - wysapał Bogdan, rzucając się z butami na tapczan.

- Jestem wykończona. Nie pójde jutro do szkoły - poskarżyła się Irena, siadając obok leżącego Bogdana. - Jak ci minął dzień? - spytała, całując go w policzek.

- Odchodzę ze szpitala. Przechodzę do prywatnej kliniki - oznajmił zdecydowanym głosem Bogdan. Patrząc na nią, zaczął ciężko wzdychać i robić zbolate miny.

- Od przyszłego roku koniec z tym. Zmieniam pracę - powiedziała stanowczo Irena, kładąc się obok (bez butów) i przytulając się.

- Koniec z tym. Koniec z tym - powtarzali razem, a ona odliczała na palcach do dziesięciu. Po czym śmiejąc się serdecznie, wstali i poszli do kuchni szykować kolację.

Bogdan był pasjonatem swojej specjalizacji. Nie wyobrażał sobie pracy poza szpitalem. Irena jak zwykle już pod koniec sierpnia czekała na rozpoczęcie roku szkolnego. Znów z nadzieją, że jeszcze rok, dwa i nowa reforma szkolnictwa przyniesie oczekiwane przez większość młodszych nauczycieli zmiany. Wyrzuci z programu zbędną balast, kładąc większy nacisk na rozwijanie

kreatywności uczniów. Irenie marzyła się realna możliwość wyboru lektury i omówienia jej z uczniami przez nauczyciela. Ona zaczynałaby od tej książki, którą aktualnie interesują się uczniowie i na niej skuteczniej uczyła wszelkich prawidłowości języka ojczystego. Interpretacji i wyszukiwania sensu, emocji, ukrytych podtekstów i wprost wyrażania swoich uczuć. Irena chciała efektywnie uczyć, a według niej podstawą była niewymuszona, a jak najbardziej możliwa współpraca ucznia. Nie raz w dyskusjach w pokoju nauczycielskim próbowała przekonać do swojej opinii grono nauczycielskie.

Małolaci interesują się tym, co dziś i jutro. Omawiając z chętnym uczniem dziś, można wiele nauczyć o wczoraj. Uczeń XXI wieku, mając „czarodziejskie internetowe buty”, prowadzony za rączkę od prehistorycznego przedwczoraj, przez wczoraj - znużony klika i robiąc „siedmiomilowy krok” znajduje się w fascynującym świecie dalekiego jutra.

- Kochanie, o czym myślisz? - przywoływał ją Bogdan, machając ręką przed jej oczyma. - Wróc.

- O wszystkim i o niczym - uśmiechnęła się. - Jestem, pomidory same się nie kroją.

- I jak was zrozumieć? - Wznosząc oczy, szukał odpowiedzi na suficie. - Za grosz jednoznaczności.

- U was ździebełka chęci, żeby chociaż próbować nas zrozumieć. - Lubiła się z nim przekomarzać, wiedząc, że nie ma w tym, co Bogdan mówi, cienia złościwości.

- Irenko! - Popatrzył na nią śmiejącymi oczami. - U was nawet „tak” i „nie” wiele wyraża.

- U was? Przeprowadziłeś badania ze statystyczną grupą ankieterek?

- Przedwczoraj powiedziałaś: „Dziś nie”, a potem miałaś pretensję w oczach, że do późna oglądałem telewizję. Wczoraj, wyszeptowałaś czule: „Tak, chcę”, a myślami byłaś daleko. - Bogdan

mówił spokojnie, ale przymrużone oczy świadczyły, że nie mówi obojętnie.

- To proste, ja jestem mieszanką „tak”, „nie” i „może”. - Widząc, że spojrzeniem domaga się wyjaśnień, usiadła naprzeciwko i patrząc mu w oczy, mówiła: - Jestem koktajlem emocji z pytajników, wykrzykników i malutkiej domieszki kropek. Taki skład skutkuje ciągłym uczuciem pragnienia. Ty jesteś krystalicznie czystą wodą. Nie pytasz, nie krzyczysz, nie potrzebujesz jasności. Gasisz pragnienie i śpisz spokojnie, nie myśląc o jutrze - tłumaczyła, zdając sobie sprawę, że używa niezrozumiałego dla płci męskiej języka.

Tym razem nie chciała jednoznacznie, tak jak lubił, bez podtekstów i domysłów. Do niedawna była całkiem szczęśliwa, że Bogdan konkretnie mówi, czego oczekuje, chce, na co ma ochotę i że ją prosi o to samo. Super sposób na rozumienie się i żadnych wątpliwości. Tylko że dobry na dzień dzisiejszy, w ostateczności na jutro i pojutrze. Wśród przyjaciół, wspólnych lokatorów, ewentualnie ludzi chwilowo skazanych na wspólne przebywanie w swoim towarzystwie.

Niemówiący, co dalej. Tego tematu nie poruszała. Irena poprzednich nie pytała, Bogdana bardzo by chciała, ale wprost nie potrafi. Jak? „Ożenisz się ze mną?”, „Planujesz dzieci?”, „Chcesz bym była matką twojego dziecka?”, „Bierzesz pod uwagę ślub?”.

Teoretycznie rozważała możliwość zadania tych wszystkich pytań. Odpowiadała sobie wykrzyknikami. „Nie chce się żenić!”, „Chce, ale nie ze mną!”, „Planuje dzieci, kiedyś!”.

Wtedy, gdy on jeszcze będzie mógł być ojcem, ona matką już nie!

Stawiała tylko dwie kropki. Ona chce. Boi się zapytać. We wszystkim innym starała się być jednoznaczna i coraz częściej nie potrafiła.

Zosia słyszy pukanie

Po wyjściu Adama i Wieśka Zosia położyła zmęczonego Grzesia spać bez kolacji. Z nadmiaru wrażeń ślaniał się na nogach. Ona wprost przeciwnie - coraz mocniej stawała na nogach w takt odgłosu, który cały czas słyszała. Wiedziała, że nie zaśnie, nie chce zasnąć, nie może zasnąć - bo wówczas nie słyszałaby tego, co cały czas słyszy. Bardzo cichutko usłyszała to w chwili, gdy zobaczyła Adama w progu swojego mieszkania. Głośno - zamykając drzwi za nimi dwoma, gdy wyszli, mówiąc „do widzenia”. Przekręcając zamek w drzwiach, usłyszała wyraźny dźwięk pukania wraz ze słowami: „Otworzysz?”, „Otworzysz!” „Otwórz”.

Otworzyć?

Zosia dojrzała już na tyle, żeby spojrzeć na siebie z dystansem. Podpisać samej sobie usprawiedliwienie z powodu dwudniowej nieobecności rozumu, wybaczyć sobie i, co najważniejsze, podziękować losowi za synka.

Świeżo upieczona maturzystka z dowodem osobistym potwierdzającym dorosłość marzyła o jak najszybszym spotkaniu wielkiej miłości. Takiej, jaką znała, ze wszystkimi emocjami towarzyszącymi bohaterkom z przeczytanych romansów. On rzuci okiem na nią, ona spojrzy na niego, obojgu zawiruje świat i zespoleni w miłosnym uścisku popłyną razem do siódmego nieba.

Otworzyć?

Panna z dzieckiem osłoniła się grubą i dużą tarczą przed strzałami amora. Zamknęła drzwi przed literackimi mrzonkami, a klucz wyrzuciła za siebie. Umiała już, patrząc - widzieć i słuchając - słyszeć, a to, co opowiadały klientki, utwierdzało ją tylko w słuszności tej decyzji: nie pozwolić sobie drugi raz samej się skrzywdzić.

Przypadkiem, tak na początku myślała, spotkała człowieka, który bez kamuflażu zaproponował jej część z siebie i uczciwie przedstawił warunki po stronie „ma” i „winien”. Nie miała prawa narzekać, ona również całej siebie nie mogła już dać.

Pasowali do siebie wyrzutami sumienia, z niewielką różnicą - on je miał, bo za mało dał, ona, bo dała za dużo.

Zrozumiała, że los podarował jej mężczyznę, z którym mogła być, uprawiać seks i czuć się na tyle dobrze, żeby jego odejście nie zabolowało. Obydwoje połączył strach przed skutkami miłości i bezpieczna, na zimno przekalkulowana umowa. Uczciwość, szczerłość, zaufanie i lojalność pomiędzy partnerami musi, przynajmniej powinno, skutkować dobrem. Zaakceptowała, zaparafowała wszystkie akapity ustnej umowy i podpisała się wyraźnie pełnym imieniem i nazwiskiem.

Później domyśliła się, że nie chcąc za wiele, obłaskawiła przeznaczenie dla swojego synka. Dostał ojca z pięćdziesięcioma procentami biologicznych genów i drugiego stuprocentowego biologicznie dziadka. Prawie babcia będzie go kochać bez przymusu również dlatego, że jest jej ukochanym siostrzeńcem. Godząc się na usynowienie Grzesia przez Wieśka, była całkowicie przekonana, że los dał szansę jej synkowi większą niż wielu dzieciom samotnych matek.

Przykro jej było, ale tylko trochę, z powodu ojca, który nie mógł ani zrozumieć, ani pogodzić się z jej decyzją. Tylko trochę, bo dokładnie, szczegółowo, dogłębnie, skrupulatnie, analitycznie przemyślała wszystkie za i przeciw.

Z chwilą, w której uznała, że z całą pewnością postąpiła słusznie, pożegnała się na zawsze z dawną sobą i stała się jedną z wielu - niezależną nie tylko finansowo, nowoczesną kobietą.

Zosia zdawała sobie sprawę, że daleko jej do wyemancypowanej kobiety, to znaczy takiej, która wpuszcza mężczyznę do swojego „ja” tylko wtedy, gdy ona ma czas i ewentualnie ochotę.

Zosia pozwalała Wieškowi wejść również wtedy, gdy to tylko on je miał i co gorsze wcale nie czuła się potem źle.

Otworzyć?

Od swoich klientek znała walory, jakie powinien spełniać mężczyzna, żeby dorównać wymaganiom wyzwolonej wreszcie płci żeńskiej, i podstawową wadę dzisiejszego osobnika płci męskiej.

Facet może nie potrafić naprawić kranu, od tego są wyspecjalizowani hydraulicy. Tym bardziej pralki, lodówki czy kontaktu. Można mu darować brak umiejętności zrobienia podstawowych zakupów, a nawet trudności z zarobieniem na nie.

Najgorzej, gdy nie potrafi najprostszej pod słońcem rzeczy - być kiedy trzeba subtelnym, delikatnym, romantycznym, a w odpowiedniej chwili przeistoczyć się w prawdziwego macho. Być sprinterem po zapraszającym esemesie kobiety i długodystansowcem w łóżku.

Dlatego prawdziwa kobieta XXI wieku musi wszystkiego po trochu brać od paru i nie ma szansy na pokazanie swoich wewnętrznych walorów.

Otworzyć?

Zosia, nawet gdyby chciała, nie mogła pozwolić sobie na bycie nowoczesną kobietą. Doceniała to, co los zesłał samotnej matce z nieślubnym synem. W pierwszym rzędzie przed kobietą stała matka, dla której najważniejszym było, żeby mężczyzna, który został ojcem jej dziecka, nie pokochał drugiej kobiety na tyle mocno, żeby żałować podjętej decyzji.

W duchu przyznawała, że nie dla niej manify, bo zbyt wiele z tego, czego domagają się jej uczestniczki, po prostu nie rozumiała.

Nie miała doświadczenia. Znała jednego faceta, Jacka, który w dodatku wcale jej nie wykorzystał, tylko spytał, czy chce. Chciała. Znała drugiego mężczyznę, Wieška, który jest uczciwy,

troskliwy i oddany. Ojciec to przecież nie mężczyzna, a jeżeli, to według mamy najwspanialszy na ziemi

Nie miała do czynienia z żadnym szefem, dyrektorem, prezesem. Nie poznała wrednych warunków polegających na popieraniu się szowinistycznych świń.

Szefem jest sama dla siebie, trudno samą siebie oskarżyć o wykorzystywanie, molestowanie, niedocenianie, nieawansowanie. Co najwyżej może mieć pretensje o nadmierne zaangażowanie, ale o to chyba żaden szef nie ma pretensji do kobiet.

Z lekcji biologii wiedziała, że w człowieku jest siedemdziesiąt procent wody. Według klientek w mężczyźnie jest tyle procent wad, a w pozostałych czasami trafia się coś godniejszego uwagi.

Kiedyś ślepo uwierzyła romansom, dziś już wie, że może uwierzyć tylko sobie. Tym bardziej, że wiele z jej klientek jest w związkach z tymi wyluskanymi dwoma, trzema procentami, a większość na wszelki wypadek ma już upatrzoną suknię ślubną.

Otworzyć!

Zosia zadzwoniła do siostry, nie patrząc na zegarek. Nieważne, która godzina, Ula może wyspać się rano, a Zosia nie może czekać, słysząc cały czas pukanie.

- Ula, nic się nie stało - odpowiedziała na pytanie brzmiące w zdenerwowanym „halo!”. - Rozbudź się i natychmiast odpowiedz, konkretnie, bez normalnych achów i ochów. Mów - zażądała Zosia, słysząc zaspany głos siostry.

- Może najpierw zadasz to niecierpiące zwłoki pytanie - warknęła Ula, ziewając do słuchawki.

- Mów, jakie wady ma twój, jako mężczyzna! - Zosia poczuła, że dostała wypieków. - Nie w łóżku!

- Zośka, a o swoich nie chciałybyś posłuchać? - spytała ironicznie Ula i wstając z łóżka uspokajała rozbudzonego męża: „Śpij, jest dopiero czwarta, Zosię naszło myślenie”. „To dobrze” - odpowiedział, przewrócił się na drugi bok i spokojnie zachrapał.

Ula ruszyła do kuchni zrobić sobie herbaty. Godzina i pytanie wskazywało, że pogawędka będzie długa i na trudny temat: „Czy warto być Ewą, jeśli Adam nie dorósł do raju?”

- Swoje znam i nauczyłam się je akceptować. Całą resztę z wadami wyrzucam do śmieci. Mów, bo to, co słyszę od klientek o ich facetach, powoduje tylko odruch wymiotny - wyrzucała z siebie Zosia, akcentując wypowiedź wydawaniem specyficznych dźwięków. I nie czekając na odpowiedź, z entuzjazmem dodała: - Ireny facet sam się scharakteryzował: „Zapominam o rzeczach nieistotnych, pamiętam o ważnych”. - Po głosie Zosi, można było poznać, że nie oceniała tej wypowiedzi pozytywnie.

- Całościowe traktowanie Ireny jako rzeczy nieistotnej to nie była wada. To dyskwalifikacja - wydała stanowczo werdykt Ula, chcąc uciąć temat poboczny. - Zosiu, wróćmy do tego, co powiedziałeś o wadach - przypomniała siostrze główny problem dzisiejszych rozważań. Starła się mówić poważnym tonem. - Przepraszam cię, ale właśnie mi się przypomniało i boję się, że zapomnę. Co zrobiłaś z tą ukochaną swoją spódnicą, co ma plamę, zaciągnięte nitki i dziurkę? Wyrzuciłaś!

- Ja o ważnych sprawach, ty o ciuchach - skwitowała Zosia. - To najlepsza moja spódnica. Super materiał, nie gniece się i skrojona jak na mnie. Miałam wyrzucić? Chyba bym zgłupiała! - Była oburzona na starszą siostrę. - Plamka i dziurka jest na podszewce, a nitki udało mi się przeciągnąć na lewą stronę. Jutro, to znaczy dziś, idę w niej na wystawę z Wieśkiem i Grzesiem. Ale ad rem. Czekam.

- Sama sobie odpowiedziałaś, siostrzyczko - odnotowała rozbawiona Ula. Wreszcie mogła się szczerze roześmiać. - Pomyśl chwilkę, ja muszę do łazienki. Zadzwoń za parę minut. - Rozłączyła się, chcąc dać czas siostrze i jednocześnie, nie urażając jej, przejąć koszt rozmowy na siebie. Odczekała osiem minut i zadzwoniła.

- Zrozumiałaś? Jeszcze chcesz pogadać?
- Tak - potwierdziła młodsza siostra. - Ze spódnicą jasne, a co z uciążliwymi wadami faceta?
- Jednak nie rozumiałaś - westchnęła z wyrzutem starsza siostra. - Zosia, facet to spódnica, jeśli ukochany, to na parę wad przymkniesz oko. Jasne?!
- Nie - zaprzeczyła Zosia, która chciała i musiała dokładnie wiedzieć. „Tak” skończyłoby rozmowę.
- Każdy ma inny próg wytrzymałości wad. Niektóre kochają same wady. - Mówiąc to, Ula usiadła wygodnie, podstawiając taboret pod nogi. - Ja mam czarodziejską wagę z szalkami, które same mierzą każdy rozmiar. Jedną na wszystko dobre, drugą na złe. Przeważa ta z zaletami. Wady traktuję z należytą im życzliwością i pobłażliwością. Dodają realności. Za nic nie chciałabym mieć za męża świętego.
- A jak ich przybędzie lub odkryjesz nowe? - dopytywała młodsza siostra, pesymistycznie nastawiona.
- Jak się tylko szalki zbliżają do równowagi, to znak, że ostatni moment na działanie. Rozumiesz!?! - A po chwili dodała: - Zośka, ja nie mówię o Wieśku. Wy to nie związek, tylko układ.
- A jak szalka z wadami zaczyna przeważać?
- A jak? A jak? - Ula przedrzeźniała siostrę. - Po co pytasz? Zrozumiałaś - skwitowała Ula, która już od dawna czuła, że przyjaźń z Wieśkiem i miłość synka wystarcza matce, ale kobiecie zaczyna doskwierać samotność. - Zosiu, tylko ty możesz dać sobie szansę. Siostrzyczko, już czas otworzyć drzwi i wpuścić przyszłość.
- Kocham cię, Uleńko! - Uszczęśliwiona Zosia powtórzyła swoje wyznanie miłości w paru tonacjach, z odpowiedzią do wykrzyknika głośnością. - Właśnie słyszę pukanie i dlatego zadzwoniłam.

- To kończ i szybciotko otwieraj. Ja też cię kocham - wyznała Ula nieobecnej już siostrze. Odłożyła telefon i w powietrze przesała siostrze całusa.

Bardzo chciała, żeby (według jej oceny) dużo, dużo młodsza siostra trafiła wreszcie na właściwą mieszankę z krwi i kości. Wiele godzin przegadały o tym, co ważne, co się liczy, o co warto walczyć i o czym nigdy, ale to nigdy nie można zapomnieć?!

Prawdziwa miłość jest ukryta w jego niewymuszonym „Odpocznij, ja zmyję”. W jej pocałunku w czółko i: „Obejrzyj mecz”, mimo że w torebce ma kupione niespodziankowe bilety do kina na ten wieczór.

W jego „Już idę ci kupić.”, na jej: „O kurczę, zabrakło mi...!”.

W jej : „Zaproś kolegów na mecz, przygotuję mniem mniem i się zmyję”.

W jego, tuż po wejściu do łóżka: „Ale jestem zmęczony” i odwróceniu się tyłem, i przysunięciu się do niej tak, żeby chociaż maleńkim kawałkiem ciała czuć ją przy sobie.

W jej „Nie chcę nic... i tylko mnie przytul” - i odwrotnie.

W jego zrozumieniu jej: „Dziś nie”, mimo że jego coraz bardziej chce - i odwrotnie.

W jej, po półgodzinnym przytulaniem niechceni, już zmęczonym przez jego chcenie: „Chodź”, potwierdzone ułożeniem ciała i ruchem rąk - i odwrotnie.

W patrzeniu na siebie.

W słuchaniu siebie.

W milczącym porozumieniu ze sobą, obok siebie, przy sobie.

W oddaleniu czującym obecność.

Podsumowały: Miłość to wspólne dostrzeganie najpiękniejszego odcienia szarości, zmienianie przerażającego huku pioruna w łagodny grzmocik, lodowatego powiewu zimna w przyjazne ciepło rodzinnego kominka.

Ula dodała: „Dzielenie na pół straszności, podwajanie uciech”.

Zosia po chwili zastanowienia przypomniała siostrze słowa mamy: „Wchodząc do kościoła, robimy znak krzyża i mówimy «amen», jako wyraz miłości do Boga”.

Razem wymyśliły swoją definicję miłości:

„Prawdziwa miłość jest w zwykłych, codziennych gestach i we wszystkim, co kryje najprostsze słówko: «my»,„.

Ula była spokojna o dzisiejszą Zosię, która już wie, jak mało istotne są pozory. Wiek, kolor włosów, oczu, wzrost, rozmiar bicepsów. Jak zafałszowany obraz daje wizerunek, wykształcenie, stanowisko, model samochodu i powierzchnia apartamentu.

Wie również to, co najważniejsze. Na - „ma” i „winien” - opiera się prowadzenie działalności, a nie związek dwojga kochających się ludzi.

Człowiek może uprawiać warzywa, ogródek, pole, sport. Uprawiać seks mogą tylko narządy płciowe z czysto fizjologicznych powodów.

Dwoje ludzi, których łączy miłość, kocha się tak po prostu, tak zwyczajnie - nadzwyczajnie.

Ula dostrzegła...

Ula już od jakiegoś czasu nie mogła porozumieć się z siostrą w realu. Zosia dzwoniła, rzucała jedno uniwersalne pytanko:

- Co u ciebie?

Ula opowiadała, od czasu do czasu, upewniając się:

- Jesteś?

Słyszała jakieś mruknięcie i dalej mówiła po raz enty o swojej radości, wspólnym z mężem oczekiwaniu, tym bardziej intrygującym, że nie chcą wcześniej znać płci dziecka. Mąż Uli z oczywistych powodów chciałby dziewczynkę, argumentując dyplomatycznie:

- Tylko dlatego, że będzie tak wspinała jak jej matka.

Ula w skrytości też wolałaby małą laleczkę, ale głośno przyznawała raczej mamie. Płec jest obojętna, najważniejsze, żeby było zdrowe.

Po prawie godzinnym monologu słyszała od Zosi niezmiennie:

- Cieszę się, pogadamy jutro. - I siostra rozłączała się.

Ula podpytywała siostrzeńca, co u nich słyhać? Grzesiek opowiadał o szkole i o swoim nowym przyjacielu. Koledze, wujku malarzu, który uczy go malować. Któregoś razu skarżył się na mamę, która również wróciła do malowania.

- Ciociu, wujek Adam musi dzielić swój czas na nas dwoje - mówił, współczując sobie. Nie przyznając się głośno, że trochę jest zazdrosny o dzielenie się zainteresowaniem mistrza.

Spytała Zosię, która powiedziała z obojętną miną:

- Troszkę korzystam przy Grzešku. Tak dla relaksu. - I szybko spytała: - Co u ciebie?

Ula była bardzo zaabsorbowana sobą, przygotowywała się skrupulatnie do roli przyszłej świadomej matki, ale w końcu usłyszała dzwoneczek alarmowy. U Zosi coś się dzieje! Tylko co?

Rozmawiała z mamą, która też zauważyła, że młodsza córka buja w obłokach.

- Uluś, niepokoję się, ale tylko troszeczkę, bo Zosia je, pije, jedynie duchem jest daleko. Przywiozła dwa swoje obrazy, śliczne. Pełne radości i życia. Nie musimy się martwić. Fruwa, ale w szczęśliwe miejsca - uspokajała mama.

Po rozmowie z mamą ciekawość Uli osiągnęła szczyt. Do tej pory wszystko sobie mówiły, nie miały sekretów. Podpytała Wieśka. Powiedział:

- Wszystko jest normalnie. Grześ nie sprawia żadnych wychowawczych kłopotów. Zosia ma coraz większe dochody, rozszerzyła działalność na makijaże ślubne. Pomysł dekoracji

paznokci rysunkiem kwiatków ze ślubnych bukietów albo paznokci na serdecznych palcach portrecikami młodych spodobał się i ma już zaklepane terminy na początek przyszłego roku - relacjonował dobrze jej znane fakty.

Przyparła go do muru w rozmowie telefonicznej.

- Ula, naprawdę u niej wszystko dobrze - wzdychał ciężko raz po razie. - Zapytaj wreszcie, co u mnie? - dopominał się tonem małego, niedopieczzonego chłopca.

- Co u ciebie, synku? - spytała tak, jak prosił.

- Nie śmieję się z pasierba. Jestem bardzo zazdrosny- przyznał i westchnął rozpaczliwie.

- O Zosię? - To, co usłyszała, zaskoczyło ją. Jeszcze niedawno Wiesiek zapewniał, że układ z Zosią jest jasny dla obu stron i żadne nie bierze pod uwagę zmiany.

- Dlaczego miałbym być o nią zazdrosny? - szczerze się zdziwił. - Jestem zazdrosny o małego - wyjaśnił.

- O miłość syna do matki? Kompletnie ci odbiło? Piłeś coś? - zareagowała spontanicznie.

- Właśnie piję, ale dopiero pierwsze piwo. Nie do matki. Do tego, którego sam narailem, zaprosilem i jeszcze płacę za jego czas spędzony z moim synem. Ulka! Żartuję oczywiście - zapewnił trochę nazbyt stanowczo. - Grzesiek przyłgnał do niego i woli lekcje rysunku niż kino ze mną. Robi duże postępy. Wygrał konkurs międzyszkolny i dostał puchar - chwalił się dumny tata, wiedząc doskonale, że jeszcze dumniejsza mama Grzesia dawno się parę razy pochwaliła.

Po rozmowie z nim Ula dostrzegła światełko wskazujące drogę do wirtualnego świata, w którym przebywała jej siostrzyczka.

Spojrzała na zegarek. Dwudziesta trzecia trzydzieści to odpowiednia godzina na wymuszenie zeznań. Zadzwoiła.

- Zośka, nie ziewaj, tylko wchodź na skype'a, ja zaraz się loguję.

Rozłączyła się, żeby nie usłyszeć sakramentalnego: „Co u ciebie?”.

Po chwili mogła zacząć siostrzane śledztwo.

- Bez wykrętów. Spotykasz się z tym malarzem poza lekcjami? Platonicznie? Będzie coś z tego? - Zrobiła groźną minę i pogroziła siostrze palcem. - Mów jak na spowiedzi.

- Tak. Nie. Może - treściwie odpowiedziała Zosia, wyłączając kamerkę.

- Ty wstręciuchu. Natychmiast pokaż twarz! - śmiejąc się, krzyczała Ula.

- Mówiłaś, że spowiedź, więc nie możesz na mnie patrzeć - roześmiała się uszczęśliwiona Zosia, że już może przyznać się siostrze i opowiedzieć o swojej bardzo realnej nadziei na odwzajemnioną miłość.

Zosia spontanicznie...

Zosia już nazajutrz po pierwszej lekcji z Grzesiem spotkała się z Adamem na kawę. Bez zapowiedzi zjawił się u niej w pracy.

- Mam cały dzień wolny. Poczekam na ciebie w tej kawiarence obok.

- To nie ma sensu. Mam zapisane klientki. Nie uda mi się wyskoczyć.

- A gdy skończysz pracę?

- To dopiero... - spojrzała na zegarek - za cztery godziny. Ale...

- Poczekam mimo „ale” - przerwał i chciał wyjść.

- Poczekaj. Nie czekaj. Będę na pewno - prosiła logicznie. - Mogę parę minut się spóźnić.

Przegadali trzy godziny. On chciał dopytać, ona wyjaśnić. Odetchnęli oboje. Adam wspominał swoje nieudane próby zainteresowania jej sobą i odpowiedź, którą wtedy otrzymał: „Nie

jestem gotowa na spotkanie się z kimkolwiek”.

- A teraz? - zapytał, patrząc z tym samym ciepłym spojrzeniem co wtedy, w trakcie trwania kursu.

- Może - odpowiedziała.

- Nie masz pewności? Dlaczego?! - Przyjrzał się jej uważnie i po chwili sam sobie odpowiedział: - Boisz się.

- Tak! Boję się - spontanicznie wyznała i zmieszała się, widząc spojrzenia siedzącej niedaleko nich pary.

- Zosiu, nie wiem, czy nam się uda. Jednak ponownie spotkaliśmy się chyba nie tylko po to, żebyśmy uczył twojego syna. Poznaliśmy się bliżej. Chcesz?

- Tak - odpowiedziała zdecydowanym głosem. - Tak, jestem pewna. - Uśmiechnęła się serdecznie. - Drugiej szansie nie mogę odmówić. Nie chcę rozgniewać przeznaczenia.

Z każdą godziną, dniem, tygodniem, miesiącem Zosia ze zdumieniem odkrywała, ile można bez szampana, wielkich słów, bez zapewnień, że naj, naj, naj i bez „kocham” - powiedzieć o uczuciu i pewności, że się chce, pragnie i kocha.

Adam nie mówił, że jest najpiękniejszą, najwspanialszą, nie stawiał żadnych warunków - po prostu był. W esemesie roześmianą, zmartwioną albo z przymrużonym oczkiem buźką, w ememesie zdjęciem obrazu lub widoku, który go zachwycił, w mailu życzeniem spokojnej nocy i telefonie rannym: „Dobrego dnia”.

W codziennym „Co słyszać?”, „Co pomóc?”, „Co kupić?” „Co załatwić?”, „Co dziś robimy?”.

W zwykłym powiadomieniu: „Odbiorę Grzesia”, „Pójdziemy z Grzesiem”, „Pogadam z Grzesiem”.

W słowach: „Nie śpiesz się”, „Nie martw się”, „Nie przesadzaj”.

W zainteresowaniu: „Jak myślisz?”, „Co sądzisz?”, „Jakie jest twoje zdanie?”.

W liczbie mnogiej: „Zaradzimy”, „Damy radę”, „Zastanowimy się”, „Zdecydujemy”.

W nieukrywaniu: „Wściekły jestem, bo...” , „Zmęczony jestem i...” , w najczulszym: „Dziś ja mam okres, boli mnie i cały jestem na nie”.

Grześ przepadał za wujkiem Adamem, Wiesiek przekonywał się do niego, nawet żartował, że zaczyna być zazdrosny o syna.

Zosia oczywiście jak zawsze winiła siebie. Nie poznała jeszcze wad Adama, a już była gotowa pokochać go za jedną, jedyną zaletę. Naprawdę chciał - o czym przekonał ją swoim własnoręcznie nabazgranym prezentem na zwykłej kartce w kratkę.

Któregoś dnia zaraz po jej wyjściu z pracy poszli z Adamem na obiad.

Wiesiek chętnie zostawał z synem. Ostatnio patrzył na nią z ojcowską miną i powtarzał:

- Musisz go dobrze poznać, ja też, potem zdecydujemy.

Akcentując „my”, uśmiechał się pobłaźliwie, ale spojrzenie miał poważne.

- Zosiu, ty zdecydujesz, ale z akceptacją Grzesia i moim błogosławieństwem.

Patrzył pytajnikami, wykrzyknikami, czekając na jej niemą odpowiedź. Odczytywał jednoznaczną kropkę. To była oczywistość.

Jedząc obiad, rozmawiali, zamieniając godziny osobności na spędzone razem. Przy herbacie zauważyła, że Adam kręci się, wierci i ma spojrzenie Grzesia, który bardzo chce coś ważnego powiedzieć, tylko nie wie, jak zacząć.

- Adam, najlepiej mów po prostu - podsunęła i z zaskoczeniem obserwowała jego reakcję. Taką samą jak u syna. Nie spojrział z oburzeniem, nie krzyknął: „Myślisz, że tak mnie znasz?!”,

nie piorunował jej wzrokiem, że uważa się za taką, co przeżyła wszystkie rozumy. Nie! Uznał, tak jak Grześ, za oczywiste, że wie, co on myśli.

- Zosiu, żeby przyśpieszyć nasze poznanie się, mam coś dla ciebie - powiedział, wyjmując z kieszeni złożoną, trochę pomiętą kartkę. - Widzisz ja mam świadomość swoich zalet i wad. Zalety spisałem sam, przy wadach musiałem poprosić o pomoc. - Rozłożył pogiętą kartkę, przez chwilę próbował wyprostować ją na kolanie, zrezygnował i podał jej.

- Przeczytałem ze zrozumieniem kilka książek, typu *Kobiety są z Wenus, mężczyźni z Marsa*.

Zosia zaczęła od zalet, czytając na głos.

- Naprawdę? - Spojrzała i zobaczyła potakującą głowę i dumną minę Adama. Czytała dalej.

- Wiem, co to napięcie przedmiesiączkowe i czym się może objawiać. - Tym razem zerknęła na niego podejrzliwie, ale z całą powagą nadal potakiwał. - Tydzień temu mama dała mi do przeczytania książkę o rozwoju chłopców. Przeczytam. - Nie mogła powstrzymać śmiechu, co z kolei wywołało zdziwione spojrzenie Adama.

- Adasiu - zaśmiała się - nie za późno!?

- Wcześniej nie było mi potrzebne - tłumaczył zdezorientowany jej śmiechem.

- Aha, czyli rozwijałeś się praktycznie, a teraz nadrobisz teorię. Tak? - Widziała jego urażony wzrok, ale nie mogła nad sobą zapanować i zaśmiała się głośno.

- Zosiu, źle mnie rozumiałaś. Mama powiedziała, że jeżeli chcę być z tobą, to muszę się przygotować do opieki nad twoim synem, bo nie byłem z nim od początku i nie obserwowałem, i nic nie wiem, i nie mogę po omacku. Rozumiesz już?

Zosia w jednej sekundzie przestała się śmiać i teraz ona patrzyła na niego jak na kosmitę.

- Mama? To już powiedziałaś mamie, że chcesz być ze mną? I w dodatku, że mam dziecko? - Pytając, wpatrywała się w niego, doszukując się odrobiny fałszu.

- A na co miałem czekać? Ja jestem pewien. - Popatrzył wprost w jej przerażone oczy i ze spokojem dodał: - Wiem, że ty musisz mieć podwójną pewność, więc będę czekał.

- Adam! Twoja matka nie ma nic przeciwko pannie z dzieckiem?! Ze wsi i bez wykształcenia! - Zosia przysunęła krzesło bliżej niego.

- Nie. Opowiadałem jej o tobie po kursie. Wie, że już wtedy chciałem być z tobą. Ucieszyła się, że znów cię spotkałem. Powiedziała mi o tobie i o Grzesiu, i o Wiešku.

- Boże! I co powiedziała? Tylko mów konkretnie. - Zosia przerwała mu, chcąc usłyszeć to, co dla niej najważniejsze.

- Adamie, dziewczyna, która zdecydowała się sama wychowywać dziecko, zdobyła zawód i sama potrafi dać sobie radę w życiu, zasługuje na podziw. Mam nadzieję, że będziesz się starał jej dorównać. Mniej więcej tyle - powtarzał, nie słysząc w tych słowach nic nadzwyczajnego.

- Ona jest nienormalną matką syna - spontanicznie zareagowała Zosia i szybko zasłoniła usta ręką, drugą machając, jakby chciała rozwiać w powietrzu wypsknięte słowa. - Przepraszam, Adasiu, bardzo przepraszam.

Adam patrzył na Zosię z podziwem godnym laureatki Nobla. Po chwili zaczął się śmiać tak szczerze i zaraźliwie, że i ona wykrzeszała z siebie coś na kształt uśmiechu.

Zosia wiedziała, że Adam uważa matkę za najmądrzejszą kobietę na świecie. Kobietę, której inne matki synów do pięć nie dorastają, łącznie zresztą z Zosią. Wróciła z bólem głowy do domu, lekcja rysunku właśnie dobiegała końca. Zrobiła sobie herbatę i czekała, aż skończą, żeby dać Grzesiowi kolację, przypilnować mycia i pójścia spać. Adam popatrzył na nią i z troską spytał:

- Bardzo cię boli? Dlaczego się nie położysz? Na co czekasz?
Popatrzyła na niego, nic nierozumiejącego z oczywistych obowiązków matki.

- Najpierw nakarmię i położę spać syna, potem pomyślę o sobie - uświadomiła go i połknęła drugą tabletkę.

Adam zerknął na Grzesia potem na nią i z całą powagą stwierdził:

- Zosiu, musisz iść na korepetycje do mojej matki, nauczycie cię, jak wychowywać syna.

Poczuła się urażona, ale wzmagający się ból i uczucie mdłości kazały jej odłożyć tę dyskusję na późniejszy termin i biec jak najszybciej do łazienki. Przyklękła i oparła głowę o zimną umywalkę, czekając na nieuchronne efekty nasilających się nudności.

Musiała przysnąć, bo wyszła po dłuższym czasie. Grześ, który zmywał właśnie po kolacji, wyszeptał do niej:

- Kobieto, połóż się natychmiast. Herbatę masz przy łóżku. Nie zamykaj drzwi. - I dodał głośniejszym głosem: - Zrobiłem sobie kanapki, wujek sprawdził, czy dobrze, zjadłem, teraz się umyję i położę. Puść sygnał na komórkę, jakbyś czegoś potrzebowała. - Zakręcił kran i z mokrymi rękoma podszedł do niej. - Na co czekasz? Kładź się. Teraz silny syn się tobą, słabą istotą, zaopiekuje. - Grześ wziął ją osłupiałą za rękę i zaprowadził do sypialni. Mimo bólu nadśluchiwała i ze zdumieniem stwierdziła, że prawie go nie słyszy, raz tylko, gdy zamykał drzwi, wychodząc z łazienki, dobiegło do niej:

- O kurczę, nie możecie się ciszej zamykać.

Po chwili spod szybko przymkniętych powiek zobaczyła swojego syna skradającego się na palcach do jej łóżka. Stał przez chwilę i wyszeptał:

- Śpi, pewnie wychodzi ból. - Po czym wyszedł cichutko, tupiąc piętami.

W następne dni i tygodnie Zosia ze zdziwieniem obserwowała, jak jej synek dorósł. Jeszcze niedawno pytał w biegu: „Pomóc?” i już go nie było. Poproszony, żeby wreszcie wyrzucił śmieci, odpowiadał: „Mamo, wyrzucę na pewno, tylko później, teraz nie mam czasu, zajęty jestem”.

Zosia toczyła z Grzesiem ciągłe walki o ciągłe: „Nie umiem, nie potrafię, to babskie zajęcie, ja jestem mężczyzną”.

Teraz syn zaczął pytać: „Co mam zrobić”. I robił, a nie pomagał, jak dotychczas. Teraz Zosia słyszy: „Mamo, czy już, czy mogę za pół godziny?”, „Daj, ja zaniosę, przyniosę, wyniosę”.

Słyszając domofon, pytał: „Masz zakupy?” i jeśli miała, nieproszony schodził do niej, żeby odebrać siatki.

Wchodząc do domu, ze zdziwieniem patrzyła na nakryty stół. Mówiła tylko: „Dziękuję, synku”.

Tak prosił Adam, od którego Grzesz czerpał wiedzę na temat zachowywania się prawdziwego mężczyzny i z którego brał przykład. Pytała Adama o tą cudowną przemianę syna.

- Tego wymagała ode mnie mama i uznawała to za oczywistość, a nie powód do pochwał i nagród. Proszę cię, przyjmuj to naturalnie, zauważ i docień, mówiąc aż „Dziękuję, synku”.

Przed chwilą obraziła jego i - co gorsze - jego najmądrzejszą matkę, jednym, okrutnym słowem „nienormalna”. Czekala spięta, co powie, czy jej „przepraszam” wystarczy.

Adam znów ją zaskoczył, tym razem łzami płynącymi po policzkach. Wziął serwetkę i wytarł twarz, uspokajając się po swoim idiotycznym śmiechu. Sięgnął po komórkę i po chwili usłyszała: „Mamo, Zosia poznała się na tobie. Powiedziała, że jesteś nienormalna” - znów roześmiał się i podał Zosi telefon.

- Mama chce z tobą porozmawiać - śmiał się, dalej nie dostrzegając jej przerażenia, oburzenia i pukania się w czoło.

- Bardzo panią przepraszam - wydukała sparaliżowanym głosem.

- Za co, dziecko?! - Kobieta po drugiej stronie też się śmiała.
- Za prawdę? Zosiu, zapraszam cię z Grzesiem na obiad w niedzielę. Już czas, żebyś poznała kandydatkę na wredną teściową - mówiła, cały czas się śmiejąc. - Nie przeszkadzam w spotkaniu. Do zobaczenia. - Rozłączyła się.

- Adam, wybaczę ci pod warunkiem, że natychmiast powiesz, dlaczego twoja mama uznała to za prawdę. - Zosia próbowała zrobić groźną minę, ale patrząc na roześmianego, dumnego z matki syna, sama się roześmiała. - Już wiem, że twoja mama jest inna. Chciałabym wiedzieć dlaczego?

- Poznasz ją, pogadacie, będziesz wiedziała. Mnie na dobranoc mama opowiadała wymyślane przez siebie bajki. Bohaterami byli dziewczynka i chłopiec, którzy zawsze mieli tyle lat, co akurat ja. Potem oni się starzeli i zamiast bajek były rozmowy. Gdy byłem już starszy, musiałem sam wyciągnąć wnioski.

- O czym były te bajki i rozmowy? Powiedz... - prosiła zaciekawiona coraz bardziej.

- Streszczę ci literackie przesłania mojej mamy. Tylko zamówię wino, bez tego stracę wątek.

Czekali w milczeniu, aż kelner przyniósł butelkę, otworzył i nalał do kieliszków.

- Mów - poprosiła Zosia, odkładając na bok kartkę, stroną wad do góry, żeby nie zapomnieć wrócić do omawiania prezentu.

- Od wieków facet miał zdobywać, walczyć, zabijać, chroniąc najpierw tylko rodzinę, potem już ojczyznę. Dlatego wypatrywał, nasłuchiwał, czyścił broń i odpoczywał, czekając na moment do działania. - Adam wypił parę łyków wina i ponaglany opowiadał dalej: - Kobiety musiały wszystkiego dopilnować za siebie i mężczyzn, szczególnie gdy ci pili przed wyruszeniem na bój, w czasie, gdy mężnie walczyli i po powrocie z bitewnych

pól. Wtedy pili z dumy lub zapijali porażkę, przechodząc do oczekiwania na następny sygnał wzywający do czynu godnego prawdziwego mężczyzny.

W przerwach wyczekiwania łaskawie darowywali kobietom trochę swej męskości, żeby się nie nudziła i mogła się spełnić jako matka.

W czasach mamy młodości mężczyźni jeszcze czuli się prawdziwymi mężczyznami. Przychodzili dumni, z upolowanym trofeum na szyi, w postaci na przykład rolek papieru toaletowego nawleczonych na sznurek. Z kawałkiem wędliny, o który walczyli z pełnym poświęceniem i małymi stratami w postaci paru oberwanych guzików u płaszcza lub naderwanego rękawa przy marynarce. W dniu wypłaty nakładali pióropusze, co bardziej męscy - makijaż w postaci czerwonych plam na twarzy i pachnącego na odległość chuchu. Wchodząc, wkraczając lub zataczając się, wyjmowali zdobycz i pełni dumy kładli na stole lub wręczali kobiecie, mówiąc albo bełkocząc: „Masz na życie, kobieto”. Reszta tak jak dawniej. - Znow zrobił przerwę na kolejny łyk wina i ponownie ponaglany przez Zosię kontynuował: - Kobiety znały swoje miejsce na ziemi, czyli odpoczynek i frajda przy garach, sprzątaniu, zajmowaniu się dziećmi. W międzyczasie chodziły do pracy i z wdzięcznością witały swoich mężów, chociażby za to, że wracają do swojego domu, siedzą przed ich wspólnym telewizorem i bez marudzenia zjadają trzeci dzień to samo na obiad. Jeszcze niektórzy z większym poziomem testosteronu kompletowali spraną nocną koszulę flanelową i kochali się z wałkami na głowie. Lub odwrotnie, wałki spełniały obowiązek małżeński, a głowa myślała, co zrobić na obiad z pustych półek w lodówce. - Adam przerwał tylko po to, żeby bardziej zaintrygować Zosię. - Muszę się spokojnie napić. Przechodzę do czasów współczesnych. Chwila. - I po malutku, łyczek po łyczku pił wino,

zadowolony, że patrzą na niego błagające o ciąg dalszy oczy Zosi. Dopił i wrócił do opowieści:

- W dzisiejszych czasach mężczyźni są zagubieni, stracili grunt pod nogami. Chcieliby zapłakać nad sobą, ale nie mogą. Jeszcze atawistyczne „chłopaki nie płaczą” brzmi im w uszach.

Kobiety wcisnęły się do zastrzeżonych dla mężczyzn dziedzin. Stały do walki o pracę, stanowisko, zarobki. Nie w głowie im karmienie, opieranie, podtrzymywanie płomienia, czekanie i hołubienie czegoś lub kogoś, kto uważa się za płęć męską, a jest obojniakiem i to poniżej wszelkich standardów. Myślistwo oparowały do perfekcji, polując na coraz to grubszą zwierzynę, nie zwracając uwagi na małe defekty w postaci wyleniałych piór lub łykowatego ze starości mięsa. One nie zapomniały obróbki mięsiwa, ale teraz same decydują, czy mają czas i czy chcą zająć się marynowaniem, kiszaniem i soleniem. Uprawiać seks potrafią i mogą nawet bez mężczyzny, szczególnie takiego, który duży to ma samochód, a witalności w sobie tyle, co paluszek, i to ten nie-reklamowany.

Kobiety w genach mają zdolność twardego stąpania po ziemi. Dużo więcej słyszą, to niewypowiedziane też. Dostrzegają niewidoczne, więcej – nawet to, czego jeszcze nie widać lub po prostu to, czego na razie nie ma. One widzą. Próbuje pokazać męskiemu ślepcowi, a ten zapiera się, że nic podobnego, marynarkę pożyczył łajdaczącemu się przyjacielowi, stąd ten włos, zapach innych perfum i jeszcze w kieszeni rachunek z hotelu.

- Adam widząc olbrzymie tęczówki wpatrzone z zachwytem w to, co mówił, zorientował się, że przeholował z detalami.

- Konkretnie to mama mówiła: „Chowam cię nie dla siebie, tylko dla innej kobiety. Solidarność babska zmusza mnie do nauczenia cię wszystkiego, co facet powinien umieć, rozumieć i dać z siebie kobiecie”. Skończyłem. Finito - powiedział stanowczo,

sięgnął po butelkę, dolał sobie wina i delektował się jego smakiem.

Zosia siedziała w milczeniu, pytając samą siebie: „Czy to bajka?“, „Fantazja!“. W myślach przypominała sobie słowa kobiety, która nie obraża się za „nienormalną“. Prawda - oceniła. Sięgnęła po kartkę leżącą na stole i bez czytania darła ją na coraz drobniejsze kawałeczki.

- Co robisz! Mieliśmy omówić moje wady - żywo zareagował Adam i z przerażeniem patrzył na nią, bojąc się, że wszystko stracone.

- Adasiu... - Zosia, nachylając się, pocałowała go w sam czubek nosa. - Wszystkie twoje wady są niczym w porównaniu do zalet twojej matki, a może mojej przyszłej teściowej. - Widząc, jak przerażenie zmienia się w pełne miłości spojrzenie, nie bacząc na ludzi usiadła mu na kolanach i mocno, bardzo mocno pocałowała...

W niedługim czasie w łazience Zosia przypieczętowała swoją decyzję. Zaraz po wyplakaniu się wstała i do lustra powiedziała:

- Tak. Tak. Tak. Chcę i to jak najszybciej.

Do łazienki schowała się po podsłuchaniu rozmowy, w której Adam wyznał Wieskowi, że ją kocha.

Siedzieli w pokoju i pijąc koniak, po wspólnym obiedzie, rozmawiali. Grześ pobiegł na podwórko, Zosia pozmywała i niosła kawę dla nich. Zatrzymała się przed drzwiami, słysząc, że rozmawiają o niej.

- Wiesiek, chcę porozmawiać o Zosi, szczerze i bez niedomówień, zanim porozmawiam z nią - usłyszała spokojny głos Adama, ale dało się wyczuć podenerwowanie.

- Mów. Mnie też zależy na szczerości.

- Zapytam wprost. Zaakceptujesz mnie jako męża Zosi i opiekuna waszego syna?

- Potrzebujesz mojej zgody? - szybko, lekko ironicznie zapytał Wiesiek. Po chwili milczenia dodał: - Przepraszam, Adam. Równy z ciebie facet. Mnie z Zosią łączy Grześ i rodzina, to się nie zmieni.

- Wiem, jak również to, że ze względu na syna, twoja akceptacja naszego związku jest bardzo ważna dla Zosi. Nie będzie dobrze między mną i nią oraz mną i Grzesiem bez dobrych układów między nami. To oczywiste, dlatego pytam,

- Co do Grzesia wystarczy, jeśli przed ważną decyzją porozmawiamy we trójkę, żeby ustalić wspólne stanowisko. Chciałbym, żeby Zosia była szczęśliwa i na twoim miejscu nie czekałbym z deklaracją. - Słyszała, jak Wiesiek, klepiąc Adama po ramieniu, roześmiał się. - Jeden warunek. Chcę być świadkiem na waszym ślubie. - Adam musiał potwierdzić kiwaniem głową, bo Wiesiek dodał: - Zastanów się. Jako świadek twojej przysięgi, będę pilnował, byś jej dotrzymał.

Zosia, słysząc śmiech obu, wycofała się po cichutku do kuchni. Odstawiła kawę i pobiegła do łazienki. Zamknęła się, puściła wodę i zaczęła płakać. Tak jak wtedy, gdy podsłuchiwała rozmowę płaczącego ojca z matką. Wtedy płakała, uspokajając swoje nienarodzone dziecko, że ma cudownych dziadków i może przyjść śmiało na świat. Będzie kochane i bezpieczne.

Przed chwilą usłyszała najprawdziwsze wyznanie miłości. Śmiało może pozwolić sobie kochać i poczuć się w pełni szczęśliwa z trzema najważniejszymi dla niej mężczyznami, Grzesiem, ojcem, który go wybrał, i tym, który chce być dla jej synka drugim tatą.

I co? - Adam zapytał po męsku

Sekretarka, wychodząc do toalety, zobaczyła idącego szybkim krokiem przez pusty korytarz szkolny młodego mężczyznę. Trwały lekcje, domyśliła się, że przyszedł po gorączkującego ucznia,

którego położyły na kanapie w gabinecie nieobecnej dyrektorki. Nauczycielka musiała już wyjść, ale dzwoniła i któreś z rodziców miało się zjawić w przeciagu pół godziny.

- Pan Kowalski? - widząc, że potwierdza skinieniem głowy, cofnęła się i zawołała ucznia: - Grzesiek, chodź, tata już przyszedł. - Patrząc na zziąjanego ojca, uspokajała: - Syn nie ma wysokiej temperatury, ale lepiej pokazać go lekarzowi. - Słyszając odgłos biegnących kroków, spojrzała przez jego ramię. - O i żona już jest.

- Chodź, synku, - Zosia sprawdziła ciepłość czoła. - Jedziemy prosto do lekarza. Dziękuję pani. - Po czym zwróciła się do Adama: - Dzwoniłam do przychodni, jego lekarka kończy za pół godziny, ale przyjmie nas.

Po godzinie byli w domu. Pani doktor zdiagnozowała infekcję wirusową. Uprzedziła, że gorączka może się utrzymać przez kilka dni, ale antybiotyk nie jest wskazany. Wystarczy, żeby dziecko poleżało parę dni w domu. Ma dużo pić, profilaktycznie płukać gardło i jeść wtedy, gdy ma ochotę.

Adam pomógł Grzesiowi znaleźć się w łóżku. Zosia zrobiła dużo wody z sokiem z czarnej porzeczki, który jej synek bardzo lubił. Grześ leżał, a oni czekali, czy po tabletkę spadnie mu gorączka.

- Mamo, pani sekretarka myślała, że wujek Adam jest moim tatą.

- Synku, zmyliło panią takie samo nazwisko - wyjaśniła, siadając na łóżku i dotykając jego stóp. - Gorączka spada. - Z westchnieniem ulgi spojrzała na Adama.

- Mamo. Tata Wiesiek, wujek Adam i ja mamy to samo nazwisko, czyli jesteśmy rodziną. - Grześ patrzył to na matkę, to na Adama. - Tylko ty się nazywasz inaczej, jakbyś nie była z rodziny. - Zosia nie zdążyła nic powiedzieć, gdy mały zapytał: - Wujku, tata nie może się ożenić z mamą, bo już miał żonę, a ty miałeś już żonę?

- Nie, Grzesiu, ale bardzo bym chciał mieć. - Adam mówił do chłopca, nie patrząc na Zosię. - Powiedziałeś mi w tajemnicy o swoim marzeniu. Ja mam dwa. Pierwsze, żeby twoja mama chciała być moją żoną. Drugie, żeby spełnić twoje.

Zosia nie przerywała tej interesującej rozmowy dwóch zaafekowanych mężczyzn, z których zdrowy wyglądał na bardziej rozgorączkowanego. O tajemnicę spróbuje podpytać później.

- Ona chce, ja ci to mówię. - Grzesz znowu dostał wypieków. - Ty chcesz i ja chcę też. To kiedy się pobierzecie? - spytał, przenosząc wzrok z mamy na Adama. - Najlepiej jak ja wyzdrowieję - podpowiedział im termin i położył się. - Pojutrze już będę zdrowy.

Zosia bez słowa włożyła synowi termometr pod pachę i spojrzała na zegarek. Czekali w milczeniu dziesięć długich minut.

- Normalna - zauważyła z zaskoczeniem Zosia, strząsając rękę i dotykając szyi i czoła syna.

- Mówiłem, że będę zdrowy - obrócił się na bok i zaczął układać się do snu. - Pójdę spać, a wy po dorosłemu ustalcie, co trzeba załatwić. Mamo, zgaś duże światło - poprosił, wyłączając kinkiet przy łóżku.

- Dzięki, kolego - wyszeptał Adam, nachylając się nad chłopcem, pocałował go w czoło i poprawił kołdrę, przykrywając plecy. Zgasił światło i poszedł za Zosią do kuchni.

Stała na środku, czekając, aż wejdzie. Stał w drzwiach i patrzył wyczekująco, nie bardzo wiedząc, co zrobić. Wejść? Wrócić do tematu? Czy ma mu za złe, że bez jej zgody rozmawiał z Grzesiem o nich? Nie odezwała się! Nie zareagowała nawet na tajemnicę! Jest zła czy zadowolona? Nie wiem i nie domyśle się, muszę zapytać wprost - zdecydował i zapytał po męsku:

- I co?

- I nic - odpowiedziała Zosia po kobiecemu.

- To znaczy? - dopytał, bo dalej nic nie wiedział.

- A jak myślisz? - spytała Zosia, z trudem panując nad głosem i mimiką.

- Nie wiem - przyznał się i bezradnie rozłożył ręce.

- To może byś mi się wreszcie oświadczył? - podpowiedziała, odwracając się tyłem do niego, żeby ukryć roześmianą twarz.

- Zosiu... - Podeszedł do niej i objął jej drgające plecy. - Przecież oświadczyłem się. Dlaczego płaczesz?

Odwróciła się, wiedząc, że na nic więcej w tej chwili Adama nie stać. Całowała jego oczy, mówiąc:

- Tak.

Nos - mówiąc:

- Chcę.

Policzek - dodając:

- Być twoją.

I drugi - kończąc:

- Żoną.

I w usta wyszeptwała:

- Jak najszybciej.

Matka Adama uprzedziła ją: „Zosiu, najgorszą wadą Adasia jest, że mimo moich starań mój syn jest stuprocentowym mężczyzną”.

„Nienormalna” matka Adama

Spotykały się, najczęściej same, po prostu żeby pogadać.

- Zosiu nagadajmy się teraz, z teściową możesz nie chcieć - śmiała się matka Adasia i proponowała spotkanie na mieście. - Na neutralnym gruncie obie poczujemy się zwyczajnie. U mnie będziesz skrepowana, moje przyjście do siebie potraktujesz nie jak wizytę, tylko jak lustrującą wizytację.

Matka Adama była pod każdym względem „nienormalną matką syna”. Poczynając od oceny syna. „ - Kulinarnie rozpieszczęłam go, gdy był chłopcem, ale wiedział, że pierogi to masa roboty.

Pomagał gnieść ciasto, wałkować i lepić. Adaś umie gotować, tylko pozwól mu i przymknij oko na mąkę i kawałki ciasta na podłodze. Sprząta, zmywa, potrafi posegregować pranie, choć zabierze mu to dwa razy więcej czasu niż tobie. Ja, żeby uniknąć odebrania mu odkurzacza, szłam do sypialni, zamykałam się i oglądałam film lub czytałam.

Patrząc na Zosię, uśmiechnęła się lekko i powiedziała:

- Gdyby matki wychowywały synów tak, jakich by same chciały mieć mężów, skończyłyby się kawały o teściowych.

Widząc jej niepewną minę, wspominała:

- Zosiu, ja miałam teściową jak z dowcipów - opowiadała szczerze. - Synek, dla synka, o synku, z synkiem i wściekłe spojżenia na mnie, która nic nie potrafi poza wykorzystywaniem, maltretowaniem, zmuszaniem, znęcaniem, pastwieniem, truciem i szybkim wykańczaniem jej synalka, który chudł w oczach, wbrew wadze, mizerniał na coraz bardziej puciołowatej twarzy i harował ponad siły, siedząc przed telewizorem. W końcu wypędzony przeze mnie z domu zmianą pieluch i po nocy płaczem dziecka, zmuszony został do poszukania przytułku, czyli schronienia w domu prawdziwej kobiety, jaką była oczywiście ona.

Od tego biedactwa ja śmiałam zażądać alimentów na syna, który tak do końca nie wiadomo, czy był jego. Jako dziwka na pewno się puściłam z innym, a jego wrobiłam w ojcostwo. Podobieństwo Adasia do ojca było przypadkowe.

Gdy już wypłakałam się, wyrzeszczałam, epitetami obrzucałam wszystkich i wszystko, łącznie z losem, udusiłam, otrułam, wysłałam na tamten świat jego i ją - przelałam całą miłość na Adasia.

Mojego naj, naj, naj jedynego mężczyznę, który będzie się liczył w moim życiu. Adaś miał sześć lat, gdy moja babcia po rodzinnej Wigilii, gdy już wszyscy spali, przyszła do mnie do kuchni.

Znowu się rozbeczałam, rozpamiętując swoje poniżenie, porzucenie i samotność. Obwinałam o wszystko tego wstrętnego babsztyla, udowadniając babci dowcipami o teściowych, jaka zołza mi się trafiła. Babcia zawsze najlepiej mnie rozumiała, nie dyskutowała, nie tłumaczyła, nie szukała mojej winy, tylko słuchając, przytakiwała ze współczuciem. Na koniec powiedziała:

- Za mało złorzeczysz, wnusiu. Powinnaś podwójnie. Za tą biedną dziewczynę, też.

Widząc moje pytające spojrzenie, wyjaśniła:

- Tę, której trafi się potwór, którego chowasz, i której ty jako teściowa zatrujesz życie.

Wstała i wyszła, zostawiając mnie osłupiałą.

Trochę czasu minęło, zanim zrozumiałam: Syna nie chowam dla siebie, tylko dla innej kobiety, którą on pokocha, a ona jego. To nie mój mężczyzna rośnie przy mnie, dla mnie i ze mną. To przyszły mąż innej kobiety i ojciec ich dziecka. Nie chcę widzieć powtórki własnych łez, własnego oburzenia, własnej miny zabijającej wzrokiem na myśl o spotkaniu z teściową. Nie chcę żyć opłatana złymi życzeniami synowej, we wnukach dopatrywać się innych genów i czerpać siły z wszechobecnego, nieudacznego syna.

Jeszcze więcej musiało minąć czasu, żebym wcieliła to w życie.

Zosia słuchała wpatrzona w siedzącą przed nią zadbaną kobietę, która emanowała silną energią miłości, ciepła, samoakceptacji, radości i ponadwiekowej młodości. Ta kobieta opowiedziała jej o borykaniu się z życiem w roli samotnej matki, o nieudanych próbach kolejnych związków, chorobach, śmierci własnej ukochanej babki i matki. W kilku słowach potrafiła odmalować przeżyty smutek, rozpacz, zawód. O wiele dłużej opowiadała o wzruszeniach i radościach z każdego etapu jej życia.

Matka Adama, patrząc na wsłuchaną w to, co mówi, Zosię, przestrzegąca:

- Dziewczyno, to ja tak uważam, to mój sposób na życie, to mnie jest z tym dobrze, to dla mnie jest najważniejsze, to moja recepta na szczęśliwe życie. Każdy organizm jest inny i swoiście reaguje na dany specyfik. Uniwersalne jest tylko jedno. Szczęścia, które ma tak wiele twarzy, nie osiągnie się bez samoakceptacji...

Zosia powtórzyła słowa matki Adama przyjaciółkom. Efekt był taki, jakiego się spodziewała. Ona jest „nienormalna” - i chwilę potem:

- Jak najszybciej wychodź za Adama, takiej teściowej nie możesz stracić.

Irena z zazdrością dodała:

- Mój też chce zrozumieć, ale sam z siebie. Twój ma podstawy teoretyczne i jeszcze chce się dokształcać. Zośka, pośpiesz się, bo sama ci go sprzątnę sprzed nosa.

- Dziewczyno, komu przed ślubem trzeba powiedzieć „tak”, żeby mieć szansę na udany związek? - Zosia odczekała aż dwie minuty, żeby mogły pomyśleć nad odpowiedzią.

- Temu, z kim chcesz być. To oczywiste - odważyła się odpowiedzieć Irena, choć bardzo niepewnym głosem. Znając przyjaciółkę, domyślała się, że w pytaniu znajduje się drugie dno.

- Temu, kto cię o to spyta. - Krysia przedstawiła swoją wersję z rozbawieniem. - Zośka, mów, co powiedziała mama Adama.

- Dobrze jest powiedzieć „tak” aż pięć razy, Ostatnie „tak”, najmniej istotne i na samym końcu, facetowi. - Zosia przerwała, żeby podnieść dramaturgię. - Pierwsze „tak” ojcu facetu. Matce trzy razy „tak”, bo jedno w tym jest dla babki. Dopiero wtedy „tak” powiedziane partnerowi daje szansę na szczęśliwe pożycie -

mówiła wolno i dobitnie. Patrząc na porozumiewawcze spojrzenia, spodziewała się wybuchu śmiechu przyjaciółek. Jednak one spoważniały i czekały, co powie dalej. - Przy czterech „tak” należy przyjrzeć się uważniej. Przy trzech - poczekać z decyzją i poznać szczegóły. Przy dwóch uciekać, ile sił w nogach - skończyła wyliczankę i przyjrzała się zamyślonym twarzom przyjaciółek. Dłuższą chwilę milczały.

- Sama prawda - Krystyna przerwała milczenie. - Gdy poznałam Romka i dowiedziałam się, że ma ojca pijaka, chciałam zerwać. Mama powiedziała: „Nie skreślaj chłopaka. Sam fakt, że powiedział ci to na początku waszej znajomości, przemawia za nim. To może być bardzo wartościowy człowiek”. Szybko się przekonałam, że tak jest rzeczywiście. Pewność dały mi słowa jego matki wypowiedziane przy Romku: „Krysiu, pamiętaj, gdyby mój syn kiedykolwiek nie okazał ci szacunku, odejdz od niego. Dostanie to, na co zasłużył. U mnie, jeżeli jeszcze będę żyła, nie znajdzie pocieszenia ani schronienia”.

- A gdy się nie zna rodziny? - spytała Irena, która jeszcze nie poznała rodziców Bogdana.

Na razie spotkała tylko młodszego brata, który studiował już enty rok, balangując ostro. Bogdan uważał, że rodzice rozpuścili brata, gdy on wyjechał i się usamodzielniał. Całą swoją potrzebę miłości, czułości, troskliwości matka ulokowała w tym synku, którego miała pod ręką.

- Wtedy zamiast całą swoją energię poświęcać na: „Co on lubi?”, „Czego pragnie?”, „Co by mu sprawiło przyjemność?”, przenieś ją na prawdziwe rozmowy z nim. O jego dzieciństwie, dziadkach, rodzicach. Podpytaj, jak rodzice odnosili się do siebie, o co i czym się kończyły ich małżeńskie sprzeczki?

W jaki sposób okazywali sobie miłość? Jaki zapach przypomina mu dom? Co myśli, wspominając swoje dzieciństwo? -

Zosia popierana przez Krysię znów studziła gorącą głowę Ireny.

- Dowiedz się, jak on i czy w ogóle myśli o przyszłości, a nie tkwij w dziś, udając zadowoloną. - Krysia, odpowiadając Irenie, wzrokiem prosiła Zosię o wsparcie. - Rozumiem, że cieszy cię jego „wprost”, ale ono dotyczy tylko tego, co macie ochotę akurat skonsumować. - Kończąc, błagalnie spojrzała na Zosię, dając do zrozumienia, żeby ona przejęła pałeczkę.

- Irena, popełniasz znów ten sam błąd. Starasz się, żeby facet cię zaakceptował. Pamiętasz słowa mamy Adama: „Samoakceptacja kluczem do szczęścia” - przypomniała Zosia, ściskając pod stolikiem rękę Krystyny.

Martwiły się o przyjaciółkę, która zupełnie skapcaniała po śmierci męża jej matki. Irena wróciła już dwa dni po pogrzebie. Matka chciała zostać sama. To znaczy pod opieką siostry męża i jej męża. Zapewnili Irenę, że są i będą z matką. Oni, ze względu na wiek, lepiej rozumieją, co ona przeżywa. Wszystkie były wstrząśnięte, słuchając płaczącej Ireny po powrocie z pogrzebu.

- Położyli się. On chciał obejrzeć mecz. Mama przewróciła się na drugi bok i czytała. Usłyszała, że zachrapał. Z uśmiechem odwróciła się, żeby przyciszyć telewizor.

Powiedziała do mnie: „Ireczko, chciałam, żeby spokojnie obejrzał mecz do końca. Fonia tylko przeszkadzała w chrapankowej wizji”.

Wyciągając pilota z jego ręki, wiedziała już, że nie żyje. Nie oddychał. Serce nie biło. Zadzwoiła na pogotowie. Stwierdzili zgon. Dała mu obejrzeć mecz do końca i zadzwoniła do jego siostry. - W trakcie opowiadania Irena szlochała, one też.

Wszystkie zrozumiały, że cała miłość matki Ireny do męża zawarta była w słowach: „Dałam mu obejrzeć mecz do końca”.

- Irena, mama może sprzedać dom i wrócić, będziecie więcej razem. - Krysia mówiła tylko po to, żeby przerwać płacz

przyjaciółki.- Potrzebuje czasu na pożegnanie się z mężem - potarzała wyświechtane rady i jak większość osób w takiej sytuacji podparła się przykładem. - Tak jak moja. Tata jest z nią, ale już to, że go nie ma, nie przeszkadza jej cieszyć się życiem.

Milczały, płakały, mówiły to, co uważały, że może pomóc, i czekały, aż Irena dojdzie do siebie. Zosię martwił wniosek wysunięty przez Irenę: „Nie ma co liczyć na szczęście. Jeśli przyjdzie, to też odejdzie. To bardziej boli niż strata kogoś, kogo się nie kochało lub przynajmniej kochało, z góry zakładając, że wpadł na chwilę”.

Wszystkie trzy: Zosia, Krysia i Ula nie wiedziały, jak pomóc przyjaciółce. Zosia i Ula nie mogły powiedzieć Wieškowi. Irena stanowczo im zakazała. Romek poradził Krysi, żeby po prostu dawały jej się wygadać i poczekały. Musi minąć trochę czasu. Kiedy Irena zobaczy, że matka otrząsa się z żałoby, wtedy i ona zacznie inaczej myśleć. Zosia bała się czekać, widząc, jak przyjaciółka obojętnie zaczyna traktować związek z Bogdanem.

Adam rozłożył bezradnie ręce.

- Nie wiem, jak jej możecie pomóc. Wiem tylko, że moja matka z pewnością to wie. - Kończył mówić obsypywany gradem pocałunków przerywanych okrzykami Zosi. - Wiedziałam, że jesteś genialny.

Irena uświadomiła sobie

Irena siedziała w taksówce. Była już spóźniona dobre pół godziny, ale zapowiadało się, że spotkanie z przyjaciółkami jeszcze bardziej się odwlecze. Jeden pas jezdni został wyłączony z ruchu. Poruszali się z prędkością pół metra na parę minut. Pieszko byłoby szybciej, ale przejście kilku kilometrów na piętnastocentymetrowych szpilkach skończyłoby się wejściem na bosaka. Już słyszała

zadowolony chichot przyjaciółek i współczujące:

- Trzeba było powiedzieć, w którym sklepie, obejrzałybyśmy. Tyle kasy poszło w błoto.

Nabijały się z jej kompleksu wzrostu, ona odcinała się, że robi to tylko z myślą o ich dobrym samopoczuciu:

- Chcę dać wam szansę na dorównanie mi poziomem i z wrodzonej skromności i delikatności nie określam jakim.

Zadzwoniła, chcąc się wytłumaczyć, i uspokojona, że Krystyna stoi w tym samym korku, zdjęła pantofle, oparła głowę o siedzenie i przymknęła oczy.

Od ich ostatniego spotkania upłynęło kilka miesięcy.

Dziś znowu spotykają się we czwórkę na wspólne, wyczekiwane od dawna ple, ple, ple do białego rana. Wieczór paniński Zosi. Ula przyjechała już parę dni temu, przywożąc suknię ślubną. Chciała, żeby siostra miała kilka dni na ewentualne poprawki, które okazały się zupełnie niepotrzebne. Za to siostra była potrzebna Zosi do wszystkiego. Wirtualne rozmowy, wybory, rady nie pozwalają dotknąć, pomacać, poczuć zapachu radości, jaka przepętniała całe mieszkanie Zosi, którą same klientki musiały wysłać na wolny tydzień przedślubny. Krystyna dzwoniła do nich, prosząc, żeby odwołały wizyty, bo jej zdyscyplinowana i terminowa koleżanka zamierza w dniu własnego ślubu przyjść do pracy. Większość postawiła warunek. Muszą znać dokładną datę, godzinę i miejsce. Chcą być na ślubie. Irena z Krystyną w dniu przyjazdu Uli usunęły się na bok. Teraz najważniejszą doradczynią i powierniczką była siostra.

Tylko biedny Grześ wydzwaniał do jednej i drugiej, skarżąc się, że z tymi babami nie da się porozmawiać.

Z wujkiem Adamem też nie, a tata się tylko śmieje. Chłopiec ugiął się pod wagą bardzo ważnych problemów. Czy ma mieć muszkę, czy krawat, bo mama powiedziała, żeby sam zdecydował,

a skąd on ma wiedzieć, skoro pierwszy raz bierze ślub? Czy ma kupić mamie kwiaty, jakie i ile to kosztuje, bo nie wie, czy mu starczy forsy? Co ma im powiedzieć, składając życzenia? I najważniejszy problem: czy do wujka Adama może mówić „tato”?

Trzy dni temu Irena zabrała go do siebie, na jego wyraźną prośbę:

- Ciociu, zwariuję, mogę zanocować u ciebie? - I nie dając jej czasu na odpowiedź, potwierdził jej zgodę: - Mama się zgodziła i wujek przywiezie mnie do ciebie około szesnastej. Dobrze?

Po kolacji, jak zwykle, gdy u niej nocował, usiedli w dwóch rogach kanapy i przy jednym, małym palącym się kinkiecie i dwóch największych paczkach niezdrowych chipsów poważnie dyskutowali nad nurtującymi Grzesia problemami.

- Ciociu, przecież mama będzie Kowalska, jak ja i wujek, to chyba powinienem mówić „tato”? - Z przejęcia dostał wypieków. - Na mamę wujka już mówię „babciu”. To jak myślisz?

- Jak byś chciał mówić? - Irena spytała, mimo że odpowiedź miał wypisaną na twarzy.

- Tato! - chłopiec aż podskoczył. - Nie miałem żadnego, teraz będę miał dwóch. Byłoby fajowo.

- Grzesiu, zastanów się, czy nie porozmawiać z tatą. Może jemu będzie przykro, że na wujka też chcesz mówić „tato”?

- Coś ty?! Już pytałem. Tylko się teraz trochę boję - odpowiedział i wiercąc się ze zdenerwowania, rozsypał na kanapę chipsy. Zbierał po jednym i wkładał do ust, unikając wzroku ciotki.

- Musisz pogodzić się z tym, co powiedział tata. - Irena widziała oczka pełne łez, zmarszczone czoło i z całą siłą zagryzane wargi bardzo zdeterminowanego małego mężczyzny.

- Wiem i dlatego się boję - westchnął ciężko, po czym dorosłe, to znaczy bardzo grubym głosem, powiedział: - Trudno, muszę się z tym pogodzić, żeby mieć dwóch tatów.

- A dokładnie, Grzesiu, z czym się musisz pogodzić? - Irena powstrzymała się, żeby nie wyszedł z niej belfer w tak ważnym momencie rozmowy.

- Tata Wiesiek zgodził się. I bardzo się ucieszył. Już wiesz? - Wyraźnie bał się nawet powiedzieć, z czym się musi pogodzić.

- Nie. Dalej nie wiem, z czym?

- Tata Wiesiek ucieszył się, że teraz będę dostawał lanie od dwóch, to jego ręka nie będzie boleć- wyszeptał ze łzami w oczach.

- Grzesiátko... - Przysunęła się i przytuliła go. - Tata zażartował. Mówię prawdę. Uderzył cię kiedyś?

- Nie. - Płacząc, wtulił się w nią. - Ale mój kolega mówi, że ojciec prędzej czy później bije, jak wypije.

- Grzesiu... - Irena odsunęła go od siebie, przykucnęła i patrzyła prosto w jego zapłakane oczka. - Tata Wiesiek ani wujek Adam, nawet jak będziesz mówił do niego „tato”, nie biją dzieci. Dorosłych też nie. Oni rozmawiają i wyjaśniają, co jest dobre, a co złe i dlaczego?

- Ale mogą, bo piją - wykrztusił to najgorsze.

Irena jeszcze długo z nim rozmawiała, nie dziwiąc się jego obawie. Wyjaśniła mu, co jego kolega ma na myśli, mówiąc, że ojciec pije.

Na koniec wyczałowali się i umówili konkretnie. Gdy Grześ nie będzie pewien, czy dobrze coś rozumie, zaraz zadzwoni do cioci, która rozumie, że nie o wszystko można spytać mamę, tatę, a nawet panią wychowawczynię. Może dzwonić nawet w nocy, przed zaśnięciem, bo wtedy ma najwięcej wątpliwości. Chłopiec uspokojony poszedł spać, w przeciwieństwie do niej.

Irena, rozmawiając z młodszymi uczniami, nie raz musiała tłumaczyć rzeczy, które rodzicom wydawały się oczywiste. Większość nie zdaje sobie sprawy, że ich „doroste” dzieci rozumieją słowa, ale podkładają pod nie swój własny sens, w zależności od emocji, które same przeżywają. Jedna z jej uczennic zapłakiwała się po dowcipie ojca: „Ty nie możesz być moją córką?”.

W dodatku, jak się później w rozmowie wyjaśniło, był to pozdrowienie dla jej matematycznych zdolności.

Tylko że akurat właśnie wtedy większość dzieci w szkole zadawała sobie pytanie, czy aby nie są adoptowane. W telewizji był reportaż o dzieciach adoptowanych, które przybrani rodzice znów chcieli oddać do sierocińca.

Dorośli między sobą potrafią doprecyzowywać myśli, żeby mieć pewność, że się zrozumieli. Najczęściej w sprawach zawodowych, interesach, gdy chodzi o pieniądze. Tak jak były facet Ireny. Parę razy upewniał się, czy ona aby na pewno rozumie, że kupił dla siebie, sobie, za swoje i że ona jest u niego, w jego mieszkaniu, śpi na jego łóżku. Sobie natomiast sprząta, pierze, zmienia pościel, myje okna i podlewa kwiatki.

Będzie musiała porozmawiać z Zosią, uczulić ją na sposób rozumienia i mówienia do Grzesia; ale to już po wszystkich uroczystościach, na spokojnie.

Irena otworzyła oczy, chcąc się zorientować, gdzie są, i widząc, że sytuacja na drodze niewiele się zmieniła, znów oparła głowę i po chwili zamknęła oczy. Ciekawe, jak dziewczyny zareagują na jej rewelację? Ledwo pomyślała i od razu postawiła sobie minusa. Retoryczne pytanie. Ucieszą się ociupinkę mniej niż ona. Od czasu wypadku są stale razem. Esemesami, mailami, zdjęciami albo na skype'ie. Wystarczyło, żeby dwie z nich się skontaktowały, a i tak były jakby we cztery, bo dokładnie omawiały nowinki u każdej z nich.

Teraz najważniejsze było, żeby Krysia nie urodziła przed czasem. Termin miała wyznaczony trzy dni po ślubie Zosi. Wszystkie denerwowały się i wyplakiwały swoje obawy mamom.

Mamy Krysi, Ireny, Zosi i Uli musiały na prośbę córek zaadoptować pozostałe. Do mamy Krysi Irena wpadała raz, dwa razy w miesiącu chociaż na pół godzinki, w zastępstwie swojej, która była daleko. Jej wyplakiwała swój żal, lęk o mamę, pomstowała na okrutne i beznadziejne życie po powrocie z pogrzebu męża mamy.

W rozmowach z mamą Adama odkrywała na nowo znane prawdy, nad którymi dotychczas przechodziła do porządku. „Kochającej osobie ta kochana i też kochająca może wszystko powiedzieć”. Nie! Nie tylko że nie może, ale nawet nie powinna.

Sobie ulży, wypruje wnętrzości pełne oskarżeń, „bo ty zawsze, bo to przez ciebie, bo dla ciebie liczysz się ty, bo mnie skrzywdziłeś, bo jestem, a ty mnie nie dostrzegasz”, bo, bo, bo...

Zrzuci parę kilogramów, powiększając uczucie ulgi wagą łez i wydzielonej energii. Nawet jeśli dalej jest źle, to już mniej o satysfakcję z: „Ale mu powiedziałam, niech wie, jaki jest, niech nie myśli, że nie wiem, niech ma za swoje”.

„Ci, którzy mówią wszystko, zapominają, że rzucony kamyczek może spowodować lawinę” - powiedziała mama Adama, gdy rozmawiały o emocjach, sposobach ich rozładowywania i skutkach. „Nasze w żalu wykrzywane «ty zawsze...» wzbudziły poczucie rozgoryczenia, krzywdy, niezrozumienia. Z czasem «ty» dostrzega rozbieżność między oczekiwaniami a rzeczywistością. Swoimi oczekiwaniami i dla swojego dobra przerywa kontakt ze źródłem negatywnych emocji. Odchodzi, porzuca, zostawia - szczęśliwy, bo wyzwolony «on» jeszcze bardziej nie-szczęśliwą «ją»,,.

I mówiąc o tak przerażających efektach, mama Adama śmiała się do rozpuku.

Na pytanie Ireny, dlaczego mówi, że on porzuca ją, a nie odwrotnie, a w dodatku się śmieje, mama Adama z lekko kpiącym uśmiezkiem odpowiedziała: „Słowny sposób zrzucania emocjonalnego ciężaru dotyczy płci żeńskiej. Większość osobników płci męskiej rozwój psychiczny ma na poziomie pantofelka” - i opowiedziała jej bajkę.

To było już dawno, dawno temu, za siedmioma górami, rzekami i lasami. On zobaczył pantofelek, podniósł, popatrzył, potrzymał (nie wiadomo, czy wahał) i najczulszym organem odebrał bodziec.

On był prawdziwym mężczyzną. Wziął gablotę, trochę sztabek złota i wkładając pantofelek na swoje miejsce, powiedział: „Chcę cię, a ty chcesz?”. I szybko pokazał jej wypasioną karocę, opisał antywłamaniowy zamek w drzwiach apartamentu i zapewnił, że będzie szczęśliwa, trzymając (nie tylko w dłoniach) jego wspaniałe berło. I długo, bardzo długo będą w niebie - szeptał - a w myśli dodawał: dopóki nie trafię na modniejszy fasonik bucika. Bo to był prawdziwy mega on i w dodatku zawsze dotrzymywał słowa. Koniec bajki.

Irena musiała mieć bardzo głupią minę, bo mama Adama zapewniła ją, że za chwilę będzie dalszy ciąg.

I był.

Większość dzisiejszych facetów z ciężarami ma problem tylko na siłowni. Emocjonalne im nie grożą, bo profilaktycznie rzucają mięsem, kopną w co się da lub zapiją kolejnym piwkiem. Brak czasu na bzdety i mały zasób słów zmusza bysia do najprostszego sposobu pozbycia się piórkowego ciężaru nadmiaru uczuć. Trzaśnie za sobą drzwiami; albo za nią. Ewentualnie wykrzyczy: „Masz, czego chciałaś!”. Ten kulturalniejszy rzuci w biegu parę słów: „Było miło, ale się skończyło” i w promocji dołoży czarujący uśmiech. Supernowoczesny do wyemancypowanej (Irenko,

w tym wariantcie obowiązuje równouprawnienie płci) powie z zaakceptowaną wolnością i swobodą: „Było w porzo, narka”. Ten starszawy: „Wydoiłaś mnie, starczy”. A ten kochający wyszepecze najczulej: „Kochasz mnie, to zrozum, spotkałem kobietę swojego życia. Ty jesteś taka dobra, wybaczysz mi” i cichutko zamknie drzwi.

Mama Adama przestała się uśmiechać, zamyśliła się i po chwili mówiła cicho, jakby do siebie:

- Dużo gorsze skutki przynosi zrzucanie na kochające nas najbliższe osoby pseudo ciężaru, który nam teraz, w tej chwili spadł na głowę. Jak najszybciej podrzucamy go, by poczuć ulgę. Czasami świadomie, częściej nie zdając sobie sprawy, że na kochane plecy wrzuciliśmy tonę.

Pożegnały się, ale Irena długo zastanawiała się nad tym, co usłyszała.

Kochała matkę i była pewna jej miłości. Zawsze szczerze mówiła jej, co ją gniecie, co dokucza, co boli. Olśniło ją dopiero niedawno.

Zadzwoiła mama, jak zawsze pytając:

- Co u ciebie, jak się czujesz, córeczko?
- Okropny dół, żyć się odehciewa - odpowiedziała.
- Chcesz pogadać? - zapytała mama.
- Nie! Wszystko mnie boli, głowa pęka. Chyba mam gorączkę. Wezmę proszek i położę się.
- Córeńko, puść esemesa jak wstaniesz, nie będę dzwonić, żeby cię nie obudzić. Czekam na wiadomość.

Rozłączyła się.

Irena zdążyła wyjąć z apteczki proszki przeciwbólowe, gdy znów usłyszała dzwonek komórki. Zadzwoił Bogdan.

- Irena, wychodzę wcześniej, masz ochotę potańczyć?

Ona odpowiedziała bez chwili wahania:

- Pewnie. Łeb mi pęka, ale nie na tyle, żeby nie poszalała.

Bawili się świetnie, po powrocie też. Zmęczona, ale szczęśliwa zasypiała, gdy przyszedł esemes: „Córeńko, jak?!?! Ja nie śpię, daj znać”.

Irena wyprostowała się i popatrzyła przez szyby taksówki. Jadą w sznurze pojazdów, ale poruszają się płynnie. Niedługo będzie na miejscu. Stanęli. Czerwone światło. Widząc matkę, która trzyma za rączkę maleńką księżniczkę, drepczącą dumnie po pasach, uśmiechnęła się do swoich myśli.

Po rozmowie z mamą Adama uświadomiła sobie, że przez własny strach nadawała fałszywe wiadomości do Bogdana. Od razu po powrocie weszła do pokoju, zgasiła telewizor, ze zdenerwowania stanęła na baczność i najprostszymi słowami powiedziała:

- Bogdan. Chcę, żebyś się ze mną ożenił i chcę mieć dziecko.
- Poważnie!? - Z krzykiem radości wstał i przyklęknął przy niej, chowając twarz w jej brzuch.

Potem już płakali razem, to znaczy ona po kobiecemu, czyli prawdziwie, on z męską możliwością. Powiedział, że od dawna chciał i że bardzo chce i dziecko, i dom, i drzewo, i psa. Patrząc na nią, pytał zaniepokojony:

- Nie jesteś alergiczka? Nie ugryzł cię w dzieciństwie pies? Nie masz fobii?

Siedząc na niebiańskiej chmurce, Irena anielsko śpiewała:

- Nie jestem, nie ugryzł mnie ani żaden pies ani koń, nie mam fobii, nie znoszę brukselki, odstawiam tabletki i chcę wiedzieć, czy twój ojciec bił matkę i...

Bogdan nie dał jej dokończyć, bo od błysków z jej oczu zaworował mu sufit i natychmiast musiał, po prostu mus zmusił go do połączenia dwóch ciał dla uzyskania lepszej stabilności.

Irena, wysiadając z taksówki pod domem Wieśka, była podeenerwowana. Nie widziała się z nim od spotkania w szpitalu, po

wypadku. Kiedyś w przelocie, w „Saloniku urody”, ale szybko wyszła, bojąc się rozmowy z nim. Teraz on urządza wieczór paniński Zosi. Gdy tylko usłyszał, że planują pojechać do jakiejś fajnej restauracji za miasto, od razu zaproponował swoje mieszkanie. Obiecał nawet striptizera, ale u niego, na miejscu. Z „oryginalnych” atrakcji zrezygnowały. Miał zapewnić dobre jedzonko, alkohol i przygotować spanie.

Ula miała spać z Zosią. Irena z Krystyną osobno, chyba że zmieniąby zdanie. Zosia, parodiując minę Wieśka na tę rewelację, spowodowała atak śmiechu u każdej. Wiesiek miał mikro poczucie humoru, podobnie jak mąż Krystyny. Adam chwycił w lot, Bogdan w zależności od sytuacji. Ula chwaliła się, że jej mąż stoi na najwyższym podium. On śmieje się z samego siebie. Od czasu ślubu z nią.

Irena była zaniepokojona, ale nie tym, że go spotka, tylko niepewnością, czy go spotka.

- Wchodź, Kryska już dobiła. Czekamy na ciebie - przywitała ją Zosia, prowadząc do pokoju.

- Ooo! Ile centymetrów? - Natychmiast zauważyły obcasy. Podeszły i stając plecami, sprawdzały wzrost. - Eee! Za niskie! Poniżej naszego poziomu - skrytykowały, po czym kazały zdjąć, żeby obejrzeć z bliska.

- Chodźcie do łazienki, tam jest najlepsze lustro. Przymierzę!
- Zosia złapała buty. Nosiła ten sam rozmiar, ale na mikro obcasikach. - Może założę do cywilnego, pasowałyby do sukienki - planowała, przytulając dwa szpilekowe cudeńka do siebie.

- Idźcie. Należę sobie coś do picia i przyjdę - powiedziała Irena, widząc wchodzącego do pokoju Wieśka.

Przywitali się. Nalał jej wina i podając kieliszek, spytał: - Jak mama?

Żadne: „Dawno cię nie widziałem” albo „Co u ciebie słychać?”, a przynajmniej „Jak w pracy?”, w ostateczności „Mam

nadzieję, że dobrze będziecie się bawić”. Mógł też powiedzieć: „Przykro mi, że mąż twojej matki nie żyje”.

Ula przed przyjazdem zadzwoniła do Ireny, z przeprosinami. Upłynęło trochę czasu i w trakcie jednej z dyskusji powiedziała Wieskowi, że matka Ireny jest wdową. Po powrocie Wiesiek słowem nie napomknął Zosi, że wie.

Nie - on wszedł, przywitał się i zapytał: „Jak mama?”. Całą resztę wyczytała w jego spojrzeniu.

- Dziękuję. Lepiej.

- Irena, są super! - Zosia krokiem modelki weszła do pokoju, za nią dziewczyny.

- To ja was zostawię. - Wiesiek wycofał się w stronę przedpokoju. - To paniński wieczór.

- Zostań, a nuż nabierzemy ochoty na męski striptiz. - Ula, śmiejąc się, dodała od razu: - To żart. Za karę porobisz za kelnera, w restauracji nie musiałybyśmy same się obsługiwać.

Wszystkie zgłodniały i chętnie usiadły do pałaszowania, tym bardziej że na półmiskach wnoszonych przez Wiesława były same smakowitości. Wybłągały, żeby Ula w tak wyjątkowy wieczór darowała im gruntowną analizę tego, co nakładają na talerze. Po pierwsze - były głodne, po drugie - wygląd zachęcał do zjedzenia i po trzecie, najważniejsze - nie chciały myśleć o szkodliwej chemii, maltretowanych zwierzakach i wrzucanych kaloriach.

Chciały wreszcie pobyć razem, pośmiać się i pogadać o tym, co najważniejsze. Każdy ruch, kopnięcie dziecka Krysi czy Uli przeżywały we czwórkę. Zosia podsuwała rady z własnego doświadczenia. Irena śmiała się, słuchając o powiedzonkach, rozterkach i niepewnościach Romana i Janusza, ale jednocześnie doradzała dziewczynom, by doceniły tak wielkie zaabsorbowanie przyszłych tatusiów.

W końcu omówiły jeszcze raz detale sukienki ślubnej,

zdecydowały, że szpilki Ireny natychmiast trzeba zapakować do siatki. Zosia przymierzy do sukienki i zastanowi się, które buty założy. Wiesiek znalazł w szafce jakieś stare kalosze Zosi, w których Irena wróci do domu. Przesiadły się, każda przyjmując swoją ulubioną pozę, i przyszedł czas na poważne rozmowy.

- Słuchajcie, opowiem wam rewelację wczorajszego dnia. - Zosia z zadowoleniem odnotowała, że już były zaciekawione. - Zgodziłam się z Adamem, że... - przerwał jej głośny wybuch śmiechu.

- Nie! Niemożliwe! Nie wierzę! - Ula miała ukryty talent aktorski, co właśnie udawadniała swoimi zaskoczonymi minami i gestami.

- Rzeczywiście, rewelacja wieczoru - potwierdziła Irena, pokładając się ze śmiechu. - Trzepnąć cię? - spytała, podchodząc do krztuszącej się Krystyny, która machała ręką, że na pewno nie.

- Za chwilę będziecie mnie błagać na kolanach. Zobaczycie. - Zosia ciągnęła wątek, nie przejmując się ich reakcją. - Zgodziłam się, że najszcześniejsze małżeństwo to małżeństwo obojętne. - Skończyła, z satysfakcją patrząc na ich ogłupiałe nic nie rozumienie.

- I ty znów mu przytaknęłaś? - W pytajniku Ula zawarła całe swoje oburzenie na niereformowalną siostrę. - Na obojętne! - wykrzyknik jasno tłumaczył, co ona o tym myśli.

- Kompletnie jej odbiło. - Kropka została pogrubiona aplauzem pozostałych.

- Tłumacz się. - Irena za często rozmawiała z przyszłą teściową Zosi, żeby nie domyślić się, że w tej obojętności ukryty jest haczyk. Widząc dawane przez Zosię znaki, przyklękła. - Błagam i w ich imieniu.

Ula z Krystyną potwierdziły machaniem złożonymi jak do modlitwy rękami i błagającymi spojrzeniami.

- Wybaczam. - Zosia skinieniem dłonią pozwoliła Irenie

wstać. - Małżeństwo z dużą ilością zasad zagrożone jest utratą wolności osobistej. To, w którym jest za dużo kwasów, kończy się rozwodem. Wniosek prosty, tylko odczyn obojętny gwarantuje trwałość.

Oklaski przyjmowała Zosia na stojąco, utrzymując postawę godną koronowanej przyszłej obojętnej żony, mimo że Krystyna użyła do koronacji liścia sałaty, zlizując z niego wcześniej trochę majonezu. Najważniejsze, że Irena uwieczniła tę chwilę triumfu, pstrykając kilka fotek.

- Hej! Dziewczęta! - krzyknął Wiesiek, chcąc przebić się przez decybele panińskiego wieczoru. - Idę do klubu, wpadnę za dwie godziny sprawdzić, co u was - poinformował gotowy już do wyjścia.

- Zamknę za tobą, i tak muszę do łazienki - zaoferowała się Irena. Sięgnęła po torebkę i w za dużych klapkach, które dał jej Wiesiek, podreptała do przedpokoju.

Czekał, stojąc w otwartych drzwiach. Miał klucze, mógł sam zamknąć. Wyczuł, że chce mu coś powiedzieć. Stała przy nim, taka mała jak kiedyś, z tym samym zdziwionym i ufnym spojrzeniem, i milcząc sięgnęła do torebki. Podała mu kopertę.

- Zadzwoń. Najlepiej jutro - szepnęła, lekko go pchnęła i zamknęła za nim drzwi.

Irena weszła do łazienki. Chwilę popatrzyła w lustro na potakującą z zadowoleniem głowę, roześmiała się i wróciła do dziewczyn.

- Co taka grobowa cisza? Temacików nie macie? - zaszczębiotała i naląła sobie wina. - Wiesiek to wolny człowiek, mogą popflirtować - wytłumaczyła się, odpowiadając na ich nieme pytania, i duszkiem wypijała wino.

- Z Wieśkiem? - oburzyła się Ula. - Przecież on był z twoją matką!

- I z Zosią! - wykrzyczała zdumiona Krystyna.

- No i co z tego! - Irena dołała sobie wina i znów wypijała

duszkciem. Kątem oka widziała wpatrzona w siebie rozumiejące oczy Zosi.

- Właśnie, co z tego - poparła ją Zosia, wstała i z kieliszkiem wina w górze, patrząc na Irenę, wzniosła toast: - Piję za następny ślub.

- À propos ślubu. Chciałam właśnie powiedzieć, że to Irena powinna złapać wiązankę - odezwała się Ula, patrząc na rozanielone twarze Ireny i siostry. - Tylko teraz już nie jestem pewna. Nic nie rozumiem.

- Ulka! Nie tylko powinnam, ale muszę - tajemniczo zareagowała Irena, biorąc Zosię pod rękę. Nucąc trochę fałszywie marsza weselnego, udawały młodą parę dumnie kroczącą przez kościół do ołtarza.

- Ja też nic nie rozumiem - przyznała Krystyna, westchnęła i pokazywała Uli, że tamtych zupełnie odbiło.

Irena z Zosią, nie zwracając uwagi na nic nierozumiejące przyjaciółki, podśpiewując, obeszły dwa razy pokój w takt marsza i stanęły naprzeciwko siebie.

- Ja, Bogdan, biorę sobie ciebie, Ireno, za żonę... - Zosia z trudnością opanowywała śmiech, patrząc na ogłupiałą minę siostry i Krysi.

- Dalej - poleciła Irena, zachowując powagę.

- Przestańcie się wygłupiać i mów, Irena, po ludzku. Bogdan ci się oświadczył? - Ula z pomocą Krysi rozdzieliła stojącą przed nimi parę młodych. - Dość. Spowiadaj się.

- Nie on mnie, tylko ja jemu! - triumfującym krzykiem Irena objawiła prawdę i śmiała się tak radośnie i serdecznie, że wszystkie ją spapugowały, robiąc przerwę na gimnastykę mięśni twarzy, brzucha i pleców.

- Nie! Dlaczego? Ja dzisiaj nic nie kapuję - powiedziała bezradnie Ula, nie mogąc złapać tchu.

- Odważyłam się po wysłuchaniu jednej z bajek mamy Adama - zdradziła Irena, kiedy już mogła mówić.

- To proste. On chciał, tylko nie wiedział, czy ona chce. Ona chciała i też nie wiedziała, czy on chce - tłumaczyła Zosia, pokazując zyg-zyg swojej mądrej siostrze.

- Zaraz! Chwila! - Krystyna uciszała pozostałe. - W tym największy jest ambaras, żeby dwoje chciało naraz. Dwoje chciało i też źle? - W niezrozumieniu wtórowała Uli.

- Bo to powiedzenie już nieaktualne, tak powiedziała mama Adama. - Irena wstała i z groźną miną zwróciła się do Krysi.

- Uczennica korzysta z przestarzałych źródeł. Czas na lekcję. Przeczytam pracę naukową mamy Adama. Praca domowa to interpretacja, co autorka miała na myśli. Cisza! Czytam. Dziś nie ma ambarasu, bo to przestarzałe słowo, a co stare to fe. Dwoje chce, jak chcą, to mają mniej lub bardziej udaną uprawę seksu.

- I czasami plon, ale to przeważnie jedno z nich - odezwała się bez pozwolenia drugoroczna Zosia, która już ten temat poznała, zanim zaczęła brać korepetycje u matki Adama.

- Nie odzywać się bez pytania, bo wyrzucę z lekcji - strofowała Irena, mroząc wzrokiem krnąbrną uczennicę. Po chwili udawała, że czyta dalej: - Obydwoje wiedzą dokładnie, czego chcą i jak chcą. Jeśli nie wiedzą, to mówią wprost: Chcę tego, tak, tyle i tu.

- Proszę pani. To dlaczego nie wiedzą tego, co powinni? - odważyła się spytać Krysią, ale bardzo cieniutkim głosem.

- O, to jest pytanie! Myślisz - pochwaliła nauczycielka, bo należała do tych belfrów, co chwałą uczniów za myślenie.

- Wiedzieć? Czy nie wiedzieć? Nurtujący dylemat. Jak się przyznam, że chcę wiedzieć, to się skompromituję. Przyznać się do fantazji erotycznych jest cool, ale do fantazjowania na temat małżeństwa, rodziny, dzieci - to obciach. Dowód niedojrzałości emocjonalnej w XXI wieku.

Samowystarczalny on i samowystarczalna ona za priorytet

uznali swoją wolność, niezależność i prawo do braku odpowiedzialności za uczucia przypadkowej jej czy chwilowego jego. Super życie - dla tych, co dokonali świadomego wyboru. Ich po nocach nie straszą pytajniki. Nie wiedzą, jak boleśnie świdrują wykrzykniki. Oni znają tylko kropki.

Im trzeba pogratulować i życzyć (szczerze) powodzenia. I z całego serca trzymać kciuki, żeby za późno nie odkryli istnienia pozostałych znaków i nie zapragnęli doksztalić się, bo nie zawsze prawdą jest, że na naukę nigdy nie jest za późno.

Szamoczą się ci, którzy chcą być nowocześni, tylko bardziej tradycyjnie. Koniec wykładu - stanowczo powiedziała Irena i usiadła.

- Mam pytanie. Czego się bali? - Ula wstała grzecznie z zawstydzoną miną, że jej tępota przechodzi wszelkie granice.

- On chciał się jej oświadczyć, ale bał się, że ją straci. Ona ciągle powtarzała o chwilowości związków i że jest przygotowana na rozstanie - odpowiedziała Zosia, która znała lekturę ponadobowiązkową.

- Irena, a ty? Przecież mówiłaś, że Bogdan od początku prosił o mówienie wprost, bez niedomówień - dopytywała Krysia już na poważnie.

- Tak. Ale on mówił wprost tylko o dniu dzisiejszym, nic nie powiedział na temat przyszłości.

- Irena, ty jesteś głupsza niż myślałam. Ja od razu powiedziałam mojemu, że czekam na oświadczyzny i jeszcze długo i cierpliwie musiałam go namawiać. - Ula po raz pierwszy przyznała się przyjaciółkom do tego, co Zosia wiedziała dawno. - Lepiej powiedz, jak Bogdan zareagował na twoje: „Ożeń się ze mną”.

- Ukłakł i wykrzyczał: „To ja cię proszę, żebyś została moją żoną”. Potem fundnęliśmy sobie wspaniałą noc przedślubną, a później długo rozmawialiśmy, czego i jak każde z nas chce we wspólnym życiu.

Stłumione, chropowatym głosem wypowiedziane słowa: „Dziewczyny, wpadłem tylko po kluczyki”, zagłuszyły krzyki przestraszonych dziewcząt.

- O Boże!
- Dlaczego nas straszysz?
- O matko kochana!
- Zgłupiałeś, chcesz żebym własnego ślubu nie doczekała?

Jedna przez drugą krzyczały wpatrzona jak w widmo w znie-nacka zmaterializowaną postać Wieśka.

- Hałasowałyście, wyjeżdżam! - krzyknął Wiesiek. Odwrócił się i prawie biegł do drzwi.

- Stój! - Ula miała najbliżej i najszybciej zareagowała, przy-trzymując go za marynarkę. - Po nocy?! Coś się stało? Gdzie wy-jeżdżasz? Na ile?

- Macocha! On wyrósł z pieluch. Puść go - nakazywała Zo-sia. Stała obok i próbowała odgiąć palce siostry, która kurczo-wo zacisnęła dłoń i nie dawała szansy szamoczącemu się pasier-bowi.

- Wiesiek! Jesteś bardzo zdenerwowany, powiedz, co się sta-ło? - Krysia oparła się plecami się o drzwi wyjściowe.

- Uspokójcie się. Nic się nie stało. Muszę wyjechać - wyja-śniał Wiesiek i próbując wyzwolić się z uścisku, zdejmował ma-rynarkę.

- Spokój! Cisza!

Niespodziewany krzyk miał tak duże natężenie decybeli, że ogłuszona Zosia cofnęła się. Ula, upuszczając marynarkę, zrobiła dwa kroki do tyłu i wpadła na siostrę, o mało jej nie przewraca-jąc. Krystyna zbladła i o mało co nie wyszła tyłem przez za-mknięte drzwi. Wiesiek stał nieruchomo i wpatrywał się w Irenę, jakby stracił całą pewność, co ma zrobić.

- Kryśka, marsz do pokoju!

Wszyscy oprócz Ireny wzdrygnęli się i odruchowo zatkali uszy. Krystyna jakby wciągnięta przez wir powietrza znalazła się w pokoju, Ula za nią. Zosia zdenerwowana niepewnością w twarzy Wieśka patrzyła wyczekująco na przyjaciółkę podchodzącą do drzwi. Irena otworzyła i swoim normalnym, ciepłym głosem powiedziała do Wieśka:

- Szerokiej drogi. - Pchnęła go do wyjścia i stojąc już w progu, szepnęła: - Powodzenia.

Zoska podniosła marynarkę, z wieszaka ściągnęła płaszcz i wybiegła za Wieśkiem.

- Masz dokumenty? - upewniała się, podając mu marynarkę i czekając, aż sprawdzi. Miał. W płaszczu. Wyjął i trzymając je w ręku, ruszył do windy. - Załóż. - Podała mu marynarkę. Założył. - Weź płaszcz. - Wziął. Podeszła z nim do windy, wcisnęła przycisk. - Jedź ostrożnie. Martwy nic nie załatwisz - uprzedziła. Poczekwała, aż zamknęły się drzwi windy.

Irena stała w progu mieszkania, czekając na Zosię. Chciała jej zadać jedno jedyne nieme pytanie. Zosia stanęła przed nią i szepnęła:

- Tak. Nie gniewasz się?

Irena też szepcząc:

- Nie. Ja też.

Roześmiały się, zamknęły drzwi i weszły z głośnym: la, la, la, marszem Mendelssohna w ciszę pokoju.

Wiesiek słuchając...

Wiesiek wsiadł do samochodu, włożył kluczyki do stacyjki, uruchomił silnik, wcisnął pedał sprzęgła, wrzucił bieg i dodał gazu. Wszystkie czynności wykonywał, jakby pierwszy raz miał prowadzić samochód. Ruszył, ale do tyłu. Odruchowo wcisnął hamulec i silnik zgaś.

Dłuższą chwilę siedział nieruchomo, trzymając ręce na kierownicy, starając się głęboko i rytmicznie oddychać. Musiał się uspokoić. Spojrzał na zegarek, za trzydzieści pięć minut północ. Uśmiechnął się, słysząc głos Katarzyny, tak jakby siedziała tuż obok.

- Wiesiu, pośpiesz się, czas na zamknięcie dnia.

Oparł głowę na zagłówku, zamknął oczy i myślami powrócił do momentu, kiedy wskazówka na skali nadziei lekko drgnęła w górę.

To Zosia stanęła po jego stronie, pewnie domyślając się, gdzie go ciągnie. Kilka dni temu zadzwoniła na komórkę.

- Jesteś w domu?

- Jestem. Biorę prysznic. Przypomniało ci się coś? - spytał, nie ukrywając ironii.

Poprzedniego dnia do późnej nocy siedzieli we trójkę i dopinali wszystkie zatrzaski, jak to określiła Zosia. Adam, cierpliwie po raz enty zapewniał ją: wiązanka śliczna, suknia będzie akurat, a obcas się nie złamie, bo on nie pozwoli, żeby się potknęła albo zemdlała przed powiedzeniem „tak”. Pozwoli jej paść mu do stóp już jako żonie, bo to najwłaściwsza pozycja kochającej małżonki. Zosia machnęła ręką na przyszłego i poprosiła Wieśka:

- Jako świadek masz święty obowiązek obmyślić jakieś zabezpieczenia, żeby nie było żadnej wpadki.

Nie chciał jej rozczarować swoją bezradnością i poradził się Uli. Wiedziata od razu:

- Wiesiu, wystarczy jak tej zwariowanej narzeczonej powiesz, że dopilnowałeś mnie jako świadkową. Mam wszystko, od zapasowych butów po agrafkę i na wszelki wypadek kwiaty w formie wiązanki.

- Stoję pod drzwiami! Otwórz! - Zosia była już zniecierpliwiona i bliska płaczu.

Musiało się coś stać - pomyślał, słysząc jej ton. Namydlony wyszedł z kabiny, owinął się ręcznikiem i na bosaka poszedł szybko otworzyć.

- O co chodzi? Wchodź. - Dostrzegł, że stoi i wyciąga rękę z jakimś świstkiem papieru.

- Nie. Chciałam tylko ci to dać. - Zosia stała cała w wypiekach, ze łzami w oczach i rozgorączkowana. - Obiecałam Irenie, że nie powiem, ale Ula powiedziała, że wiesz od niej. Masz. - Podąła mu kawałek oderwanego z czegoś papieru. - Los ma makabryczne poczucie humoru, ale w swój specyficzny sposób przebaczył ci. Zapytaj, może ona też ci wybaczy. Trzymam kciuki. - Pocałowała go i poszła do windy.

Zamknął drzwi, wszedł do pokoju i skierował się prosto do barku. Nalał sobie solidną porcję koniaku i pijąc, wpatrywał się w słowa napisane na kartce. Zwykle imię i nazwisko. Nazwa miasta, ulicy, numer domu i telefon. Znajome było tylko imię - Katarzyna.

Od czasu ich przypadkowego spotkania w szpitalu, po wypadku dziewczyn, Kasia nie zadzwoniła ani razu. Czekał, łudząc się, że zadzwoni z okazji imienin, świąt, Nowego Roku. Na próżno. Potem media mówiły o głośnej sprawie, w której był sędzią. Nie odezwała się. Jego nadzieja spadła poniżej zera. Czuł tylko rozgoryczenie, żal do samego siebie i beznadziejność. Praca stała się obowiązkiem, jedzenie czynnością fizjologiczną.

W dodatku dzięki szczerym rozmowom z Ulą otworzył się i już umiał rozmawiać o swoich emocjach, tylko nie miał z kim.

Sen w objęciach wijącego się, nieutopionego robala nie dawał zapomnienia. Rozmowy filozoficzne z samym sobą skutkowały jeszcze większym kacem. Na pytania nie dostawał odpowiedzi, wykrzykniki zaskutkowały wizytą zaspanego sąsiada oferującego pomoc. Kropki nie mógł postawić, za bardzo był pijany.

Wymancypowane kobiety w dniu dobroci dla zwierząt przyznały mężczyznom prawo do posiadania świadomości przypisywanej niektórym zwierzętom - to znaczy zdawania sobie sprawy z istnienia otoczenia.

Te łaskawszym okiem patrzące na płę męską okazały miłosierdzie i zgodziły się zrównać męczyznę z szympansem - czyli uznać, że ma prawo do świadomości samego siebie.

Stan wyższej świadomości - samoświadomość - zarezerwowały wyłącznie dla płci żeńskiej, wychodząc z logicznego skądinąd założenia, że świadomość własnego życia psychicznego właściwa jest ludziom.

Męczyzna, chłop, facet, tym bardziej bysio lub ciacho - nie jest ludziem, co najwyżej czasami ociera się o człowieka.

Wiesiek po okresie samoleczenia przypomniał sobie, że los zesłał mu przyjaciela, z którym mógł spokojnie porozmawiać na wszystkie tematy, bez obaw, że uzna go za babę.

Młodą macochę, która była jedyną dojrzałą i mądrą istotą ludzką, jaką znał. Nie dość, że rozumiała, to jeszcze uznawała za normalne, że facet też zna znaczenie słowa „emovere” i to z rozszerzeniem na afekty, nastroje, sentymety i namiętności. Nie tylko zna teoretycznie, ale i w praktyce reaguje na pozytywne i negatywne emocje z takimi samymi efektami, jak kobieta. Nieobca mu euforia i rozpacz. Miłość i nienawiść. Podziw i zawiść. Ból cierpienia i radość chwili.

Do szczęścia też potrzebuje zrozumienia, akceptacji, szacunku, miłości i przynależności.

Wiesiek rozumiał, że dawniej, siła wyższa, prawa do przysłowiowego płaczu nie miał. Dziś dziwił się, wiedząc, że obrodziło równouprawnienie i pytał sam siebie: „Dlaczego nie?”. Tylko nadal wstydził się krzyknąć: „Kiedy do kodeksu praw męskości wpiszeć prawo do płaczu?!”.
Niejeden śmiałek, próbujący uszczknąć w ciemnym zaułku

jakiś paragrafik, skazany został przez Kobięcy Trybunał Konstytucyjny surowym wyrokiem na dożywotnie zbabienie. Jego wizerunek zniewieściałego dupka pokazują we wszystkich mediach ku przestrodze innym prawdziwym mężczyznom.

Z nieustannie reklamowanym pragnieniem - stuprocentowy facet ma prawo wyżywać się, bijąc, odreagowywać wulgarnością i topić emocje w litrach alkoholu.

Ula była inna. Najpierw w kontaktach z nią Wiesiek czuł się starcem. Szybko przerzucał wzrok na ojca, żeby stracić kilkanaście lat, ale widząc wysportowaną, umięśnioną sylwetkę, młodością rozświetlone oczy i szczęśliwy wyraz twarzy dołował się jeszcze bardziej.

W niedługim czasie w rozmowach z nią zapominał o różnicy wieku. Nieraz zaskakiwała go bezpośredniością, dojrzałymi przemyśleniami przy braku doświadczenia życiowego. Pokazała mu swoją literaturę, czytała dużo, przeważnie książki z dziedziny psychologii. Od podręczników dla studentów, przez beletrystykę, do trudnych rozważań filozoficznych.

Poważnie mówiła, że to jej konik, śmiejąc się, dodawała, że polny, bo taki bardziej pasuje do prostej, wiejskiej dziewczyny.

- Ula, muszę sobie popłakać! - pożalił się w telefon i na drugi dzień pojechał do nich na dwa dni. Przy koniaku rozkleił się, wyrzucając z siebie złość na okrutny los i beznadzieję życia: wstać, zjeść, praca, zjeść, spać.

- Uleńko, ciągle powtarzasz, że jesteś szczęśliwa. Powiedz, co czujesz?

- Wiesiu, głodny powie, że jest szczęśliwy, bo się najadł. Najedzony, wyspany pomyśli, żeby zająć się czymś, co lubi. Jak okaże się, że doceniono go i dobrze zapłacono, zaspokoi potrzebę samorealizacji. Poszuka kogoś, kto będzie go szanował. Zamarzy mu się miłość. Jak wzajemna i silna, to zaspokoi potrzebę przynależności i stworzy swój mały świat, by poczuć się bezpiecznym.

Ula swoim zwyczajem siedziała po turecku na ziemi naprzeciwko Wieśka wygodnie umoszczonego w za małym dla niego fotelu. Jego wzrost i coraz większa nadwaga powodowały, że całość wyglądała dość komicznie. Pół torsu z głową opartą o ścianę było powyżej; wyprostowane, wyciągnięte nogi poniżej; w fotelu rozpięrało się jego brzuszysko.

Najdziwniejsze było to, że do dłuższych pogawędek przez telefon czy na skype'ie też przybierała tę dziwną, według Wieśka, pozycję.

- Może byś usiadła wygodniej? - Podczas każdej rozmowy Wiesiek nie mógł się powstrzymać od rzucenia tej propozycji, chcąc usłyszeć jej odpowiedź.

- Może ty, cudaczku-wyśmiewaczku, usiadłbyś przy mnie? - odpowiadała za każdym razem z niepohamowanym, dźwięcznym, radośnie dziecinnym śmiechem, na dźwięk którego Wiesiekowi poprawiał się nastrój i przybywało energii.

- Ulka, uciekłaś - strofował. - Pytałem się, co ty czujesz, jako kobieta?

- Jako kobieta!?! - Ula uniosła brwi, a jej usta ułożyły się w wyraźnie kpiący uśmieszek. - Uczucia, na szczęście, nie mają podziału na płęć.

- Taaak? To skąd pejoratywne: zniewieściały facet! To powinien być komplement, powinno oznaczać, że jest wrażliwy, odczuwa, potrafi zrozumieć cierpienie. Jest blisko kobiecego ideału. - Wiesiek ironizował, nie kryjąc jednak rozgoryczenia. - Wy mówicie o równouprawnieniu? Tolerancji! - Wypił haustem whisky. Zaczerpnął powietrza i wyrzucił z siebie na jednym wdechu: - Nam nie wolno mieć zwykłych, ludzkich uczuć. Tylko te męskie. - I szybko wypuścił powietrze. Ponownie nabrał, by po chwili znów wypuścić, chcąc widokiem pracy swojego mięśnia brzuszego wywołać u Uli chichot i w ten sposób zminimalizować temperaturę swojej reakcji.

- Cudaczku, wyrównaj oddech, przestań falować i nie słuchaj złej macochy, która nie zdradzi wrogowi największej tajemnicy kobiecego klanu. - Ula wyprostowała plecy i zatkała sobie uszy dłońmi. - Gdy nie będę słyszała, że zdradzam, to może wystarczy ściąć włosy po męsku, a nie całą kobiecą głowę - pocieszała się. Dodatkowo zamknęła oczy, że niby nie widzi przed sobą faceta i tajemniczym, nie swoim głosem nie mówiła do nikogo: - Nieodwołalnie skończyło się „Ewa jest częścią z żebra Adama” i naturalnie wynikający stąd mikro status kobiet, przy makro statusie faceta. Narodziło się „Po spojrzeniu na Adama stwórcę zapłakał i stworzył arcydzieło - kobietę”.

Nie tak dawno zwołano wirtualny zlot wszystkich kobiet. Obecności nie sprawdzano, więc te niesubordynowane olały, ale pozostałe stawily się w komplecie i dokonały zbrodniczej ingerencji w płęć męską.

Dokładnie zmieszały, wstrząsnęły i zatrzęsły kodem genetycznym samców. Wyodrębniły i wyrzuciły atawistyczne geny walki o przetrwanie, zniszczenie wroga i upolowanie zwierzyny. Niestety, w euforycznym pośpiechu wdychały strzępy, które nadal wysyłają sygnały do mózgow kobiet: „Wygrać, zdobyć, pokonać, osiąść może tylko samiec pozbawiony wszelkich uczuć”.

W puste miejsca w kodzie genetycznym facetów wrzuciły swoje geny, które odziedziczyły po praprababkach. Te zmuszające do warzenia jadła, dbania o porządek w grocie, upuszczania nagromadzonej witalności samca, zajmowania się potomstwem i podsycania ognia.

W zaafierowaniu (bo już w myślach upajały się wolnością, wywalczonym równouprawnieniem), biegały z konferencji na spotkanie na szczycie, polecając asystentowi: „Upředź mojego, że narada się przedłuży i nie wróć na kolację”. Widząc, że rozumie, bo sekretarka, bez względu na płęć, zawsze musi rozumieć, dodawały: „Nie, o śniadaniu nie wspominaj”.

Niektóre jeszcze dążyły na manię, frunąc na skrzydełkach faccika, który uwierzył reklamie, więc ma prawo głosić: „Jestem za równouprawieniem, facet ma prawo być w ciąży”.

Jak mówiłam, w zaafierowaniu wrzuciły swoje geny w całości, jedno na drugie, bez wcześniejszej obróbki i nie zwracając uwagi na odskakujące odpryski.

Nie usunęły elementarnych cząstek, które miały być małym zadośćuczynieniem dla kobiety za samozaparcie i pokorę. Te cząstki to uczucia. Pozwalają w ramach rekompensaty czuć: przemęczenie, niedowartościowanie, niezrozumienie, niedopieszczenie, zdołowanie brakiem poczucia bezpieczeństwa i stabilności.

Teraz te uczucia przenikają do męskich mózgów, rozmiękczając ich szare komórki, pozwalając czuć to, co do tej pory odczuwały kobiety. Niestety, w odpryskach genów kobiecych odpadło samozaparcie i pokora.

Pośpiech stworzył facetobabę żyjącego w ciągłym chaosie. Zgłupiał kompletnie i nie wie, co ma jeszcze robić, żeby być płcią męską, a czego już nie, żeby nie być babą.

Czuje więcej, emocje w nim szaleją, jakby szaleju się opił.

I miota się współczesne hamleciátko, pytając swoje płciowe mózgowie: Czy powinienem odczuwać, czy może nie czuć?

Nieświadomy niczego facet nie wie, że będzie się szamotał w piekle na ziemi - bo za wszystkie swoje grzechy, te które popełnił lub tylko zamierzał popełnić, i te, które zamarzą mu się jutro - musi ponieść sprawiedliwą karę.

Wyrokiem zaocznym Trybunał Kobiet postanowił: „Do mieszanki genowej nie wolno dorzucić najważniejszego - «kobiecych sposobów na odreagowanie»,,.

Piekielna kara - czuć to, co baba, a nie móc zalać się łzami. - Uła na chwilę zamilkła, po czym mówiła dalej: - I tylko unikato- wy facet, któremu trafił się gen mutant odpowiadający za

równouprawnienie potrafi czuć się prawdziwym mężczyzną, reagując retorycznym pytaniem: „Ty mnie już nie kochasz?”. Rozpaczliwym szlochem: „Ty mnie nie doceniasz!”. Przestraszonym krzykiem: „Nie bij! W ogóle nie solilem. Zapomniałem kupić soli”. - Ula, kończąc, otworzyła oczy, z ostatnim słowem położyła sobie rękę na ustach, a drugą machała, dając znaki Wieškowi, żeby nie odezwał się słowem. Rozejrzała się po pokoju i widząc, że nikogo prócz nich nie ma, odetchnęła z ulgą. - Odpowiadając na twoje pytanie, co czuje szczęśliwa Ula, powiem tak - mówiła coraz głośniej. - Kocham samą siebie i akceptuję swoje niekonwencjonalne podejście do życia. To pierwszy krok do odczuwania szczęścia. Jestem tolerancyjna, otwarta na otoczenie i spontaniczna. Czyli sama mogłam przejść połowę drogi do szczęścia. Dostałam wsparcie w postaci akceptacji przez innych. Do tego zrozumienie, szacunek i miłość człowieka, którego pokochałam. Mam poczucie przynależności i bezpieczeństwa. Czy to nie jest szczęście? - Ula podniosła się i podeszła do Wieška. - Czuję się zaspokojona pod każdym względem. Czy to nie jest szczęście? - Krzycząc, nie zauważyła, że już nie są sami. - Przy mnie druga osoba też jest szczęśliwa! - Nachyliła się nad Wieškiem, ręką za brodę podniosła jego twarz i patrząc mu w oczy, spokojnym, stanowczym głosem powiedziała: - To właśnie czuje osoba szczęśliwa. - Nie spuszczała wzroku do momentu, gdy poczuła, że obejmują ją ręce męża.

- Szczęście ty moje, koniec z filozoficznym teoretyzowaniem, czas na praktyczną konsumpcję.

Wiesiek został sam, zupełnie zdezorientowany, czy ma się upić z powodu swojej tchórzliwej reakcji na drugą szansę, jaką mu los dał, czy zapić, zazdroszcząc ojcu jego odwagi w życiu?...

Policjant obserwujący od paru chwil dziwnie zaparkowany samochód, zobaczył, że mężczyzna oparł się głową o kierownicę

i znieruchomiał. Podeszedł i pukając w szybę, zapytał:

- Może potrzebuje pan pomocy?

Wiesiek podziękował i przekręcił kluczyk w stacyjce. Postanowił odjechać i zatrzymać się gdzieś dalej. Było piętnaście minut po północy. Musi wreszcie podjąć decyzję.

Wdzięczny był Zosi, ale zdecydował, przynajmniej w tamtej chwili, że na razie nie będzie podejmował żadnych prób. Najważniejszy był jej ślub, z którego Wiesiek bardzo się cieszył. Zasługiwała na szczęście, nie na namiastkę faceta, którym on mógł być dla niej.

Oszukiwał sam siebie. Gdyby się nie bał, to od razu wsiadłby w samochód i ślub nie byłby żadną przeszkodą. Odwagę chciał zaczerpnąć od córki Katarzyny. Irena od wypadku unikała spotkania z nim. Nawet gdy przypadkiem spotkał ją u Zosi w pracy, przywitała się i natychmiast wyszła, rezygnując z pomalowania paznokci. Podała śmieszny powód, Wiesiek nie pamiętał jaki, ale ogłupiała mina Zosi mówiła wszystko.

Na weselu nie mogłaby uciec przed nim. Spytałby: „Irena, co u matki?”, „Jak się czuje?”, „Czy nie potrzebuje pomocy?”. Córka musiałaby coś powiedzieć.

Zaparkował kilka ulic dalej.

Dziś Irena swoją reakcją zaskoczyła wszystkich. Nigdy by nie podejrzewał, że taka drobinka może z siebie wydobyć tak przenikliwy dźwięk. Sam znieruchomiał. Widział przed sobą silną, stanowczą, zdecydowaną na wszystko kobietę. Uśmiechnął się. Wiedział, że w szkole ma ksywkę Małolata i że ma świetny kontakt z uczniami. Autorytet nawet u tych z problemami, bo jak trzeba, to wkracza ostro, jak mówiła mu Zosia. Wtedy nie chciał w to uwierzyć, po dzisiejszym zachowaniu Irenej już tak.

Po raz trzeci wyjął kopertę, którą dziś od niej dostał. Podała pełne zamiary na matkę, życzyła powodzenia, to już powinno mu wystarczyć, żeby zaraz po ślubie odwiedzić jej matkę.

Ale córka Katarzyny dała mu dużo więcej - nadzieję, pisz³ parę słów:

„Niedawno długo rozmawiałam z mamą.

Powiedziała, że jej mąż zawsze będzie przy niej, ale musi nauczyć się żyć sama.

Sprzedać domu i wrócić nie chce.

Rozkleiłam się i długo narzekałam na los, na to, co spotkało ją, czego doświadczyłam ja. Przyznałam się, że boję się związać z facetem, bo znowu będę cierpieć i obwiniać siebie, ją, przeznaczenie.

Mama powiedziała: «Córeczko, bardziej cierpisz, gdy nie spróbowałaś. Smaku nie poczułaś, nie wiesz, jaki był zapach, nie dostrzegłaś koloru i nie czułaś temperatury.

Cierpisz potrójnie.

Raz, że nie wiesz, co straciłaś.

Drugi, że mogłaś utracić coś pięknego!

Trzeci, że sama zmarnowałaś szansę, jaką ci los dał».

Trzymam kciuki. Irena.

Wiesiek. Jeśli zdecydujesz się jechać, to w drodze posłuchaj kasety, którą nagrała mi mama”.

Wiesiek był pewien. Nie może czekać ani dnia dłużej. Będzie jechał spokojnie, tak żeby nie być za wcześnie. Nie zerwać jej ze snu. Kasia zawsze śmiała się, że rano jest półprzytomna. Może jednak lepiej z samego rana? Zastanowi się już na miejscu, pod jej domem.

Wyjął kasetę, która również była w kopercie, włączył i słuchając, jechał.

Głos i słowa Katarzyny towarzyszyły Wieskowi przez całą drogę.

„Jedna jedyna godzina z dwudziestu czterech godzin doby zawiera w sobie zjawiskowy skarb, który chciałyby dać ludziom,

ale wie, że większość ludzi jej nie dostrzega.

Przez tych, którzy zmuszeni są na nią spojrzeć, jest nielubiana. Widzą w niej tylko swoje zaspianie, zmęczenie, zaaferowanie, swój płacz z bezsenności, rozpacz, bólu, tęsknoty.

Znienawidzona jest przez tych z zamkniętymi lub szeroko otwartymi oczyma, dostrzegającymi tylko wczorajszą, dzisiajszą i jutrzejszą beznadziejność.

Mniejszość, która dostrzega tę jedyną godzinę, wie o tym wyjątkowym skarbie.

Większość mniejszości - zerka na cud narodzin nowego dnia i widzi nieuniknione nadejście nocy.

Znaczna część pozostałej mniejszości - przypatruje się rozprzestrzeniającej się jasności z nadzieją, że łatwiej dostrzeże nieuchronnie zbliżające się nieszczęście.

Nieliczni z pozostałych - widzą niezwykłość skarbu, nieustanny przełom ciemności i światła - i odczytują ukryty przepis na szczęście”.